UPADEK TUSKA JEST BLISKI. MOŻE SKOŃCZYĆ NAPRAWDĘ ŹLE

80. ROCZNICA OBŁAWY AUGUSTOWSKIEJ. WŁADZA NIE PAMIĘTA

TRZY WAGONY, 19 GODZIN, CZYLI PRAWDA O „EKSPRESIE DO CHORWACJI"

SIECI

SĄD NAJWYŻSZY: WYBORY SĄ WAŻNE! ALE „TRZECIA TURA" TRWA

# SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

28 (658) 2025
7–13 lipca 2025

CENA: 12,90 zł
(w tym 8% VAT)

## ROBERT BĄKIEWICZ:

# MÓWIĘ STOP NIELEGALNEJ IMIGRACJI

W WYWIADZIE Z MARKIEM PYZĄ LIDER RUCHU OBRONY GRANIC ZAPOWIADA, ŻE DLA BEZPIECZEŃSTWA POLSKI JEST GOTOWY NA WSZYSTKO. BO STAWKA JEST TAKA, JAK NA WOJNIE

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
Numer w sprzedaży do 14 VII 2025 r.

SALTUS | 30 lat
UBEZPIECZENIA

# Dbamy o to, co się liczy.

## Ubezpieczenie mieszkań i domów jednorodzinnych SALTUS – Mój DOM

Szeroki zakres ochrony, który możesz dopasować do swoich potrzeb.

Oferta dostępna w placówkach Spółdzielczych Kas oraz Banków Spółdzielczych

*Informacja o charakterze reklamowym i marketingowym*

rasa.pl 4ca092825d

# Reparacje – sprawa dla Unii

Europoseł PiS Arkadiusz Mularczyk dotrzymał słowa i świętą sprawę zadośćuczynienia Polsce za zbrodnie niemieckie, którą przez lata prowadził jako poseł, podnosi również w Parlamencie Europejskim. Kilka dni temu w siedzibie PE w Brukseli zorganizował wysłuchanie publiczne pt. „Zbrodnie wojenne i zadośćuczynienie – ochrona praworządności", któremu towarzyszyło otwarcie wystawy „Dziedzictwo wojny – straty Polski i Grecji" umieszczonej w głównym holu parlamentu, a więc w prestiżowym miejscu, w którym zostanie naprawdę zauważona. Jest oczywiste, że takie przedsięwzięcie nie jest łatwe, wymaga wielomiesięcznych starań i przygotowań.

Sprawa ma dwa wymiary. Z jednej strony to symboliczne podtrzymanie sprawy, którą premier Donald Tusk tak bardzo chciałby zgasić i którą uważa za głupotę. Wysłuchanie publiczne i wystawa pokazują Niemcom oraz całej Europie, że polski obóz niepodległościowy nie rezygnuje z należnych Polsce reparacji. Nie mogą ich zgasić ani krętackie i nieprawdziwe oświadczenia obecnej władzy, ani berlińska odmowa podjęcia tej kwestii na poważnie.

Drugi wymiar jest związany z europeizacją polskich, a także greckich roszczeń. Jak bowiem powiedział Syngelakis Aristomenis z greckiego komitetu na rzecz reparacji, nie jest prawdą, że Unia Europejska nie ma z tą sprawą nic wspólnego. Jeśli poważnie traktuje swoje credo praw człowieka, wypowiada je z takim namaszczeniem, a nawet zadęciem, nie może pozwolić na pozostawienie tak wielkich krzywd bez jakiejś sprawiedliwej puenty. A europoseł Arkadiusz Mularczyk dodał: „Ignorowanie trwających roszczeń ofiar oznacza ignorowanie powodu, dla którego UE została w ogóle stworzona". Oznacza też – to znów słowa Syngelakisa Aristomenisa – ponowne zabijanie ofiar najstraszniejszej z wojen, czyli II wojny światowej, czyli wojny niemieckiej i wojny Niemców.

Wspólne polsko-greckie przedsięwzięcie w Parlamencie Europejskim wynika z faktu, że oba kraje mają czystą kartę: w żadnym zakresie nie kolaborowały z III Rzeszą i mogą z podniesionym czołem występować o reparacje. Do tej listy można dodać jeszcze Serbię oraz Czechy, ale oba te państwa dziś nie są skłonne podnosić tej kwestii. Są też Włosi, również aktywni, jednak z powodu historii – z obawy, że międzynarodowe rozstrzygnięcia mogłyby także ich sporo kosztować – patrzą na sprawę nieco inaczej, od strony indywidualnych krzywd. Podkreślają jednak – co dla nas ważne – że immunitet państwa nie jest absolutny i przy pewnym poziomie krzywd przestaje obowiązywać. Włoskie sądy już stosują tę zasadę.

Ważne jest również to, że w trakcie brukselskiego wysłuchania publicznego polskie roszczenia wsparł przedstawiciel Europejskiego Stowarzyszenia Żydowskiego Alex Benjamin, stwierdzając: „Czas leczy rany, tak się mówi w Polsce. Ale konkretne rekompensaty także pomagają w leczeniu ran". Bardzo słuszne słowa, warte zapamiętania. Na marginesie: Grecy także policzyli swoje roszczenia wobec Niemiec, choć nie tak dokładnie jak my, w naszym „Raporcie o stratach poniesionych przez Polskę w wyniku agresji i okupacji niemieckiej". Szacują, że Berlin jest im winien 280–315 mld euro. Te liczby nie uwzględniają jednak zrabowanych dóbr kultury, w tym dzieł sztuki.

W czasie wysłuchania i otwarcia wystawy jasno wybrzmiało także przesłanie, które w istocie jest dobrą ofertą dla Berlina. Otóż podejmując uczciwe rozmowy w sprawie reparacji, Niemcy mogłyby tylko zyskać. Pokazałyby, że naprawdę przepracowały swoje zbrodnie i naprawdę zerwały z nazistowską przeszłością. Stworzyłyby solidne podstawy do prawdziwego pojednania. Bez tego słowa o wiecznej pamięci i wiecznym wstydzie brzmią wyjątkowo rytualnie, pusto. Czy jest jednak na to szansa?

Symbolicznie na wysłuchaniu w PE nie pojawił się żaden europoseł z Niemiec, choć biuro posła Mularczyka skierowało zaproszenie do wszystkich. Na otwarciu wystawy nie było także żadnego przedstawiciela sąsiadów. Później przy wystawie zatrzymał się tylko jeden: Tomasz Froelich, mówiący po polsku europoseł AfD, znany z obrony Polski i Węgier w bojach o suwerenność. Poza nim nie było nikogo. Widocznie mieli ważniejsze zajęcia. W końcu od dekad pracowicie budują pełną praw człowieka i wzajemnego szacunku, do głębi przejętą ideą równości Unię Europejską.

***Jacek Karnowski***

Reklama | 04/0425/FZAL



eprasa.pl 4ca092825d

# SIECI spis treści

**31** Minister Bodnar rozczarował
*Rozmowa z posłem Kamilem Wnukiem*

**42** Armia Izraela – co decyduje o jej sile?
*Marek Budzisz*

**59** Bohater wysokich lotów
*Jolanta Gajda-Zadworna*


## NA POCZĄTEK


5 **FOKA PREMIERA TUSKA**
Bronisław Wildstein

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **ROMAN I ADAM NA TROPIE**
Dorota Łosiewicz

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **ZIELONY SABOTAŻ 2040, CZYLI JAK UNIA POSTANOWIŁA UNIEWAŻNIĆ SAMA SIEBIE**
Daniel Obajtek

13 **SZLAKI ZALEŻNOŚCI**
Marta Kaczyńska-Zielińska

14 **WALIZKA JAROSŁAWA WRÓBLEWSKIEGO**
Michał Korsun

16 **INWAZJA LEGII CUDZOZIEMSKIEJ**
Jan Pietrzak

17 **TUSK SAMOTNY I WŚCIEKŁY**
Samuel Pereira

18 **EUROPEJSKOŚĆ TO NIENORMALNOŚĆ**
Lech Makowiecki


## TEMAT TYGODNIA


19 **ZATRZYMAM NIELEGALNĄ MIGRACJĘ**
Z Robertem Bąkiewiczem rozmawia Marek Pyza

24 **POLSKA WALCZY Z „ODRZUTAMI Z NIEMIEC"**
Jan Rokita


## KRAJ


27 **OBÓZ WŁADZY PO WYROKU SĄDU NAJWYŻSZEGO: ODWRÓT NA Z GÓRY UPATRZONE POZYCJE**
Tomasz Żukowski

31 **MINISTER BODNAR ROZCZAROWAŁ**
Z posłem Kamilem Wnukiem rozmawia Dorota Łosiewicz

34 **UPADEK TUSKA**
Stanisław Janecki

36 **ZAMACH NA INSTYTUT PILECKIEGO**
Piotr Gursztyn

39 **POCIĄG NASZYCH MARZEŃ**
Konrad Kołodziejski


## ŚWIAT


42 **ARMIA IZRAELA – CO DECYDUJE O JEJ SILE?**
Marek Budzisz

45 **PO DRUGIEJ STRONIE TĘCZY**
Grzegorz Górny

48 **ANNA, KTÓRA WYSZŁA Z MODY**
Aleksandra Rybińska


## OPINIE


50 **POLSKA NA WOJNIE HYBRYDOWEJ Z NIEMCAMI**
Dariusz Matuszak

53 **ZŁOWROGI KLAUN**
Bronisław Wildstein


## HISTORIA


56 **BEREZA KARTUSKA – PRZESTROGA DLA RZĄDZĄCYCH**
Stanisław Płużański


## SIECI KULTURY


59 **BOHATER WYSOKICH LOTÓW**
Jolanta Gajda-Zadworna

62 **HOMER WEDŁUG NOLANA**
Maciej Walaszczyk

64 **HITY I KITY**
Piotr Zaremba

66 **WSZYSTKO CZYNIĘ NOWE**
Robert Tekieli


## GOSPODARKA


68 **ZAMROŻENIE RACHUNKÓW I TAK NAM NIE POMOŻE**
Agnieszka Łakoma


## PODRÓŻE


70 **MOJE SZLAKI: ADÈLE W PARYŻU**
Jolanta Gajda-Zadworna


## KUCHNIA


71 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz


## NA KONIEC


72 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

73 **POLSKA SPECJALNOŚĆ: HIMALAJE ZIMĄ**
Ryszard Czarnecki

74 **BZDURA STULECIA: AI TO TYLKO NARZĘDZIE**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie





eprasa.pl 4ca092825d

BRONISŁAW WILDSTEIN

# Foka premiera Tuska

„Foka" to pseudonim Sebastiana J., podejrzanego w aferze Polnordu. Sprowadzanie go do roli ochroniarza Romana Giertycha jest uwłaczające. „Sebuś", jak czule nazywa go pracodawca, owszem, broni, ale i żywi i w ogóle dba chyba o wszystkie jego potrzeby: zajmuje się dziećmi, samochodami, zakupami czy rachunkami. I, co najważniejsze, to mecenas był zatrudniany przez „Fokę" i jego żonę w firmach zakładanych przez nich, aby prowadzić interesy z Polnordem. Kto więc był czyim pracodawcą?

Prokuratura, która umorzyła Giertychowi śledztwo w tej sprawie uznała, że jej mózgiem był „Foka". To on stworzył mechanizm okradania akcjonariuszy Polnordu, wyprowadzając z firmy grube dziesiątki milionów. Mecenas był tylko wynajętą papugą, która nie miała zielonego pojęcia, o co w tych przekrętach chodzi. W całej dwunastoosobowej ekipie podejrzanych tylko wobec Giertycha śledztwo zostało umorzone. Wszyscy inni świadomie uczestniczyli w aferze i tylko Giertych nic o niczym nie wiedział. Może nie najlepiej świadczy to o inteligencji mecenasa, ale za to wystawia najlepsze świadectwo jego przyzwoitości. I chociaż naiwność taka dziwić mogłaby w przypadku adwokata o tak długim stażu, który w licznych i poważnych sprawach uczestniczył, ale widocznie krystaliczna uczciwość zaćmiła bystrość jego spojrzenia.

Giertych ma pecha. Nie pierwszy raz trafił na nieuczciwych wspólników, którzy wykorzystując jego naiwność, dokonywali rzeczy haniebnych. Wielkopolski Bank Rolniczy, w którym pełnił kierownicze funkcje, pomimo jego wysiłków zbankrutował. A mechanizm był podobny do afery Polnordu, choć w sprawie nie uczestniczył „Foka".

Na szczęście współpracownicy Giertycha, może ujęci jego integralnością moralną, nie tylko nie oszukali go, ale wypłacili mu honoraria, które wielokrotnie przebijają przyjęte normy. Ale uczciwość nie ma ceny.

Prawdopodobnie wyrzuty sumienia Ryszarda Krauzego czy „Foki" kazały im przelewać miliony na konto mecenasa walczącego o czystość życia publicznego w Polsce. Nienaganna, tak rzadka dziś prawość Giertycha powoduje, że nawet prokuraturze lubelskiej zajmującej się Polnordem trudno było w nią uwierzyć i dopiero interwencja nadzorującego ją prokuratora Marka Wełny, który przyjaźni się z Giertychem od lat, a więc nie ma wątpliwości co do jego moralności, wątpliwości wszelkie rozwiała.

A teraz serio. Dziennikarze i komentatorzy zastanawiają się nad tolerancją Donalda Tuska wobec ekscesów byłego lidera LPR, które naruszają nie tylko normy polityczne, lecz także prawne. Spekulują, że adwokat, który prowadził sprawy lidera PO i jego syna, może posiadać wiedzę niebezpieczną dla swojego klienta. A niby cóż może być bardziej kompromitującego niż znane powszechnie fakty? To syn Tuska przyznał, że jego ojciec wiedział o aferze Amber Gold. Pełnił wówczas funkcję premiera, ale nie zrobił nic, aby przestępstwu zapobiec. Wszyscy widzieli, że polityk ten rzuca najbardziej odpowiedzialną funkcję w państwie dla intratnej synekury w Brukseli. Jak widać, dla sporej części Polaków nie ma to znaczenia. Czym zatem Giertych może zagrozić Tuskowi?

Jest on dla premiera tym, czym wcześniej był Palikot. Ma załatwiać za niego brudne i ryzykowne przedsięwzięcia. Tak jak „Foka" dla Giertycha. Kiedy przestanie być użyteczny, osłona zostanie z niego zdjęta, a Tusk rozłoży bezradnie ręce. On przecież chciał tylko przeliczyć głosy, aby nie było żadnych wątpliwości i w ten sposób umocnić zaufanie obywateli do państwa. Ekscesy w tej mierze to wina „Foki", przepraszam, Giertycha.

A to poważne rzeczy. Mecenas Tuska usiłuje zablokować przejęcie stanowiska przez legalnie wybranego prezydenta, uderza zatem w konstytucyjny ład państwa. Nie nawołuje do zgłaszania nadużyć, ale mobilizuje przeciwników Nawrockiego do zasypywania sądów nie popartych niczym protestami, których szablon osobiście przygotował. Jeśli to by mu się udało, państwo zostałoby sparaliżowane, a polityka zmieniłaby się już nie w zimną, ale gorącą wojnę domową.

Wyobraźmy sobie kilka milinów zawiadomień o nieprawidłowościach wyborczych ze strony zwolenników przegranego kandydata. Nikt nie byłby w stanie tego sprawdzić. Demokracja, w której znacząca część obywateli nie godzi się z niekorzystnymi dla nich wyborami, przestaje działać. Ci, którzy usiłują do tego doprowadzić, powinni trafić na ławę oskarżonych.

Tym Giertych nie musi się szczególnie przejmować. Traktująca prawo poważnie prokuratura nie umorzyłaby mu zarzutów w aferze Polnordu. Wie, że upadek obecnej władzy to dla niego osobiste zagrożenie, i zrobi wszystko, aby do tego nie dopuścić. Będzie łamał prawo, aby nie trafić na ławę oskarżonych za wcześniejsze przekręty.

Giertych związany jest więc z Tuskiem egzystencjalnie. A dla premiera jest tym, czym dla niego „Foka".

Fot. Andrzej Wiktor



eprasa.pl 4ca092825d

# Sygnalista nadaje

Seria masywnych incydentów kałowych przeszła przez cały kraj. Najbardziej dotknęła wybitne osobistości strony demokratycznej. Nasilenie incydentów miało miejsce 1 lipca, gdy neo-Izba neo-Sądu Najwyższego głosami neosędziów orzekła, że neoprezydentem został mieszkaniec Gdańska, niejaki Karol Tadeusz Nawrocki. Neo-Izba neo-Sądu orzekła, a świat się nie zawalił. Nawet się nie zatrzymał. Nie uderzyła żadna kometa, krowy dalej dają mleko, kury znoszą jajka i nawet korki od szampana nie wystrzeliły na Kremlu. Ale te incydenty kałowe świadczą o tym, że świat już nigdy nie będzie taki sam.

Listę osobistości szczególnie boleśnie dotkniętych incydentami kałowymi otwierają ***Tomasz Lis*** i Eliza Michalik. Swoimi zranionymi uczuciami podzielili się z opinią publiczną (która zachowała się, niestety, niezbyt empatycznie i wyśmiała te szczere wyznania). „Jako obywatel nigdy nie czułem się tak źle jak dziś, odrzucony, porzucony i upokorzony" – wyznał Tomasz i dopisał od razu, że poczuł się zdradzony. A również zdradzona Eliza Michalik wydała ważne oświadczenie: „Niestety, Ziobro miał rację. Nieudacznicy i niekompetentne fujary. Oglądając dziś serwisy informacyjne, wstydzę się, że głosowałam na nich w październiku 2023".

Wiecie, o kim to? To o premierze wszechczasów Donaldzie Tusku i Adamie Bodnarze. A ten drugi, znaczy się Bodnar, splamił się po wieki wieków swym haniebnym zachowaniem w neo-Sądzie Najwyższym. Po pierwsze, zamiast przejąć obiekt, tak jak zrobił to Bart Jo-Jo Sienkiewicz w TVP (obecnie neo-TVP w likwidacji), stawił się tam i wdawał w pogawędki z neosędziami. A po drugie, zwracał się do nich: „Wysoki sądzie" albo: „Panie sędzio". A przecież każdy demokrata walczący wie, że to agenci PiS przebrani za sędziów.

Przez takich jak Bodnar Uśmiechnięta Polska już nie jest uśmiechnięta. Jest zdradzona, upokorzona i porzucona.

A teraz wyjaśnienie tej sytuacji. Całe zło zaczęło się w Hadze, na szczycie NATO. Nasz premier (wtedy jeszcze całkowicie nasz) stał w korytarzu i rozmawiał z kanclerzem Merzem (obecnie głównym dostawcą inżynierów i chirurgów do Polski). W trakcie tej ważnej rozmowy ukazał się ten okropny Trump z Ameryki. Nasz premier (wtedy jeszcze nasz) chciał podejść i przywitać się z tym okropnym Trumpem. Ten jednak zignorował przyjazne gesty naszego premiera i odezwał się jedynie do Merza. A przekaz był taki, żeby Merz powiedział naszemu premierowi, aby ten przestał kombinować z uznaniem wyniku wyborów prezydenckich. Następnego dnia premier Tusk wrócił do Tego Kraju i powiedział, że on wcale nie twierdził, że wybory były sfałszowane. I wtedy nasz premier przestał być naszym premierem, a Tomek Lis po raz pierwszy poczuł się zdradzony.

Źli ludzie mówią, że teraz Platforma Obywatelska ma twarz Romana Giertycha, a to ma być powód,

*Uwaga, ważna uroczystość! Odbyły się podniosłe obchody pierwszej rocznicy rozmowy premiera Tuska z kanclerzem Scholzem na temat wciskania Polsce nielegalnych imigrantów. „Będę za chwilę rozmawiał z kanclerzem Scholzem o niedopuszczalnym incydencie z udziałem niemieckiej policji i rodziny migrantów po naszej stronie granicy. Sprawa musi być szczegółowo wyjaśniona" – zakomunikował rok temu premier Tusk. Dzisiaj, jak wiemy, sytuacja jest inna. Jedna stanowcza rozmowa i problem został całkowicie rozwiązany!*



eprasa.pl 4ca092825d

że spadają notowania partii prawdziwych demokratów. A wam przeszkadza buzia mecenasa? Nam nie, bo on taki cudny. No nie jest on cudny? Subtelne rysy twarzy Romana przypominają oblicze Nikołaja Wałujewa, boksera, który teraz jest deputowanym do Dumy Państwowej. On też jest cudny. I powabny. W każdym razie źli ludzie gadają, że to przez Romana spadają notowania PO i rządu. Prawda, ukazały się trzy czy cztery sondaże, z których to wynika. Ale czy jesteście pewni, że to nie wynik anomalii? Mówiąc krótko, te sondaże najprawdopodobniej zostały sfałszowane przez Braci Kamratów, bo w rzeczywistości rząd bije rekordy popularności. A jeśli tak nie jest, to trzeba wiedzieć, że liczy się jakość, a nie ilość. Lepiej mieć mniej wyborców, ale prawdziwie europejskich, niż więcej, ale takich, którzy nie dorośli do demokracji. Zwłaszcza demokracji walczącej.

Niejaka Manowska, pseudo-quasi-neosędzia z nieuznawanego pseudo-quasi-neo-Sądu Najwyższego, w haniebny sposób zadrwiła ze wspaniałego ruchu obywatelskiego, czym było wysyłanie protestów wyborczych do tego nieuznawanego przez nikogo pseudo-quasi-neosądu. My za to przyjrzeliśmy się tym pięknym aktom niezgody na to, żeby opozycja fałszowała wybory (bo jest to wyłączna prerogatywa rządu). I nie ma żadnych wątpliwości. To, co niejaka Manowska nazwała z pogardą, my z dumą określamy jako „giertychówki". Tak! Widzimy je wpisane na listę niematerialnego dziedzictwa UNESCO. Tam jest ich miejsce.

Nie zapomnijmy o jeszcze jednej ważnej osobistości, która została boleśnie dotknięta masywnym incydentem kałowym. To prokurator ***Ewa Wrzosek***. Cały Ten Kraj mógł usłyszeć jej słowa, które także przejdą do dziedzictwa postępowej ludzkości. „Wszyscy! Media również. Odmawiają mi prawa do bycia człowiekiem. Najbardziej bolą ciosy ze strony własnego środowiska" – wykrzyczała męczenniczka walki o praworządność (tak, jak ją rozumiemy). A to nie koniec ciosów, które musi znosić ta pozbawiona prawa do bycia człowiekiem osoba. Pękła nad nią rura z wodą i pozalewała jej wszystkie rzeczy. Przeżylibyście to wszystko? Wy nie, a ona ciągle daje radę.

Odfałszowanie sfałszowanych wyborów robi się mniej seksi przez napływ inżynierów i chirurgów z terenów bratnich Niemiec. Niestety odwraca to uwagę opinii publicznej, i to mimo wielkich wysiłków najbardziej zaangażowanych aktywistów. A tu objawił się znany i ceniony obrońca demokracji Mateusz Faktura-Kijowski. Pod neo-Sądem Najwyższym protestowała też Babcia Kasia. Z tej okazji przewracała się ona wielokrotnie, ale z powodu powszechnej znieczulicy nie zrobiło to odpowiedniego wrażenia. Czas zatem przenieść się na Granicę Przyjaźni.

Fot. Liudmyla Skwarczyńska, Andrzej Wiktor, RMF FM, Mateusz Zelnik

Trwa tam heroiczny bój premiera Tuska z demonicznym Bąkiewiczem z Pruszkowa. Faszystowsko-rasistowskie i kaczystowsko-konfiarskie bojówki polują tam nie tylko na przysyłanych nam w ramach bratniej pomocy inżynierów i chirurgów. Ofiarą tej nagonki padł też nasz ulubiony zespół tancerzy z Senegalu, na którego występy niecierpliwie czekają wszystkie osoby dziennikarskie z mediów Polski Uśmiechniętej (teraz uśmiechniętej bezobjawowo). A tyle obiecywały sobie po ubogaceniu kulturowym przez tancerzy z Senegalu.

Jeśli nie rozumiecie, o co chodzi z imigrantami na zachodniej granicy, to najlepiej wytłumaczyła to ministra ds. edukacji i wtórnego analfabetyzmu ***Baśka Niejaka Nowacka***: „To jest najważniejsze, żebyśmy mieli poczucie bezpieczeństwa, a nie bezpieczeństwo". Dokładnie tak! Po co wam bezpieczeństwo, kiedy w Berlinie jest niebezpiecznie? Wystarczy poczucie bezpieczeństwa.

Za to ***Rafał Trzaskowski*** to ma fajnie. Przegrał wybory i wymiksował się z tego całego bajzlu. Puszcza wianki na Wiśle, robi sobie fotki na przystankach tramwajowych, stawia tęczę na pl. Zbawiciela. Nie musi zajmować się jakimiś imigrantami czy innymi sfałszowanymi wyborami. Tak trzeba żyć! Ale jedna rzecz niepokoi. Dlaczego Rafał nie zabrał głosu w sprawie odfałszowania sfałszowanych wyborów? Bo przecież gdyby udało się to odkręcić, to on byłby prezydentem. A Małgośka, tak jak jej obiecał, damą numero uno. Tymczasem on milczy. A może Rafał zdradził? I całe te wybory to była ustawka z tym Nawrockim z Gdańska? Zresztą kolejna w życiu Nawrockiego.

Myślicie, że zdrada Rafała jest niemożliwa? Przecież długa jest już lista zdrajców: Hołownia, który chce zaprzysięgać Nawrockiego, Kosiniak-Kamysz, który wpuścił go do MON, Schetyna, która gada, że anomalie nie są ważne, bo Nawrocki i tak wygrał wybory. I nawet niejaki Mark Rutte, który zaprosił tego Nawrockiego do Brukseli. Przy tej okazji wszystko się wydało – ten Rutte mówi, że jest sekretarzem generalnym NATO. A my tego NATO nie uznajemy. Bo to jest neo-NATO.



eprasa.pl 4ca092825d

WIEŻA BAB

# Roman i Adam na tropie

**Występują:**
*Roman* – emocjonalny, dramatyczny i podejrzliwy jak zawsze.
*Adam* – niegdyś opanowany, ale Roman przeciągnął go na ciemną stronę rozsądku.

**Scena 1:**
Zaciemniony pokój w Ministerstwie Sprawiedliwości. Biurko zawalone dokumentami, pusta pudełko po pizzy, laptop, projektor pokazujący wykresy w PowerPoincie, mapa Polski z zaznaczonymi powiatami – niektóre oznaczone wykrzyknikami. Otwierają się drzwi. Wchodzi Roman, rozgląda się teatralnie, jakby szukał podsłuchu.
*Roman* (konspiracyjnie): Panie ministrze... Adamie... Czy drzwi są szczelne? Czy nikt nie słucha?
*Adam* (z uśmiechem): Romanie, to ministerstwo, nie escape room.
*Roman* (szeptem): To mnie właśnie martwi.
*Adam* (z szeptem ekscytacji): Nie przejmuj się. Romanie... Mam to! Wreszcie to zobaczyłem!
*Roman* (odwraca się teatralnie): Ja też! Wszystko zaczyna się w Radomiu. Zawsze Radom. Tam mieszkają szity i zjeby i nikt nie wie, kto tam faktycznie liczył głosy...
*Adam:* A wiesz, kto był przewodniczącym komisji w Radomiu?
*Roman* (napięcie rośnie): Nie mów, że...
*Adam:* Jan... Wiatr.
Dramatyczna pauza.
*Roman* (szepcząc): Wiatr. Czyli coś, czego nie widać. Przypadek? Nie sądzę.
*Adam* (nakręcając się): A jego zastępcą była kobieta o nazwisku... Mgła. M-G-Ł-A. Czyli klasyczne zakrycie prawdy. Oni są jak pseudonimy z powieści szpiegowskiej!
*Roman:* To już nie teoria, to literatura faktu! (Włącza rzutnik. Na ekranie pojawia się wykres: liczba głosów w powiatach a sprzedaż ogórków kiszonych). Zobacz! Tam, gdzie sprzedano najwięcej ogórków, kandydat opozycji miał największe poparcie. Czy to normalne? Czy ludzie naprawdę głosują z kiszonym ogórkiem w ręku?
*Adam* (natchniony): Może ogórki były... hipnotyzujące?
*Roman:* Albo pełne danych biometrycznych! (Podchodzi do mapy i wskazuje powiat z największą frekwencją). Tutaj było 107 proc. frekwencji!
*Adam:* Niemożliwe!
*Roman:* Właśnie dlatego, że niemożliwe – jest podejrzane!
*Adam:* A teraz najważniejsze pytanie: kto za tym stoi?
Obaj patrzą na siebie. Cisza. Wreszcie...
*Razem* (szeptem): Szpakowski!
*Roman:* Komentował mecz, ale przecież miał przerwę na herbatę. Co wtedy robił? Może podmieniał dane?
*Adam:* A sędzia Tuleya milczy...
*Roman:* Zbyt podejrzanie milczy!
*Adam* (nerwowo przeglądając notatki): Romanie, musimy założyć komisję śledczą.
*Roman:* Tak! W składzie: ja, ty, Ela z Twittera i ta pani z YouTube, która mówiła, że wybory fałszują Rodacy Kamraci.
*Adam:* Zróbmy też apel do ONZ. Niech to zbada międzynarodowy zespół złożony z ludzi, którzy nigdy nie słyszeli o Polsce. Tylko takim można ufać!
*Roman:* I koniecznie konferencja prasowa o 4.00 rano. Żeby wyprzedzić przeciwnika!
*Adam:* Ale gdzie?
*Roman* (zamyśla się, po czym mówi z powagą): W Końskich.
Pauza. Obaj kiwają głowami z uznaniem.
*Razem:* Wszystko zaczyna i kończy się w Końskich.
Kurtyna.

* * *

**Scena 2:**
*Roman* – w eleganckim płaszczu, z szalikiem w kolorze flagi UE i z walizką na kółkach, która jest przypięta kłódką.
*Adam* – w turystycznej kurtce.
Komisja Europejska, recepcja. Wchodzą Roman i Adam, kroczą z godnością i dramatyzmem jak agenci MI6. Roman niesie srebrną walizeczkę. Adam trzyma w ręku pendrive na czerwonej smyczy z napisem „ZBRODNIA 2025".
*Pani z recepcji* (z offu): Panowie mają umówione spotkanie?
*Roman:* Nie potrzebujemy! Reprezentujemy obywateli! I kota, który syczał na wyniki PKW i uchwałę Sądu Najwyższego.
*Adam* (wyciąga dramatycznie pendrive, trzymając go jak relikwię): Proszę to przekazać szefowej Komisji Europejskiej. Albo przynajmniej do działu IT.
*Roman:* A jakby co, kopia leży w schowku na lotnisku w Radomiu. Za trzecim automatem z kanapkami.
*Recepcjonistka* (z offu, znużonym głosem): Czy to znowu ta sprawa z ogórkami i mgłą?
*Roman i Adam* (razem, oburzeni): To nie sprawa. To historia!
*Adam:* I ostrzegamy, jeśli UE nie zareaguje w ciągu 48 godzin...
*Roman:* ...przyjedziemy z prezentacją multimedialną. W dwóch językach!
*Recepcjonistka* (z offu): W jakich?
*Roman:* W absurdzie i obłędzie.
Klasyczna muzyka szpiegowska w tle.
Kurtyna.
*Narrator* (z offu, dramatycznie): Czy Bruksela przyjmie dowody? Czy pendrive wytrzyma napięcie? Odpowiedź już w kolejnym odcinku: „Roman i Adam na tropie".

***Dorota Łosiewicz***

Reklama | 04/0325/FZAL

# Rok 2025 został ogłoszony przez ONZ MIĘDZYNARODOWYM ROKIEM SPÓŁDZIELCZOŚCI

Polska spółdzielczość finansowa jest częścią światowej społeczności.

**Pomagamy, troszczymy się, jesteśmy blisko.**

**Dzięki spółdzielniom świat staje się lepszy**

FUNDACJA STEFCZYKA

eprasa.pl 4ca092825d

# Pokój po 20 latach wojny?

Demokratyczna Rep. Konga

Rwanda i Demokratyczna Republika Konga podpisały w Waszyngtonie porozumienie pokojowe mające zakończyć konflikt, który obok wojny na Ukrainie i Bliskim Wschodzie jest w tej chwili najkrwawszym starciem na świecie.

Walki toczą się we wschodnich prowincjach DRK, gdzie oddziały armii rządowej bronią się przed rebeliantami wspieranymi przez Rwandę. Konflikt, którego korzenie tkwią w ludobójstwie, do którego doszło w Rwandzie w 1994 r., pochłonął do tej pory ponad 6 mln ofiar. Jak dotąd w wojnie uczestniczyło aż dziewięć państw afrykańskich oraz dziesiątki grup zbrojnych, a głównym polem bitwy stał się obszar wschodniego Konga. Region jest bogaty w surowce, takie jak kobalt, złoto i koltan, które są kluczowe dla światowego przemysłu. To bogactwo napędza niekończący się rozlew krwi.

W Waszyngtonie podczas ceremonii z udziałem sekretarza stanu USA Marka Rubio ministrowie spraw zagranicznych obu krajów afrykańskich podpisali porozumienie, zgodnie z którym rwandyjskie wojska wycofają się ze wschodniego Konga w ciągu 90 dni. Umowa zakłada też „poszanowanie integralności terytorialnej stron i zakaz działań wojennych" oraz rozbrojenie wszystkich „niepaństwowych grup zbrojnych", które brały udział w konflikcie. Spośród blisko 100 takich grup najważniejszą rolę odegrały Demokratyczne Siły Wyzwolenia Rwandy (FDLR) utworzone przez zbiegłych z Rwandy członków plemienia Hutu oraz złożony z Tutsi ruch rebeliancki M23. „Walczono ze sobą przez wiele lat, używając maczet. To jedna z najgorszych wojen, jakie ktokolwiek kiedykolwiek widział" – powiedział przed uroczystością Donald Trump.

Ważną częścią porozumienia pokojowego jest zaproponowana przez prezydenta DRK Félixa Tshisekedi umowa mineralna, której celem jest przyciągnięcie zachodniego kapitału do tutejszych złóż tantalu, złota, kobaltu, miedzi i litu. Szczególnie cenny jest kobalt, używany w bateriach do telefonów i samochodów elektrycznych. Na terytorium DRK znajduje się 70 proc. światowych zasobów tego surowca, a podpisana w Waszyngtonie umowa ma dać Stanom Zjednoczonym szeroki dostęp do kluczowych minerałów. Przewidziano także „integrację gospodarczą" państw regionu.

Do tej pory zyski z eksploatacji kongijskich bogactw były rozszarpywane między rebeliantów, Rwandę i szemrany kapitał z całego świata. Nie jest więc wcale pewne, czy uda się odzyskać kontrolę nad surowcami i osiągnąć wreszcie trwały pokój.

***Konrad Kołodziejski***

Włochy

# Koniec fiesty

Po raz pierwszy od 80 lat w Italii nie odbędzie się Festiwal Jedności w swoim tradycyjnym formacie. Jego początki sięgają 1945 r., gdy Włoska Partia Komunistyczna postanowiła zainicjować coroczną imprezę polityczno-kulturalną, by zebrać fundusze na sfinansowanie organu prasowego „l'Unità".

Z upływem czasu wydarzenie rozrosło się do trwającego miesiąc – co roku w różnych miastach – festiwalu, w ramach którego odbywały się liczne debaty, koncerty, kiermasze, spotkania z ciekawymi ludźmi i wieczorne biesiady. Celem stało się budowanie wokół lewicy wspólnoty łączącej wymiary polityczny, kulturalny i towarzyski. Po samorozwiązaniu się komunistów imprezę organizowały ich następczynie i kontynuatorki: Demokratyczna Partia Lewicy i Demokraci Lewicy. W rekordowych latach w socjalistycznej fieście brało udział 15 tys. osób. Dzięki ideowości organizatorów, pracy wolontariuszy i entuzjazmowi uczestników przez dziesięciolecia była ona symbolem dynamicznej tożsamości politycznej.

W tym roku festiwal w Fiesole został zredukowany do jednego kameralnego wieczoru. Zdaniem części publicystów jest to świadectwo zapaści włoskiej lewicy, która straciła zdolność przyciągania do siebie młodych pokoleń. Według organizatorów winne są czynniki, takie jak „spadek dobrowolnego uczestnictwa, kryzys wolnego czasu, powszechny brak zainteresowania polityką oraz trudności w budowaniu zbiorowych doświadczeń w coraz bardziej zindywidualizowanym społeczeństwie".

Według niektórych komentatorów obumieranie tradycyjnej imprezy jest nie tylko przejawem kryzysu lewicy, lecz także symptomem głębszych zmian kulturowych. Polityka przestała być przeżywana jako doświadczenie wspólnotowe. W epoce mediów cyfrowych przeniosła się do świata wirtualnego, stając się odległa od realnego życia i sprowadzona do spolaryzowanej debaty konsumowanej w mediach społecznościowych. Rodzi się pytanie: czy inne ugrupowania byłyby w stanie zorganizować dziś podobne wydarzenie, jakim jeszcze do niedawna był Festiwal Jedności?

***Grzegorz Górny***

Fot. Giacomo M/Shutterstock.com



eprasa.pl 4ca092825d

Francja

# Kultura wysoka w stylu house

Prezydent Francji Emmanuel Macron chce, aby francuska muzyka elektroniczna została wpisana na listę niematerialnego dziedzictwa UNESCO. Chodzi o french touch, czyli francuską odmianę muzyki house.

Lista niematerialnego dziedzictwa kulturowego pozwala państwom sygnatariuszom UNESCO na zachowanie „praktyk, reprezentacji, wyrazów, wiedzy i know-how, które społeczności uznają za część swojego dziedzictwa kulturowego". Francuski prezydent uważa, że Daft Punk czy Bob Sinclar są taką reprezentacją francuskiej kultury. Ostatecznie chodzi o ambicję, czyli o to, aby dorównać Niemcom, którzy w 2023 r. doprowadzili do wpisania berlińskiego techno do listy niematerialnego dziedzictwa UNESCO. „My też to zrobimy! Uwielbiam Niemcy, wiecie, że jestem przekonanym Europejczykiem, ale nie potrzebujemy żadnych lekcji! Jesteśmy wynalazcami electro, mamy też francuski touch" – zaznaczył prezydent Francji w audycji „Happy Hour", emitowanej przez stację muzyczną FG.

Na stronie internetowej francuskiej ambasady można przeczytać, że french touch to wymyślona przez brytyjskich dziennikarzy nazwa francuskiej muzyki elektronicznej lat 90. Jej reprezentantami są – oprócz wymienionych wyżej Daft Punk czy Boba Sinclara – Air, Alex Gopher, Laurent Garnier czy Étienne de Crécy. Francja wpisała już na listę UNESCO wiele rzeczy, w tym bagietkę, tradycyjną francuską jazdę konną, sokolnictwo, perfumy z Grasse i reunioński śpiew maloya.

Jak informują francuskie media, sam Macron woli muzykę klasyczną, na dodatek niemiecką i austriacką: przede wszystkim Wagnera i Szuberta. Ale za to pierwsza dama Brigitte słucha francuskiego house. W wywiadzie dla dziennika „Le Parisien" muzyk i DJ Kavinsky chwalił się, że w 2018 r. wystąpił w Pałacu Elizejskim na zaproszenie małżonki prezydenta.

Co ciekawe, dwaj artyści, którzy tworzą duet Air, powiedzieli dziennikowi „Le Figaro", że prawdziwy french touch to Ravel i Debussy. Ich zdaniem taka muzyka jest nieśmiertelna i zrozumiała także poza Francją. French touch? Nie za bardzo. Nie zabrakło zresztą złośliwych komentarzy samych Francuzów, którzy uznali, że „prezydentowi odjechał peron". A zamiast zajmować się takimi głupotami, powinien wziąć się za rozwiązywanie problemów kraju. Szkoda tylko, że Daft Punk zakończył karierę muzyczną w 2021 r. Aż chciałoby się rzec: one more time, s'il vous plait.

***Aleksandra Rybińska***

# Królestwo bitcoinów

Bhutan

Bhutan, niewielkie himalajskie królestwo położone między Indiami a Chinami, zamieszkiwane przez 780 tys. ludzi, okazał się państwem posiadającym największe na świecie (w proporcji do PKB) zasoby bitcoinów. Z ostatnich obliczeń przeprowadzonych przez firmę Arkham Intel wynika, że ma ich ponad 12 tys. o łącznej wartości 1,2 mld dol., co odpowiada 40 proc. PKB tego górskiego państewka.

Bhutan rozpoczął „kopanie" bitcoinów w 2020 r., gdy z powodu pandemii znacznie spadło zapotrzebowanie na energię elektryczną, której eksport był jednym z głównych źródeł dochodów państwa. Wówczas Ujjwal Deep Dahal, kierujący państwowym funduszem inwestycyjnym, wpadł na pomysł wykorzystania taniej energii pochodzącej z hydroelektrowni do generowania bitcoinów.

Było to odważne posunięcie jak na znany ze swojego konserwatyzmu Bhutan. Wszyscy urzędnicy publiczni nadal noszą w pracy tradycyjne stroje ludowe, w stolicy Thimphu nie ma świetlnej sygnalizacji drogowej, ulubioną rozrywką mieszkańców są zawody w łucznictwie, a pierwszej transakcji z zastosowaniem karty kredytowej dokonano w 2010 r. Państwo nie miało więc żadnych specjalistów, którzy mogliby na zlecenie rządu zbudować infrastrukturę niezbędną do „kopania" bitcoinów.

Ostatecznie stworzył ją Ujjwal Deep Dahal wraz z czterema współpracownikami, którzy przez kilka tygodni praktycznie nie wychodzili z biura. Ich jedynym wsparciem oprócz poradników z YouTube i lektur były telefoniczne konsultacje ze specjalistami z Singapuru i Malezji. Pierwsza „kopalnia" bitcoinów w Bhutanie powstała w 2020 r, a do 2024 r. działały już cztery. Ostatnią z nich zarządza firma z Singapuru.

Przedsięwzięcie okazało się na tyle skuteczne, że w 2023 r. rząd Bhutanu zdecydował się podnieść wynagrodzenia wszystkich pracowników sektora publicznego o 40 proc., pokrywając te wydatki wpływami z bitcoinów. Zdaniem przedstawicieli bhutańskiego rządu decyzja o rozpoczęciu produkcji bitcoinów jest równoznaczna ze znalezieniem nowego rynku dla eksportowanej wcześniej energii elektrycznej. Teraz jest ona sprzedawana „kopalniom" bitcoinów, a transakcje są rozliczane w dolarach amerykańskich, co bardzo zwiększyło zyski i rezerwy finansowe państwa.

***Marek Budzisz***

Fot. Shutterstock



eprasa.pl 4ca092825d

# Zielony sabotaż 2040, czyli jak Unia postanowiła unieważnić sama siebie

*W imię neutralności klimatycznej będziemy eksportować całe zakłady produkcyjne do Azji, gdzie pojęcie śladu węglowego kojarzy się co najwyżej z kopalnią*

Z dumą godną cesarza Rzymu ogłaszającego upadek swojego imperium Komisja Europejska ogłosiła w końcu (dwa dni po zakończeniu fiaska zwanego „polską prezydencją") zapowiadany „ambitny" cel klimatyczny – redukcję emisji $CO_2$ o 90 proc. do 2040 r. Brawo! Oczywiście nie dodano, że jednocześnie zredukowane zostaną konkurencyjność przemysłu, liczba miejsc pracy oraz standard życia przeciętnego Europejczyka. Ale kto by się przejmował takimi szczegółami, skoro urzędnicy z Brukseli mają poczucie, że ratują planetę, siedząc w klimatyzowanych biurach z widokiem na rzeczywistość, której dalej nie przyjmują do wiadomości.

Bo o czym tak naprawdę mówimy? O planowanym zbiorowym, gospodarczym harakiri. W ciągu zaledwie 15 lat mamy zredukować emisję niemal do zera. Przypominam: chodzi o gospodarki wciąż zależne od przemysłu, miliony ludzi zatrudnionych w sektorach energochłonnych, kraje, które nie zbudują się z samych start-upów IT i hodowli tofu. A Bruksela udaje, że to tylko „ambitna transformacja". Ambitna? Raczej samobójcza.

Stal, cement, chemia, motoryzacja – wszystkie filary europejskiego przemysłu zostaną obciążone jeszcze większymi kosztami produkcji. W imię neutralności klimatycznej będziemy eksportować nie towary, ale całe zakłady produkcyjne i miejsca pracy do Azji, gdzie pojęcie śladu węglowego kojarzy się co najwyżej z kopalnią. Pracownicy? Cóż, mogą się przekwalifikować. Najlepiej na influencerów klimatycznych albo specjalistów od segregowania plastiku.

A co z kosztami życia? Ostro w górę. Prąd? Droższy. Transport? Droższy. Jedzenie? Zdecydowanie droższe. Bo przecież ograniczanie rolnictwa, zakazy stosowania nawozów i hodowli to świetny sposób na obniżenie cen żywności. Mięso stanie się dobrem luksusowym, a burgery z larw codziennością. Kto nie nadąży za dietą owadzią, ten zostanie uznany za klimatycznego wichrzyciela.

Samochody? Spalinowe – zakazane. Elektryczne – za drogie. Transport publiczny – zatłoczony. Loty tak jak wakacje ograniczone do minimum. Masz, Europejczyku, siedzieć w domu. Oczywiście dobrze izolowanym termicznie według unijnych norm, bo inaczej zostaniesz przestępcą energetycznym. Kogo nie będzie stać na remont, ten zawsze może liczyć na europejski fundusz na „sprawiedliwą degradację społeczną" i przytułek.

Wszystko to w sytuacji, gdy reszta świata patrzy na nas jak na ekscentrycznego krewnego, który spalił własny dom, by zaimponować sąsiadom. Stany Zjednoczone prowadzą politykę nie klimatyczną, a gospodarczą, która wspiera ich przemysł, a Chiny pod hasłem „zielonej transformacji" bogacą się na potęgę, sprzedając nam technologie, które sami produkują w fabrykach zasilanych węglem.

Zamiast stawać się liderem, Europa staje się przykładem. Przykładem naiwności, krótkowzroczności i klimatycznego mesjanizmu w wersji deluxe. Świat będzie się z nas śmiać, aż w końcu zapomni, że kiedykolwiek byliśmy potęgą. Ale przynajmniej emisje będą niskie. Bo produkcji i ludzi już tu nie będzie.

***Daniel Obajtek***

Fot. Archiwum autora



eprasa.pl 4ca092825d

# Szlaki zależności

**Marta Kaczyńska-Zielińska**

Chińska Inicjatywa Pasa i Szlaku (BRI), mająca na celu wzmocnienie globalnych sieci handlowych i rozwój chińskiej infrastruktury w Azji, Europie, Afryce i Ameryce Południowej, współgra z Szanghajską Organizacją Współpracy (SCO). Większość państw SCO poparła lub uczestniczyła w BRI, wdrażając projekty, takie jak gazociąg Azja Środkowa–Chiny, chińsko-pakistański korytarz gospodarczy, Astana International Financial Centre w Kazachstanie i planowaną linię kolejową Chiny–Kirgistan–Uzbekistan.

SCO to największa na świecie organizacja regionalna pod względem geograficznym i liczby ludności, obejmująca ok. 80 proc. powierzchni Eurazji i 40 proc. ludności świata. Ta międzyrządowa organizacja została utworzona w 2001 r. przez Chiny, Rosję, Kazachstan, Kirgistan, Tadżykistan i Uzbekistan. W 2017 r. została rozszerzona o Indie i Pakistan, a w 2023 r. dołączył do niej Iran. SCO posiada 3 państwa o statusie obserwatorów: Mongolię, Białoruś i Afganistan oraz 14 partnerów: Sri Lankę, Turcję, Kambodżę, Azerbejdżan, Nepal, Armenię, Egipt, Katar, Arabię Saudyjską, Bahrajn, Kuwejt, Mjanmę, Malediwy i Zjednoczone Emiraty Arabskie. Oficjalnymi językami SCO są chiński i rosyjski.

W 2013 r. w ramach SCO powołano Klub Energetyczny, którego celem jest doprowadzenie do utworzenia samowystarczalnego systemu energetycznego. W związku z tą inicjatywą zacieśniono współpracę między producentami energii: Rosją, Arabią Saudyjską, Iranem, Kazachstanem i Uzbekistanem a konsumentami: Chinami, Indiami, Pakistanem, Turcją Kirgistanem i Tadżykistanem. Trwają podobno prace nad spozycjonowaniem Turcji jako hubu gazowego, przez który można prowadzić handel między państwami członkowskimi i z Europą.

Podejmowanie decyzji w ramach SCO wymaga jednomyślnej zgody wszystkich państw członkowskich, ale jej polityka jest w dużym stopniu kształtowana przez Rosję i Chiny, postulujące stworzenie autonomicznej organizacji w zdecydowanej opozycji do zachodniego porządku światowego. Stany Zjednoczone złożyły wniosek o status obserwatora w 2005 r., lecz został on odrzucony.

Mimo początkowego sceptycyzmu Organizacji Narodów Zjednoczonych wobec SCO zdecydowano o uznaniu jej za kluczową siłę zapewniającą stabilność regionalną w Eurazji. Niewątpliwe warto wspomnieć o konsekwentnie prowadzonej od wielu lat polityce pozyskiwania przez Pekin głosów na forum przeżywającej obecnie kryzys ONZ w drodze kredytowania inwestycji prowadzonych w państwach borykających się z problemami gospodarczymi, zwłaszcza w Afryce i Ameryce Południowej. W ostatnim czasie Pekin zdobył w ten sposób nowego sojusznika – Kolumbię.

Rola Chin w Ameryce Łacińskiej i na Karaibach gwałtownie wzrosła. Państwo Środka prześcignęło USA jako największy partner handlowy Ameryki Południowej. Chińskie przedsiębiorstwa państwowe są głównymi inwestorami w sektorze energetycznym, infrastrukturalnym i kosmicznym tego regionu. Pekin rozszerzył również swoją obecność kulturalną, dyplomatyczną i wojskową w całym obszarze.

Państwowe banki chińskie należą do wiodących pożyczkodawców w regionie. Od 2005 r. przekazały ponad 120 mld dol. krajom Ameryki Łacińskiej i Karaibów na finansowanie projektów energetycznych i infrastrukturalnych. W maju br. Chiny gościły przywódców Ameryki Łacińskiej i Karaibów na szczycie w Pekinie. Prezydent Xi Jinping ogłosił otwarcie dla regionu linii kredytowej na inwestycje o wartości 9 mld dol.

Rosnąca kontrola Państwa Środka nad infrastrukturą krytyczną, taką jak porty i sieci energetyczne, stwarza zagrożenia dla suwerenności państw tego obszaru. Pod koniec 2024 r. Chińczycy otworzyli nowy megaport w Peru, tworząc szlak dla kolejnych chińskich inwestycji w Ameryce Południowej. W latach 2000–2018 Pekin zainwestował 73 mld dol. w sektor surowców Ameryki Łacińskiej, m.in. w budowę rafinerii i zakładów przetwórczych w krajach posiadających znaczne zasoby węgla, miedzi, gazu ziemnego, ropy naftowej i uranu. Ostatnio Chiny skupiły się na inwestowaniu w produkcję minerału niezbędnego do pojazdów elektrycznych i akumulatorów – litu w tzw. krajach trójkąta litowego: Argentynie, Boliwii i Chile.

*Redaktorowi*

**Szymonowi Szeredzie**

*oraz Jego Najbliższym*

*wyrazy głębokiego współczucia i żalu*

*z powodu śmierci dziadka*

**FRANCISZKA KAZIMIERZA SZCZEPANIAKA**

*Emerytowanego Dyrektora Szkoły Podstawowej w Brończynie*

*Koleżanki i koledzy z redakcji telewizji wPolsce24*



eprasa.pl 4ca092825d

# Walizka Jarosława Wróblewskiego

***dziennikarza, autora książek historycznych, pracownika powstającego Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL***

Urodziłem się w Zielonej Górze – tam dorastałem, byłem harcerzem i działałem w antykomunistycznym Ruchu Młodzieży Niezależnej. Po szkole średniej wyjechałem na studia do Warszawy. Skończyłem dziennikarstwo na UKSW – wybrałem zawód, który stał się moją pasją. Zawsze lubiłem słowo i historię. Dzięki temu, że moje życie skrzyżowało się z ludźmi z Grupy Historycznej „Zgrupowanie Radosław", poznałem wielu żołnierzy powstania warszawskiego. Dzięki spotkaniom i ich niesamowitym wspomnieniom powstawały książki, a właściwie ich barwne biografie, które zmieniły moje życie. Zawsze ciekawił mnie człowiek i jego historia. Od kilku lat w lipcu pielgrzymuję pieszo z Suwałk do Matki Boskiej Ostrobramskiej w Wilnie, jest to święty czas, na który czekam cały rok. Pracuję w Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL przy ul. Rakowieckiej w Warszawie, gdzie jestem redaktorem naczelnym biuletynu „Rakowiecka 37" – wydaliśmy już 30 numerów. Najważniejsze jednak jest to, że od 26 lat mam żonę Sylwię i czworo wspaniałych dzieci.

***BIULETYN „RAKOWIECKA 37"***

220-stronicowe pismo tworzone z pasją, cenione przez czytelników za poruszane tematy związane z żołnierzami wyklętymi i historią najnowszą. Do kupienia w muzealnym sklepie przy ul. Rakowieckiej 37.

***OPASKA RMN***

Ruch Młodzieży Niezależnej powstał w Gorzowie Wielkopolskim w 1983 r. i był młodzieżową organizacją działającą w Międzyrzeczu i Zielonej Górze. Walczył z komuną na wielu frontach, m.in. wydając pismo „Szaniec", realizując podziemne audycje radiowe, organizując manifestacje i różne akcje. Wstąpiłem do niego, mając 16 lat, w 1987 r.

Fot. Andrzej Wiktor, archiwum Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL



eprasa.pl 4ca092825d

### TORBY MUZEALNE

Torba z logotypem muzeum zaprojektowanym przez Wojciecha Korkucia ukazującym symbolicznie przestrzelony ryngraf, który nosili na piersi żołnierze wyklęci. Z kolei torba na ramię z Witoldem Pileckim została wyprodukowana przez muzealny dział edukacji. Rotmistrz wśród kwiatów cieszy się dużą popularnością, podoba się zwłaszcza kobietom.

### MATKA BOSKA OSTROBRAMSKA

Jej wizerunek mnie porusza – spokojna twarz, skrzyżowane smukłe dłonie, sukienka w kwiatki. Czekam na każde spotkanie z Matką Miłosierdzia w Wilnie. Wiem, że słucha tego, o czym jej mówię i przyjmuje do serca intencje niesione w pielgrzymkach.

### KOSZULKA LEGII

Całą rodziną kibicujemy Legii, bo Legia najlepsza jest!

### APARAT FOTOGRAFICZNY

Lubię robić zdjęcia, moja mama pracowała w zakładzie fotograficznym. Mam duży sentyment do ciemni, zapachu, który towarzyszy wywoływaniu zdjęć.

### KSIĄŻKI „ZOŚKOWIEC", „GRYF", „ROTMISTRZ"

Trzy napisane przeze mnie biografie – o Henryku Kończykowskim „Haliczu" z batalionu „Zośka", gen. Januszu Brochwicz-Lewińskim „Gryfie" z batalionu „Parasol" i rtm. Witoldzie Pileckim. Dwóch pierwszych znałem osobiście, a rotmistrza z opowieści jego dzieci. Każdy z tych bohaterów był bardzo ciekawym i wielowymiarowym człowiekiem. Ich historie zmieniły moje życie.

### CZAPKA Z DASZKIEM

Sprawdzona w boju czapka firmy Buff od lat jest ze mną na pielgrzymkowym szlaku.

### PANTERKA

Replika niemieckiej bluzy kamuflażowej z II wojny światowej. W „Radosławie" brałem w niej udział w inscenizacjach z powstania warszawskiego.

### RYNGRAF

Zbieram ryngrafy. Są piękne, dla mnie takie „synowskie", bo pokazują polską historię poprzez wiarę i zawierzenie Matce Bożej.

### KRZYŻ WOLNOŚCI I SOLIDARNOŚCI

Wzorowany na przedwojennym Krzyżu Niepodległości. Otrzymałem go od prezydenta RP Andrzeja Dudy, a wręczał mi go Karol Nawrocki. To wyróżnienie za podziemną działalność w RMN.

### „O NAŚLADOWANIU CHRYSTUSA"

Książeczka Tomasza à Kempis, którą polecił czytać swojej żonie i dzieciom rtm. Witold Pilecki. Pełna ważnych sentencji i myśli, które pomagają w życiu.

### OPASKA Z POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

Opaska, którą kupiłem ponad 20 lat temu na targu staroci. Nie wiem, do kogo należała, ale dla mnie jest jak relikwia.

### SYGNET

Pamiątka z tegorocznego Katyńskiego Marszu Cieni, replika sygnetu ze zbiorów Muzeum Katyńskiego.

***Wysłuchał Michał Korsun***



eprasa.pl 4ca092825d

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

# Inwazja legii cudzoziemskiej

*Jan Pietrzak*

Przygraniczna wojna Białorusi z Polską przed kilkoma laty tak się spodobała Niemcom, że też postanowili spróbować. Codziennie atakują naszą granicę za pomocą legii cudzoziemskiej zwanej migrantami. Postanowili nie narażać na szwank swoich oddziałów uzbrojonych w 5 tys. hełmów przeznaczonych kiedyś dla Ukraińców, których nie zdołali wysłać. Szkoda hełmów. A legii migracyjnej nie szkoda. To są ochotnicy. Niemiecki sztab stosuje strategię *per procura*. Skoro za pomocą apelu „herzlich willkommen" zwerbowali setki tysięcy nie-Europejczyków, należy ich jak najskuteczniej wykorzystać w interesie Wielkiej Rzeszy. Taka lokalna agresja na Polskę jest dla nich korzystna z każdego punktu widzenia. Szantażowane przez Giertycha władze warszawskie usilnie nie chcą wiedzieć, co się wyprawia przy Odrze, zajęte ponownym przeliczaniem milionów głosów wyborczych. Władze niemieckie też biedzą się z kryzysem, lecz mają w Polsce swojego człowieka, który takie perturbacje załatwia na zycher. Siemoniak świadkiem.

W zasadzie polska Straż Graniczna została odsunięta od granicy, żeby nie przeszkadzać niemieckiej policji podrzucać niesprawdzalnych mężczyzn z Afryki. Oni tam podobno głodują. To dziwne, bo kiedyś tylko Rodezja, zwana obecnie Zimbabwe, mogła wyżywić pół Afryki. Niezwykle urodzajna ziemia, pierwszorzędne warunki klimatyczne... Czy nie można zorganizować świata tak, by mieszkańcy kilku kontynentów, które mamy na globusie (poza Antarktydą), pracowali u siebie, dla dobra swoich narodów, a nie szwendali się po Europie? Wiem, że to naiwne pytanie. Jednak alternatywa jest paskudna: nieustanne wojny głodnych z bogatymi.

Kiedy na Ziemi żyło 1,5 mld (początek XIX w.) osobników naszego gatunku, sprawa nie miała wymiaru apokalipsy. Obecnie jest nas 8 mld i wszyscy chcą żyć na bogato! Tak jak między Nadrenią a Bawarią czy między Kalifornią a Nową Szkocją! Tego się nie da zrobić bez bijatyki, agresji, zniszczeń... Czy ktoś poważnie myśli o tym problemie?

W nowożytnej historii było kilka stuleci, kiedy Anglia, Hiszpania, Portugalia czy Francja podbijały odległe krainy, by je wyzyskiwać, często w okrutny sposób. Potem Stalin przerzucał całe narody po swoim imperium, co było związane z katorżniczą pracą dla Moskwy. Zapewne ktoś ze Wschodu podpowiedział kanclerz Merkel, że lepiej będzie sprowadzać do Niemiec niewolników, niż się za nimi uganiać po dalszych okolicach. Zwłaszcza że doświadczenie z poszukiwaniem „lebensraumu" pod wodzą Hitlera nie przyniosło oczekiwanego rezultatu, a wręcz ograniczenie upragnionej przestrzeni życiowej! Właśnie przerabiamy na własnym podwórku impas kolejnego głupiego pomysłu Niemców.

Z ostatniej chwili: premier ogłosił, że przywróci kontrolę na odrzańskiej granicy! Cóż szkodzi obiecać?

# „Lalka" w odcinkach

Fot. Netflix / Michał Klusek

Autopromocja

***Tomasz Schuchardt***, ***Sandra Drzymalska*** i ***Paweł Maślona*** o serialu „Lalka" platformy Netflix.

Równolegle z kinową wersją „Lalki" (z Marcinem Dorocińskim i Kamilą Urzędowską w głównych rolach) powstaje serial pod tym samym tytułem. Reżyseruje Paweł Maślona (filmy „Kos" i „Atak paniki"). Scenariusz napisał Paweł Demirski (m.in. seriale „Artyści" i najnowszy „Aniela" czy spektakl Teatru TV „Sprawa Jakuba S."). Tomasz Schuchardt zagra Stanisława Wokulskiego, a Sandra Drzymalska Izabelę Łęcką. Zdjęcia ruszyły 1 lipca.

***Tomasz Schuchardt*** (w rozmowie z portalem Filmweb) o „Lalce": „Pomimo, że to powieść pozytywistyczna, w szkołach bywa »romantyzowana«... To odurzenie Wokulskiego Łęcką... A my chcieliśmy trochę »połamać« tych bohaterów, żeby nie byli tacy jednowymiarowi. Każdy z nich ma swoje interesy i o nie walczy. [...]. Książka Prusa jest skończonym dziełem. My przyglądamy się jej tak, jakby nim nie była. Mamy kilka kierunków, przy których można sobie postawić pytanie: »A co by było, gdyby...«".

***Sandra Drzymalska*** o Łęckiej: „Będzie bohaterką na miarę XXI w. Postaramy się ją przedstawić jako osobę niezależną, która nie chce być traktowana przedmiotowo, która zmaga się z wieloma przeciwnościami i konwenansami XIX w.".

***Paweł Maślona*** zapowiada „reinterpretację powieści znanej ze szkolnej lektury". I dodaje: „Serial »Lalka« to przede wszystkim współczesny melodramat, w którym opowiadamy o miłości, obsesji i społecznym rozdarciu, ale nie zamykamy się w jednej konwencji.

Sześcioodcinkowa „Lalka" trafi do oferty Netfliksa w 2026 r.

***Oprac. JGZ***



eprasa.pl 4ca092825d

# Tusk samotny i wściekły

*Samuel Pereira*

Donald Tusk przez wiele miesięcy był przekonany, że uda mu się powtórzyć scenariusz z przeszłości: dominacja nad koalicjantami, polityka faktów dokonanych, demonstracyjna pewność siebie. Myślał, że siłą uda się przejąć państwo – tylko dla siebie. Że uda mu się bawić krajem jak Hynkel w filmie Chaplina, obracając Ziemię w dłoniach niczym balon. Ale tym razem balon pękł. I pękła też iluzja jego politycznej wszechmocy.

Już nie ma koalicji, którą można mamić nową, lepszą umową koalicyjną albo postawić do pionu jednym telefonem. Nie ma Sejmu, który zagłosuje, zanim zdąży przeczytać projekt ustawy. Nie ma nawet lojalności, na którą jeszcze niedawno mógł liczyć. Hołownia i Kosiniak-Kamysz nie chcą już firmować jego gier. Wybrali grę na siebie. Zrozumieli, kto jest silniejszy, że to nie kandydat KO zwyciężył. Ponad 10 mln głosów na Karola Nawrockiego to coś, z czego oni – w przeciwieństwie do Tuska – wyciągają wnioski. Społeczeństwo jasno pokazało, że nie chce domykania systemu, za którym nic dobrego dla nich nie stoi.

W kampanii parlamentarnej 2023 r. Tusk wygrażał prezydentowi Dudzie, że po wyborach „zmięknie mu rura". Abstrahując od prostackiego języka, którego ocenę pozostawiam państwu, prezydent nie okazał strachu, wręcz przeciwnie. Nie ustąpił w sprawie obsady ambasadorów, podobnie jak w kwestii obsady stanowisk sędziów Trybunału Konstytucyjnego. „Umożliwcie TK funkcjonowanie". Tusk i jego zaplecze wolą grać na czas i paraliż instytucjonalny, ale współkoalicjanci już się od niego dystansują.

Wyborcze rozczarowanie zamienia się w cyniczną próbę dezawuowania werdyktu obywateli. Platforma nie chce pogodzić się z tym, że Polacy wybrali inaczej, a oni przegrali. Obóz Tuska położył się na podłodze i tupie nóżkami.

Dziś premier politycznie został sam i bez pomysłu, co dalej. A samotność w polityce oznacza koniec sprawczości. Historia zna wielu liderów, którzy myśleli, że mogą wszystko. Ale kończyli tak samo: w izolacji. Pytanie tylko, jak długo ten foch będzie trwał, bo dzieje się kosztem nas wszystkich.

wPolityce.pl

NAJŚWIEŻSZE INFORMACJE

nawet kiedy śpisz

WEJDŹ NA: wPolityce.pl

# Europejskość to nienormalność

Ta parafraza dewizy naczelnego ojkofoba III RP da się racjonalnie udowodnić.

Europa wymiera! Krzyczą o tym fatalne prognozy demograficzne dla białej rasy. Jest to wynik dewastacji rodziny, upadku moralności i bezpłodnej ideologii gender/LGBT+, forsowanej przez światowe lewactwo. Zielony Ład skutecznie niszczy przemysł i energetykę Starego Kontynentu, a umowa UE-Mercosur likwiduje unijne rolnictwo. Przejęcie szkolnictwa przez postkomunistów owocuje upadkiem edukacji i demoralizacją młodego pokolenia. Wypracowany w cywilizacji łacińskiej kanon prawdy, dobra i piękna jest negowany i rugowany. Forsowana seksualizacja dzieci deformuje ich prawidłowy rozwój. Rozbuchany erotyzm również dorosłym zaburza właściwe postrzeganie rzeczywistości – nie wszyscy dostrzegają zagrożenia wojenne i naszą militarną mizerię. Jakby tego było mało, fundujemy sobie samobójczą politykę migracyjną. „To pierwszy raz w historii ludzkości, kiedy naród karmi, kwateruje, opiekuje się i edukuje najeźdźców, którzy chcą zniszczyć jego kulturę i wartości, a także go zabić" – podsumowuje ten absurd Philippe de Villiers, francuski polityk i eurosceptyk.

Polskie społeczeństwo jest totalnie rozbrojone, niezorganizowane i bezbronne. Zamiast skrócić/zreformować szkolenie żołnierzy, w 2009 r. rząd PO-PSL zlikwidował zasadniczą służbę wojskową, pozbawiając mężczyzn umiejętności niezbędnych na współczesnym polu walki. Dziś do Polski masowo są wtłaczani młodzi, bitni i bezwzględni migranci z Afryki i Azji. Jeśli dorzucimy do tego istniejące już struktury mafijne (ukraińskie, gruzińskie i inne), opowieści o bezpiecznym kraju wkrótce można będzie włożyć między bajki.

PS Nie sądzę, aby polscy policjanci, Straż Graniczna czy zawodowi żołnierze nie zdawali sobie sprawy z zagrożeń, które rząd ściąga również na ich rodziny. Jeśli natychmiast nie wprowadzi się szczelnej blokady granic, grożą nam katastrofalne skutki włącznie z krwawymi samosądami.

*Lech Makowiecki*

## POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, ROBERT TEKIELI, BRONISŁAW WILDSTEIN, MAŁGORZATA WOŁCZYK, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA, W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

*REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.*

FOT.: ANDRZEJ WIKTOR x2, WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS, KAMIL KORBIK/WIKIPEDIA, @PKPINTERCITYPDP/X.COM

**Zamów prenumeratę Sieci! Od 2 stycznia 2025 r. według nowego cennika**

| CENNIK PRENUMERATY* | OKRES PRENUMERATY | | |
|---|---|---|---|
| | 3 miesiące | 6 miesięcy | 12 miesięcy |
| Krajowa | 118 zł | 207 zł | 375 zł |
| Zagraniczna | 296 zł | 566 zł | 1099 zł |

**Dane do przelewu w stopce redakcyjnej*



eprasa.pl 4ca092825d

# Zatrzymam nielegalną migrację

O tym, jak Polacy rwą się do obrony granic i jak władza próbuje z nich zrobić bandytów, z ***Robertem Bąkiewiczem***, liderem Ruchu Obrony Granic, rozmawia Marek Pyza

Fot. Andrzej Wiktor

***Jak wielu Polaków chce bronić naszej zachodniej granicy?***

***Robert Bąkiewicz:*** Jeśli założyć, że elementem jej obrony jest samo popieranie naszych działań, udostępnianie materiałów w internecie, to myślę, że mówimy o znakomitej większości Polaków.

***A ile jest zgłoszeń do Ruchu Obrony Granic? Ile osób jest gotowych do tego, żeby fizycznie uczestniczyć w waszych działaniach?***

Zgłosiło się 4–5 tys. ludzi. Lecz ze względu na to, że obawiamy się prowokacji, najpierw chcemy ich trochę poznać, sprawdzić, zanim zaprosimy ich do wspólnych patroli. Nie trzeba się spieszyć, bo mamy do czynienia z procesem długofalowym, rozłożonym w czasie. Rząd Donalda Tuska realizuje politykę niemiecką, a wejście w życie paktu migracyjnego dopiero nadejdzie. Liczymy też na ludzi, którzy mają jakieś szczególne kompetencje, np. posługują się sprzętem elektronicznym. Niemcy permanentnie wykorzystują go przeciwko nam – wypuszczają drony, które latają za nami, gdy przemieszczamy się pomiędzy przejściami granicznymi. Chcemy więc odpowiedzieć tym samym wobec nich.

***Brzmi to na małą graniczną wojnę polsko-niemiecką.***

Coś w tym jest. Nie widzę dużej dysproporcji pomiędzy tym, co robią wobec nas Niemcy, a tym, co się dzieje na granicy polsko-białoruskiej. Różnica



eprasa.pl 4ca092825d

na pewno polega na tym, że na wschodzie państwo polskie się broni, a na zachodzie po prostu przyjmujemy wszystkich jak leci, bez względu na to, czy mają dokumenty, czy nie.

***Zgłaszają się osoby skłonne się włączyć tylko na chwilę?***

Tak, mamy do czynienia ze zrywem obywatelskim, więc trudno sobie wyobrazić, żeby ludzie nagle rzucali pracę, ale chcą dać od siebie cokolwiek, choć jeden dzień wsparcia. Przydaje się wszelka pomoc, bo każdemu może brakować snu, może potrzebować chwili odpoczynku. Nawet jeśli ktoś wpadnie do nas tylko na chwilę, to zobaczy, jak naprawdę wygląda sytuacja na granicy. Takie osoby stają się później głosem we własnych środowiskach, w których przekazują prawdziwy obraz problemu.

***Nocami jest trudniej?***

Zdecydowanie, bo nie mamy jeszcze sprzętu noktowizyjnego, właśnie go kupujemy. Łatwiej jest pracować przy tych przejściach, które są duże, oświetlone, dobrze widoczne. Natomiast tam, gdzie często się poruszamy – przy nieczynnych przejazdach kolejowych, wiaduktach, mostach, płyciznach na Nysie i Odrze, jest bardziej niebezpiecznie. Również dlatego, że pojawiają tam się przemytnicy. Ci obcokrajowcy, jak wiemy, mogą być uzbrojeni – o tym też musimy pamiętać.

***Kim są ludzie, którzy się zgłaszają? Powinni raczej planować wakacje z rodzinami, a nie wyjazd, by pilnować granicy.***

To jest ruch ludowy, który angażuje i rolnika, i robotnika, i prawnika. Bo przecież wszyscy jesteśmy zagrożeni procesem niekontrolowanej migracji. Pierwszy raz w sformalizowany sposób pojawiliśmy się na granicy na początku marca w Słubicach. Zaczęliśmy wskazywać, że jest tam problem. Koreluje to z nastrojami społecznymi – zdecydowana większość Polaków podziela obawę przed masową migracją. Warto więc, żeby nasi rodacy gdzieś się spotykali w temacie, który zdecydowanie bardziej nas łączy niż dzieli. I to się udaje – są wśród nas lekarze, ordynatorzy. Ci, którzy nie mogą być bezpośrednio na granicy, oferują pomoc w innym zakresie. Zgłaszają się np. prawnicy, których kancelarie są gotowe do wspierania nas.

***W jakim wieku są wolontariusze?***

W każdym. Oczywiście łatwiej dotrzeć na granicę na emeryturze. Ale mam tu też na myśli emerytów mundurowych, którzy są jeszcze w sile wieku, ale już poza służbą, a chcą się zaangażować. Zgłasza się również dużo młodych ludzi. Bardzo młodych. To budujące, że wykazują tak duże zainteresowanie tym problemem.

> Do Ruchu Obrony Granic zgłosiło się 4–5 tys. ludzi. Lecz ze względu na to, że obawiamy się prowokacji, najpierw chcemy ich trochę sprawdzić, zanim zaprosimy ich do wspólnych patroli

***Bierzecie też niepełnoletnich?***

W żadnym wypadku, choć jest ich naprawdę sporo. To przełamuje pewien paradygmat, że prawicowymi nurtami są zainteresowani tylko ludzie starsi czy w średnim wieku.

***Ostatnie wybory pokazały, że tak nie jest.***

To prawda. I wśród tych młodych rzadko zdarza się jakaś wrogość wobec nas czy choćby krytyka. Reagują zdecydowanie pozytywnie, rozpoznają nas, wiedzą, kim jesteśmy, co robimy.

***Zdarzają się też osoby z innych krajów. Reporter telewizji wPolsce24 spotkał Duńczyka polskiego pochodzenia, który patroluje nasze granice.***

Tak, przyjeżdżają też obcokrajowcy. Dziś wyruszył do nas przedstawiciel Polonii w Teksasie. Zaczyna więc kiełkować ruch łączący Polaków również ponad granicami. Otrzymuję też mnóstwo wiadomości od osób, które nie mogą przyjechać z zagranicy, ale wesprą nas finansowo albo po prostu się za nas modlą, to też ważne wsparcie. Obserwujemy zagraniczną prasę i widzimy, że zainteresowanie naszym ruchem jest bardzo duże. Planujemy jesienią kongres międzynarodowy, by wymienić się doświadczeniami. To wymaga jeszcze trochę czasu, przygotowań, również rozpoznania tych organizacji. Nie znamy ich, więc musimy być wyczuleni, by nie wejść w sojusz z jakimiś grupami, które będą dla nas choćby wizerunkowym zagrożeniem.

***Na swojej stronie piszecie: „Działamy w sposób legalny, bezpieczny, bez konfrontacji, obserwujemy, dokumentujemy, nagrywamy, w razie potrzeby wzywamy Straż Graniczną". Wyjaśnijmy, na czym dokładnie polega patrol obywatelski.***

Naszym najważniejszym zadaniem jest uświadamianie polskiego narodu, że zagrożenie istnieje. Filmujemy zatem cały proces migracyjny. Obserwujemy pracę Straży Granicznej, Bundespolizei, patrzymy, w jaki sposób dochodzi do podrzucania migrantów. I rozpowszechniamy materiały, aby jak najszersze grono Polaków uzmysłowiło sobie, że niebezpieczeństwo na zachodniej granicy nie jest wydumane.

***Zatrzymujecie samochody?***

Nie. Jeśli kierowca chce się zatrzymać, to zaglądamy do środka, ale nie robimy nic, do czego nie mamy uprawnień. Rozmawiamy z ludźmi, rozdajemy ulotki, pytamy, czy nie widzieli czegoś niepokojącego. Rozmawiamy też z migrantami, którzy są przerzucani przez granicę. I dowiadujemy się np., że ci ludzie wcale nie przybyli do Niemiec z Polski, a przypłynęli szlakiem przez Morze Śródziemne i południe kontynentu albo że znajdowali się w Niemczech od dwóch lat. To podważa niemieckie tłumaczenia, że mamy do czynienia z readmisjami albo działaniem na podstawie rozporządzenia



eprasa.pl 4ca092825d

Dublin III. Zachęcamy tych migrantów, aby się jednak cofali na terytorium Niemiec, bo Polacy w większości nie są zainteresowani ich pobytem tutaj.

***Używacie siły?***

Nie, ale są sytuacje, gdy musimy dokonać ujęcia obywatelskiego.

***Co to znaczy? Jak ono wygląda?***

Kiedy widzimy, że dochodzi do przestępstwa nielegalnego przerzutu przez granicę, a w okolicy nie ma naszej policji ani Straży Granicznej, to zatrzymujemy te osoby.

***Otaczacie je, próbują uciekać? Musicie interweniować fizycznie?***

Zdarza się, że niektórzy uciekają. Staramy się to robić bezinwazyjnie. Ale jeśli zaszłaby taka potrzeba, to mamy prawo siłowo zatrzymać takie osoby. Po chwili znajdują się już w rękach policji. Tak było np. z czterema Erytrejczykami, których ujęliśmy i przekazaliśmy polskim służbom. Znajdujemy dokumenty porzucone przez migrantów, ubrania, koczowiska. Zdarza się, że dokonujemy naprawdę szokujących odkryć – ostatnio odkryliśmy w lesie ciało Polaka wiszące na drzewie. Okazało się, że od półtora miesiąca był poszukiwany. To dowodzi, że w terenie przygranicznym, najbardziej narażonym na przerzut migrantów, nie ma polskich służb, nikogo tam nie było przed nami. To taki Dziki Zachód, pewne obszary przygraniczne w ogóle nie są kontrolowane.

***Premier, rzecznik rządu, wielu polityków koalicji i dziennikarzy, którzy ich wspierają, nazywają Ruch Obrony Granic bojówkami Bąkiewicza. Rzecznik MSWiA mówi, że tworzycie zamęt. Poseł Łącki wyzywa was od bandy oszołomów, a Tomasz Terlikowski namawia, by was skuwać i gdzieś wywozić. Prokuratura prowadzi jakieś postępowania wobec was. Jak to przyjmujecie?***

To wypisz, wymaluj cały proces deprecjonowania naszego ruchu, który stał się olbrzymim problemem nie tylko dla Tuska i tego rządu, lecz także dla Niemców. Ponieważ jesteśmy na granicy, cały proces migracyjny zostaje w znaczny sposób opóźniony. Jesteśmy zwykłymi obywatelami, nie mamy żadnych specjalnych uprawnień, jedynie obserwujemy i nagrywamy, a niemiecka policja przed nami ucieka. Podjeżdżają, widzą nas, zawracają i jadą na inne przejście. Tam znów spotykają naszych kolegów i uciekają dalej.

***Co to znaczy? Że trzeba z wami zrobić porządek, jak był uprzejmy powiedzieć premier?***

Dobre pytanie. Chodzi o usunięcie nas z terenu przygranicznego, byśmy nie mogli dokumentować tego przestępczego procederu. Trwa deprecjonowanie naszych działań, zohydzanie nas. Spodziewam się jakiegoś uderzenia we mnie osobiście, może nawet zatrzymania pod byle pozorem. Ta władza jeszcze w kampanii wyborczej odgrażała się, że będzie mnie zamykać. Przyjęli, że jestem bandytą, przestępcą, złodziejem. Do tej pory mnie nie zamknęli, bo nie mają za co. Ale w zeszłym roku przeszukano mi dom. To miało zapewne wystraszyć moją rodzinę, żonę, małe dzieci, ale chodziło też o przejęcie zgromadzonych przeze mnie materiałów. Jak widać, niczego nie znaleźli, bo jestem na wolności, a tę dętą sprawę umorzono.

***Wiedział pan, że w rządzie jest minister ds. społeczeństwa obywatelskiego, czy dowiedział się o jej istnieniu dopiero, kiedy stwierdziła, że wasze działania są „nielegalne, cyniczne i oparte na fake newsach"?***

Interesuję się polityką, ale powiem szczerze, że nie wiedziałem, iż mamy taką urzędniczkę. Dotychczas pracowała dość dyskretnie. Ta nagonka trochę się odbija na atmosferze na granicy, bo część ludzi wierzy w fałszywy przekaz. Padają wobec nas oskarżenia, że siłowo zatrzymujemy samochody, podszywamy się pod Straż Graniczną. To bzdury. My chcemy pokazać, że Bundespolizei działa jak zorganizowana grupa przestępcza o charakterze zbrojnym (bo są uzbrojeni). Zresztą składamy doniesienie do prokuratury w tej sprawie – oni łamią prawo, swoje i międzynarodowe. A państwo polskie w tym uczestniczy.

***Co słyszycie od mieszkańców terenów przygranicznych? Jak oni na was reagują?***

To bardzo ciekawa obserwacja. Na 10 osób, które pojawiają się obok naszych posterunków, 8 wyraża poparcie, a ledwie 2 negują nasze działania albo są wrogo nastawione. Jest zdecydowana przewaga uważających, że robimy dobrą robotę. A przecież mówimy o ziemiach zachodnich, na których największym poparciem cieszą się partie lewicowo-liberalne.

***Ale w dniu, w którym ukazuje się nasza rozmowa, wchodzi w życie decyzja o zamknięciu granic z Niemcami i Litwą. Pierwszy postulat Ruchu Obrony Granic został więc zrealizowany. Może nie jesteście już potrzebni?***

Cieszymy się, że udało się zmusić premiera do podjęcia tej decyzji. Straż Graniczna będzie miała więcej możliwości działania. Natomiast zasadniczo ruch Tuska jest pozorowany. Chodzi właśnie o sprawienie wrażenia, że jesteśmy zbędni. Jeszcze tydzień temu



eprasa.pl 4ca092825d

premier mówił, że granica jest bezpieczna, nie ma żadnych nadużyć. Ale ludzie widzą, co się dzieje, mają poczucie zagrożenia, więc nic dziwnego, że notowania rządu lecą na łeb na szyję.

***Kanclerz Niemiec jest zadowolony z zamknięcia granicy przez Polskę.***

Czy to nie jest zastanawiające? Cieszy się, że Polacy będą po swojej stronie zatrzymywać migrantów, mówi o jakichś wspólnych polsko-niemieckich patrolach. Ale przede wszystkim liczy na to, że Tusk pozbędzie się nas znad granicy. Sami Niemcy zaczęli preparować jakieś oskarżenia pod adresem naszych wolontariuszy o przemyt ludzi. Lecz jest to tylko krzyk złodzieja, który krzyczy: „Łapać złodzieja".

***Jak w praktyce może wyglądać kontrola granicy od momentu zamknięcia przejść? Minister Szłapka mówił, że obowiązujące procedury się nie zmieniają.***

Niemcy dalej będą nam podsyłać tych migrantów, a my będziemy ich odbierać. Zapewne pojawią się stałe punkty na głównych przejściach granicznych. Zostanie to ograne PR-owo, pokazane, że Donald Tusk z ministrem Siemoniakiem panują nad sytuacją, a ci w żółtych kamizelkach to jacyś bojówkarze, radykałowie, których trzeba rozpędzić.

***Wystarczy strażników granicznych? Nawet Onet cytował niedawno funkcjonariuszy, którzy mówili o zamknięciu granic: „Decyzja dobra, ale pytanie, jakimi zasobami to zrobią". Z odpowiedzi MSWiA na interpelację posła Andrzeja Zapałowskiego wynika, że w SG jest 1,2 tys. wakatów.***

Będą ściągać np. Żandarmerię Wojskową i w ten sposób uzupełniać niedobory. Ale nie to jest najważniejsze. Chodzi o to, żeby te budy stały na przejściach, media to ograły, a przeciętny Polak miał poczucie, że rząd coś robi. To teatr. Tusk musi spłacać długi, które ma wobec Niemców.

***W jednej z wypowiedzi stwierdził pan, że Straż Graniczna wspiera nielegalny proceder przemytu ludzi. Nie za ostro? Może oni mają związane ręce? Funkcjonują wszak w mundurowej strukturze hierarchicznej, która bazuje na wykonywaniu rozkazów.***

Nie mam nic do Straży Granicznej. To bardzo potrzebna formacja, większość ludzi pełniących w niej służbę to polscy patrioci.

***A ja słyszę od premiera, że przeszkadzacie strażnikom, obrażacie ich.***

Fakty są takie, że z reguły doskonale z nimi współpracujemy. Więcej, mamy nawet w SG swoich informatorów. W prywatnych rozmowach opowiadają o sytuacji w Straży, czasem przekazują bardzo dokładne informacje.

> Przyjeżdżają też obcokrajowcy. Dziś wyruszył do nas przedstawiciel Polonii w Teksasie. Otrzymuję również mnóstwo wiadomości od osób, które nie mogą przyjechać z zagranicy, ale wesprą nas finansowo

***Na jaki temat?***

Np. o miejscu planowanego przerzutu migrantów. Albo o zmuszaniu funkcjonariuszy do tworzenia dokumentów *post factum*, czyli fałszowaniu papierów migrantom, legalizowaniu ich pobytu. Czują się też poniżani przez polskie władze, gdy muszą pełnić służbę z niemieckim funkcjonariuszem, który przez cały czas patrzy im na ręce. Skoro przywracamy kontrole graniczne, to znak, że są jakieś nieprawidłowości po niemieckiej stronie. Jak w tej sytuacji Niemiec może pilnować pracy polskich służb? To patologiczna sytuacja.

***Czego oczekuje pan od strażników granicznych? Powszechnego buntu?***

My realnie stoimy murem za polskim mundurem. Ale nie może być tak, że za tym hasłem będą się ukrywać funkcjonariusze, którzy wykonując rozkazy, łamią prawo i ściągają na nas niebezpieczeństwo. Mamy ogromny szacunek wobec tych ludzi, rozumiemy, że są pod presją swoich przełożonych. Jednak są oni zmuszani do przestępstw, które nie mogą pozostać bezkarne. Jeśli funkcjonariusz na moście granicznym mówi nam, że przejmą migrantów od Niemców, zabiorą np. do Zielonej Góry i dopiero tam będą ich sprawdzali, nie dysponując żadnymi dokumentami, to jest po pierwsze fikcja, a po drugie akceptowanie bezprawia. Co więcej, po przesłuchaniu, z którego niewiele wynika, ci migranci są wypuszczani na ulicę. Nakłada im się np. nakaz zgłaszania się do placówki Straży Granicznej raz w miesiącu. To kpina!

***Ciekawe, że takie polskie państwo zapewnia ulgowe traktowanie tylko na granicy zachodniej.***

Dokładnie! A to ja byłem w Usnarzu Dolnym na początku ataku hybrydowego ze wschodu. Jako pierwsza osoba publiczna powiedziałem, że trzeba zbudować mur, zanim jeszcze zaczęli o tym mówić politycy. Atakowano mnie za to. A my już wtedy pomagaliśmy Straży Granicznej, terytorialsom, bo lewactwo, które się tam gromadziło, nie dawało im żyć. Mieliśmy tych wszystkich „aktywistów", którzy komunikowali się z migrantami, pomagali im w przejściu przez polsko-białoruską granicę.

***Dziś znamy tych ludzi z imienia i części nazwiska, bo w Białymstoku trwa ich głośny proces.***

Mam nadzieję, że nie ostatni. Dwa tygodnie po naszej obecności w Usnarzu okazało się, że sprawa zapory weszła do publicznej agendy, a dziś popiera ją nawet Donald Tusk ze swoją ekipą. Tak, stoję murem za polskim mundurem!

***W ilu przypadkach Ruch Obrony Granic zadziałał? Przerzut ilu migrantów udaremniliście?***



eprasa.pl 4ca092825d

To trochę niepoliczalne, ale odpowiem tak: na niektórych przejściach granicznych, na których się pojawiliśmy, ten proceder stanął. W placówce w Zielonej Górze codziennie pojawiało się kilkudziesięciu nielegalnych, a po naszej interwencji przez kilka dni nie przywieziono nikogo. Niemcy wielokrotnie wstrzymywali działania, gdy widzieli, że ich obserwujemy.

***Wielu osobom się wydaje, że granicy zachodniej jest łatwiej pilnować, bo płynie tamtędy Odra, duża rzeka, przez którą nikt się nie przedrze.***

Tak nie jest. Na Odrze, podobnie jak na Nysie Łużyckiej, są płycizny, na których woda nie sięga wyżej niż do połowy łydki, zwłaszcza w lecie. Takie brody pokazują nam miejscowi. Informują, którędy są przerzucani ludzie. Niebawem będziemy uruchamiać drony, zakładać fotopułapki w miejscach poza przejściami. Np. na południowym odcinku granicy jest stary most kolejowy, od dawna nieużytkowany, bardzo niebezpieczny. Myśleliśmy, że nie da się przeprowadzić tamtędy ludzi nocą. Okazało się, że jest to możliwe.

***Ruch angażuje się też w protesty przeciw powstawaniu centrów integracji cudzoziemców. Dlaczego one budzą taki sprzeciw? Pierwsze powstało jeszcze w czasach rządów PiS.***

Sam pomagałem uchodźcom ukraińskim, choć w wielu aspektach byłem krytyczny wobec polityki PiS względem migrantów. Tyle że na początku idea CIC była inna – powstawały głównie po to, żeby pomagać masie uchodźców z Ukrainy. Po zmianie rządu zmieniło się ich przeznaczenie, a nowe wytyczne ministerstwa jasno stanowią, że w centrach ma się m.in. pomagać w legalizowaniu pobytu. Ich mnogość (nagle, trzy lata od wybuchu wojny, gdy napływ Ukraińców się zatrzymał, ma powstać aż 49 takich ośrodków!) wskazywała na to, że ktoś planuje rozrzucanie nielegalnych migrantów po terytorium całego kraju. Nie da się nie łączyć tego wszystkiego z wejściem w życie paktu migracyjnego.

***Nielegalni imigranci chcą się integrować?***

To zupełny nonsens! Spójrzmy na Europę Zachodnią czy Skandynawię – ci ludzie w swej masie się nie integrują, budują własne dzielnice. Powstają strefy no-go, strefy szariatu. W 2023 r. trzeba było użyć uzbrojonego wojska, żeby wejść do jakiejś dzielnicy w Malmö. Nie ma żadnej integracji i nie będzie. Powtarzamy model zachodni, który jest samobójczy. Wydarzenia na zachodniej granicy są jedynie przygrywką na potrzeby wewnętrznej polityki Niemiec.

> Spodziewam się jakiegoś uderzenia we mnie osobiście, może nawet zatrzymania pod byle pozorem. Ta władza jeszcze w kampanii wyborczej odgrażała się, że będzie mnie zamykać

***Faktem jest, że Niemcy zmieniły swoją politykę migracyjną.***

Ale kosztem innych państw, zwłaszcza naszego. Kanclerz Merz musi pokazać, że walczy z migrantami, bo rośnie w siłę antyimigrancka AfD. Rozumiem, że u nas działa to podobnie. Tusk przebiera się w szaty obrońcy granic, bo widzi na horyzoncie upadek swojej władzy.

***Za miesiąc głową państwa będzie już Karol Nawrocki. Czego się pan spodziewa po jego prezydenturze w obszarze, o którym rozmawiamy?***

Mam nadzieję, że wesprze nasze działania.

***Robi to. Kilkakrotnie panu osobiście dziękował.***

Bardzo jestem za to wdzięczny prezydentowi elektowi. Tym bardziej że było to w kontrze do tego, co mówił na nasz temat Donald Tusk. Mam nadzieję, że prezydent użyje wszelkich sił, żeby zatrzymać albo chociaż opóźniać proces migracyjny. Już się udało co najmniej odsunąć w czasie to zagrożenie. Do tego organizujemy ludzi, przygotowujemy zasoby do obrony państwa.

***Macie struktury na terenie całego kraju?***

Tak, większe, mniejsze, ale cały czas powstają kolejne i się poszerzają. Co najważniejsze, wychodzimy poza paradygmat podziałów politycznych. Są wśród nas ludzie głosujący na PiS, na Konfederację, są tacy, którzy wcześniej w ogóle nie angażowali się w żadną politykę. A zdarza się, że przychodzą osoby, które głosowały na Platformę Obywatelską i mówią, że na obecną politykę nie mogą się godzić.

***Powinno się spróbować powtórzyć referendum, które „unieważnił" Donald Tusk w 2023 r.? Czy mielibyśmy dziś inną sytuację, gdyby tamto okazało się wiążące?***

Oczywiście! Wskazywałoby, że Tusk działa nawet przeciwko swoim własnym wyborcom. Jeśli uda się je powtórzyć, to jestem przekonany, że osiągniemy wymagany próg i będzie ono wiążące. A że zwycięskie – chyba nikt nie ma wątpliwości. Ono może zakończyć władzę Tuska. Zobaczymy, czy premier znowu będzie je torpedował. Jeśli tak, to dowiedzie, że chce nas zalać nielegalnymi migrantami.

***Kim dziś jest Robert Bąkiewicz?***

Tym, kim był zawsze, choć przyprawiono mu nieprawdziwą gębę. Jestem polskim patriotą. Być może mam większą wyobraźnię niż niektórzy ludzie i potrafię przewidzieć, jakie czekają nas konsekwencje złych decyzji polityków. Kocham Polskę, dbam o polskie społeczeństwo, o własną rodzinę, dzieci. Jestem człowiekiem, który zatrzyma nielegalną migrację do Polski.



eprasa.pl 4ca092825d

# Polska walczy z „odrzutami z Niemiec”

*Całkiem możliwe, że Donald Tusk nie mówi prawdy na temat motywów wprowadzenia przez polski rząd kontroli granicznych*

JAN ROKITA

Po tym, jak we wtorek rząd zdecydował o stałych kontrolach granicznych na granicach z Litwą i Niemcami, na stronach Komisji Europejskiej pokazała się skorygowana mapa Europy, zaznaczająca te kraje strefy Schengen, które podjęły podobną decyzję. Jest ich 11, czyli prawie 40 proc. z ogólnej liczby 29 państw schengenowskich.

## „ŚRODEK” I „OBRZEŻA” EUROPY

Co ciekawe, na tej mapce widać wyraźnie pewną prawidłowość. To „środek” Europy coraz bardziej zdecydowanie likwiduje swobodę poruszania się pomiędzy państwami – w przeciwieństwie do europejskich „obrzeży”, które nie wykazują entuzjazmu dla wprowadzania granicznych restrykcji. Schengenowska swoboda rozpadła się tak naprawdę na trzy substrefy: jedną na zachodnich obrzeżach Europy (Półwysep Iberyjski), drugą – na krańcach północno-wschodnich (Finlandia, kraje bałtyckie) i trzecią – na południowym wschodzie (Grecja, Rumunia, Węgry, Chorwacja). Wnętrze kontynentu – tak jak w poprzednim stuleciu – znów jest poprzecinane uszczelnianymi granicami i punktami kontrolnymi.

Fot. Straż Graniczna/X.com x2



eprasa.pl 4ca092825d

Ten geograficzny podział na „środek” i „obrzeża” Europy ma swoją wewnętrzną logikę. Państwa z „obrzeży” – przynajmniej co do zasady – nie są zainteresowane nawrotem wewnętrznych granic europejskich. Zdają sobie bowiem sprawę, że w dzisiejszych okolicznościach zamurowanie zewnętrznej granicy strefy Schengen jest niemożliwe, a presja migrantów z Afryki i Azji w przyszłości będzie się raczej zwiększać. Ani Hiszpanii nie udało się wznieść skutecznego muru otaczającego Ceutę, ani Polsce szczelnie odgrodzić się od wrogiej Białorusi. Nikomu w Europie dotąd się to nie udało. A skoro tak, to interes europejskich „obrzeży” polega na tym, aby ci, którzy w taki bądź inny sposób przedarli się przez schengenowską zewnętrzną granicę – czy to siłą, podstępem, czy nawet z jakoś zdobytą wizą – mogli swobodnie przemieszczać się dalej, tam, gdzie naprawdę chcą, czyli zazwyczaj do Niemiec, Anglii czy Szwecji. Pod tym względem wyjątkiem są Włochy, które z racji położenia geograficznego należą wprawdzie do „obrzeży”, do których przez morze dociera nieustanna fala migracyjna, ale w jakimś sensie są też krajem „środka”, gdyż w ich stronę podąża spora część tych przybyszów, którzy dostali się do Europy przez Bałkany.

Restytucją granic i kontrolami na przejściach granicznych próbują się bronić państwa „środka” Europy. Rzecz jasna kluczowe są tu Niemcy, bo od czasu sławetnego zaproszenia Angeli Merkel z 2015 r. to do tego kraju zmierza lwia część afrykańskich i azjatyckich migrantów. Co prawda Berlin dawno się wycofał z polityki otwarcia i gościnności, dziś uznawanej przez niemiecką chadecję za poważny błąd, ale nie zmieniło to ogólnej sytuacji.

Każdego roku na terytorium Niemiec nielegalnie przybywało grubo ponad 1 mln ludzi, którym wcześniej jakoś udało się dostać do Polski, Czech, Austrii czy Francji. Socjalistyczno-zielony rząd kanclerza Olafa Scholza próbował zablokować ten trend, m.in. wprowadzając czasowe kontrole graniczne, najpierw tylko na niektórych, a w końcu na wszystkich niemieckich granicach. Ale efekt tej polityki był mizerny. Zwłaszcza gdy idzie o kontrole graniczne przeprowadzane wyrywkowo, niekonsekwentnie, a to nie tylko z powodu braku budżetowych pieniędzy na policję graniczną, lecz jeszcze bardziej z powodu ideologicznych przesądów multi-kulti, ciągle wyznawanych przez sporą część niemieckiej lewicy oraz Zielonych.

Friedrich Merz wygrał w lutym wybory, obiecując Niemcom realny przełom w tej dziedzinie. Tuż przed elekcją wywołał w kraju wielki spór i falę skierowanych przeciw CDU manifestacji, wciągając opozycyjną AfD do wspólnego uchwalenia antyimigracyjnego planu, obejmującego m.in. całkowitą blokadę prawa do azylu na terytorium Niemiec. Bundestag uchwalił plan Merza, ale w istocie nie wiadomo po co, gdyż skołowacony nowy kanclerz uroczyście wyrzekł się jakiejkolwiek współpracy z prawicą, tworząc rząd z socjalistami.

Od tamtego czasu w Berlinie trwa ustawiczna przepychanka w kwestii polityki imigracyjnej: socjaliści blokują blokadę prawa azylu, krzycząc, iż byłby to niemiecki zamach na fundamenty Unii Europejskiej, a Merz za pomocą doraźnych środków administracyjnych próbuje zaostrzyć kontrole graniczne.

Na wtorkowym posiedzeniu polskiego rządu premier Tusk przekonywał, iż w ciągu ostatniego miesiąca (czyli w czerwcu 2025 r.) nastąpiła ponoć „wyraźna zmiana” w postępowaniu policji, która „faktycznie odmawia wjazdu” do Niemiec ludziom deklarującym na granicy, iż chcą się ubiegać o azyl w Republice Federalnej.

Jeśli Tusk mówi prawdę, oznaczałoby to, że Merz wygrywa swój wewnętrzny spór z lewicowym koalicjantem. I albo ma ciche przyzwolenie SPD na to, aby *de facto* zablokować prawo do azylu w Niemczech poprzez wewnętrzne instrukcje dla policji federalnej, albo możemy oczekiwać, iż za jakiś czas praktyka ta zostanie sformalizowana przez niemiecki rząd i uzyska akceptację Unii Europejskiej, jak wcześniej stało się to w przypadku Polski. Gdyby istotnie tak było, stworzyłoby to kolosalny problem dla rządu Tuska, na który nic nie poradzą nawet najostrzejsze polskie kontrole graniczne. Warto bowiem zauważyć, że w tym, co mówił premier w miniony wtorek, argumentując decyzję o wprowadzeniu kontroli granicznych, tkwi istotna wewnętrzna sprzeczność.

## MOTYWY DECYZJI PREMIERA

Tusk twierdzi, iż „przy braku kontroli granicznych po stronie polskiej trudno jest określić, czy osoby zawracane, czy przekierowywane do Polski, powinny być tam kierowane”. Rozumie się, że teraz, po wprowadzeniu kontroli, będzie można to ocenić. Ale to przecież nonsens. Jeśli bowiem naprawdę Niemcy przestali (albo przestaną) przepuszczać przez granicę potencjalnych azylantów, to owi ludzie z natury rzeczy zostaną „przekierowani” z powrotem na stronę polską, niezależnie od tego, czy po naszej stronie są kontrole, czy ich nie ma. A jest to jeszcze bardziej oczywiste, jeśliby (tak jak dawniej bywało) polskie i niemieckie kontrole graniczne były prowadzone wspólnie, skoro oba kraje już je wprowadziły. Taki model zapowiada teraz Merz jako przedmiot trwających uzgodnień z rządem polskim.

Całkiem zatem możliwe, że Tusk nie mówi prawdy na temat motywów wprowadzenia przez polski rząd kontroli granicznych. Jak dotąd nie ma żadnych znanych publicznie danych, które by dowodziły, że sposób działania niemieckiej policji na polskiej granicy zmienił się radykalnie w ciągu ostatniego miesiąca. Od początku maja do połowy czerwca policja zawróciła na polskiej granicy niewiele ponad 1 tys. osób, co oznacza, iż średnia liczona na miesiąc



eprasa.pl 4ca092825d

jest teraz niższa niźli w ubiegłym roku, za lewicowo-zielonego rządu Scholza. Z pewnością do połowy ubiegłego miesiąca na granicy nie było zatem widać żadnego nadzwyczajnego „efektu Merza", na jaki powołuje się Tusk. Nadto zdrowy rozsądek każe zakładać, iż polski rząd jest świadom tego, że nasze kontrole nie mają i nie będą mieć wpływu na to, czy Niemcy wpuszczają, czy nie wpuszczają nielegalnych imigrantów na swoje terytorium. Jeśli nie wpuszczają, to i tak zostaną oni w Polsce, czy się to komu podoba, czy nie. A jeśli tak, to znaczy, że prawdziwym motywem, który skłonił Tuska do wprowadzenia kontroli na granicy niemieckiej, jest wewnątrzpolski kryzys polityczny, który sprawnie wywołały na tym tle Konfederacja i PiS.

Po wyborach prezydenckich polityczna pozycja Tuska jest tak słaba, jak nigdy w ciągu ostatnich dwóch dekad. A prorządowe (teraz już tylko teoretycznie) media każdego dnia rysują perspektywę jego definitywnego upadku. Najnowsze sondaże opinii są katastrofalne dla Platformy, a w kraju narastają nastroje nacjonalistyczne, zwłaszcza w młodym pokoleniu. Nic zatem dziwnego, że Jarosław Kaczyński i Krzysztof Bosak wszczęli wielką kampanię antyrządową, sugerując z przesadą, że na zachodniej granicy dzieją się jakieś nadzwyczajne rzeczy. Pogardliwie nacjonalistycznej retoryki zaczął używać lider Konfederacji, który do tej pory wyróżniał się racjonalnym językiem w debacie politycznej. Teraz oskarża Tuska, iż ten „robi z Polski pojemnik na odrzuty z Niemiec", przytaczając przykład cofniętych do Polski ośmiu Somalijczyków.

Z kolei Kaczyński inspiruje akcje Ruchu Obrony Granic, które są widowiskowe i świetnie nadają się do mediów, ale raczej nie mają wpływu na postępowanie niemieckiej policji. Spycha też gabinet Tuska do jeszcze głębszej defensywy niż dotąd, forsując naśladującą Donalda Trumpa ustawę o zakazie wjazdu do Polski dla obywateli państw Bliskiego Wschodu i Afryki. Ma to sprawiać wrażenie pomysłu na zmuszenie Berlina do wpuszczania wszystkich imigrantów idących z Polski do Niemiec. Ale tak nie jest, bo nawet ustawowy zakaz wjazdu nie będzie skuteczny, jeśli na polsko-niemieckiej granicy policja odmawia jakiemuś przybyszowi z Polski prawa do przekroczenia granicy. A wszystko to bardzo podoba się dużej większości opinii publicznej, która, po pierwsze, naprawdę nie chce imigrantów, po drugie, żywi coraz silniejszą awersję do Tuska i jego rządu, a po trzecie, nie bez racji łatwo daje się przekonać, iż przegrany i politycznie sparaliżowany premier już nie umie/nie chce (?) rozwiązywać nawet najprostszych problemów. A co dopiero tak zapętlonych węzłów gordyjskich, jak ten z rosnącą falą migrantów, maszerujących na Europę.

> Polski rząd jest świadom tego, iż nasze kontrole nie mają i nie będą mieć wpływu na to, czy Niemcy wpuszczają, czy nie wpuszczają nielegalnych imigrantów na swoje terytorium

## PROBLEM ZOSTANIE?

Bezradny Tusk miota rytualne wyzwiska i groźby pod adresem PiS, oszczędzając przy tym – co ciekawe – Konfederatów, którzy z Bosakiem na czele niosą dziś sztandar walki z ludzkimi „odrzutami z Niemiec". Ale tańczy już tylko tak, jak zagrają mu Bosak i Kaczyński. Jeśli lider Konfederacji każe mu wprowadzić kontrole graniczne, to je wprowadza, świadom zapewne (bo przecież musieli mu to powiedzieć choćby eksperci z MSW), że niewiele albo zgoła niczego to nie zmieni. W chwili, gdy piszę ten tekst, nie wykluczyłbym nawet tak jeszcze niedawno nieprawdopodobnej rzeczy, jak to, że Tusk zostanie zmuszony do przyjęcia jakiejś wersji pisowskiego projektu o zakazie wjazdu dla przedstawicieli niektórych narodowości. W jakiejś mierze taki bieg zdarzeń sugerowała już sejmowa mowa szefa rządu wygłoszona przy okazji wniosku o wotum zaufania. To wtedy premier po raz pierwszy tak dobitnie przedstawił dziesięć sztandarowych haseł PiS jako program swojego gabinetu.

Z perspektywy walki o władzę kampania Konfederacji i PiS skierowana przeciw ludzkim „odrzutom z Niemiec" jest posunięciem brawurowym i skutecznym. Może (choć nie musi) okazać się nawet akcją dobijającą politycznie Tuska i prowadzącą do obalenia jego rządu. Nie znaczy to jednak, że w jej efekcie zostanie rozwiązany problem afrykańskich i azjatyckich migrantów idących przez nasz kraj do Niemiec. Przez długi czas Niemcy faktycznie godziły się z taką praktyką, z czego korzystała nie tylko Polska, lecz także inne państwa unijnego „obrzeża". Przypomnijmy liczby: w 2024 r. do Niemiec ze wschodu, południa i zachodu przyszło 1,7 mln imigrantów, z tego kilkaset tysięcy przez terytorium Polski. W trybie readmisji (na mocy tzw. reguł dublińskich) do naszego kraju cofnięto 690 osób. Nadto blisko 10 tys. osób nie wpuszczono do Niemiec, zawracając ich do Polski z granicy.

Prawdę mówiąc, liczby te unaoczniają, że od czasów „polityki gościnności" Angeli Merkel w Niemczech bardziej zmieniły się nastroje i deklaracje niźli realna polityka. Merz chciałby dokonać przewrotu w tej kwestii, gdyż obiecał Niemcom „imigracyjny stan wyjątkowy". Ale natrafia na przeszkody, których chyba nie potrafi przełamać. Psiocząc nieustannie na Merkel, przez lata korzystaliśmy z jej (i jej następców) gotowości milczącego przyjmowania od nas nielegalnych imigrantów. Jeśli Merz okaże się kanclerzem, który naprawdę potrafi przełamać ten kierunek, to Polska, niezależnie przez kogo rządzona, na serio będzie mieć kłopoty z imigrantami. Ale na razie ciągle więcej wskazuje na to, że ugrzęźnie, tak samo jak ugrzązł Scholz. Wtedy nasze prawdziwe problemy z migracją zaczną się dopiero w 2029 r., jeśli następnym kanclerzem zostanie Alice Weidel.



eprasa.pl 4ca092825d

# Obóz władzy po wyroku Sądu Najwyższego: odwrót na z góry upatrzone pozycje

*Ważną częścią „upatrzonych pozycji" jest odmawianie Izbie Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych Sądu Najwyższego prawa do bycia sądem, a także jej uznawanie, gdy jest to korzystne*

Fot. Wojciech Olkusnik/East News

TOMASZ ŻUKOWSKI

Dni i tygodnie po wygranej Karola Nawrockiego w drugiej turze wyborów to ich specyficzna „trzecia tura". Kluczowa część obozu rządzącego buduje wówczas ruch próbujący podważyć wiarygodność procesu wyborczego, przekonać opinię publiczną o masowych „fałszerstwach", wymusić ponowne przeliczenie głosów, wreszcie opóźnić albo nawet uniemożliwić zaprzysiężenie prezydenta elekta. Twarzą tego przedsięwzięcia jest Roman Giertych, rolę „tego łagodnego" odgrywa Adam Bodnar, a w tle stoi Donald Tusk.

W poprzednim numerze „Sieci" dość szczegółowo opisywałem ten proces aż do 26 czerwca (dnia przesłania tekstu do druku). Dziś ciąg dalszy.

## Na początek: przypominamy cele ruchu

Są to: wzniecanie społecznego lęku z powodu złego policzenia głosów („nie znamy prawdziwego wyniku"), podważenie zaufania do liczących („przeliczmy to jeszcze raz") oraz osądzających przebieg procesu wyborczego („Izba Kontroli Nadzwyczajnej Sądu Najwyższego to nie sąd"), przejęcie procesu ponownego liczenia (najlepiej przez prokuraturę).

Na końcu miało być unieważnienie wyborów lub przynajmniej stworzenie możliwości przeprowadzenia (pod kontrolą marszałka Sejmu pełniącego przejściowo obowiązki prezydenta RP) zmian w sądownictwie zgodnych z interesami starych elit sądownictwa i oczekiwaniami Unii Europejskiej

Początkowo ruch rozwija się pomyślnie. Wielu Polaków, w szczególności



eprasa.pl 4ca092825d

sfrustrowanych zwolenników Rafała Trzaskowskiego, jest gotowych uwierzyć w statystyczne ekspertyzy głoszące masowość błędów (a może i fałszerstw), domaga się ponownego przeliczenia wszystkich głosów, popiera wniosek prokuratora generalnego Adama Bodnara z 25 czerwca, by (zgodnie z wnioskami z eksperymentalnych badań początkującego w analizach wyborczych dr. Krzysztofa Kontka) przeprowadzić ponowne oględziny kart w 1,5 tys. obwodów głosowania. Jak zauważa redaktor Grzegorz Wierzchołowski z „Gazety Polskiej" tę narrację chętnie „kupują" media z Rosji i Białorusi. Budują obraz Polski jako kraju fałszerstw wyborczych.

Z czasem pozycja ruchu jednak słabnie. Skrajne hasła ponownego przeliczenia wszystkich głosów i unieważnienia wyborów niepokoją, co oczywiste, liderów PSL, Lewicy i Razem. Zaprzysiężenie Karola Nawrockiego zapowiada – jeszcze przed wyrokiem Sądu Najwyższego – marszałek Hołownia. O prawnej niemożności ponownego przeliczenia wszystkich głosów mówią ważne autorytety prawnicze: profesorowie Ryszard Piotrowski i Ewa Łętowska.

W społeczeństwie upowszechnia się opinia, że argumenty Gierycha są wątpliwe, skrajne. Odsetek ankietowanych popierających ponowne przeliczenie wszystkich głosów spada poniżej 50 proc. Wielkim ciosem w Giertycha jest też publikacja przez wp.pl 24 czerwca artykułu o umorzeniu przez prokuraturę śledztwa w jego sprawie w aferze Polnordu.

## *Dzień przełomu: 27 czerwca*

Naszą zeszłotygodniową relację zakończyliśmy na wydarzeniach z czwartku 26 czerwca. Dzień później Izba Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych Sądu Najwyższego odrzuca prawie 54 tys. (a więc przytłaczającą większość) protestów wyborczych. *De facto* są to dwa zmultiplikowane wzory autorstwa mecenasów polityków: Romana Giertycha (49,6 tys.) i Michała Wawrykiewicza (4 tys.).

Tego samego dnia do opinii publicznej docierają upowszechnione przez zamawiających trzy „fundamentalne" ekspertyzy: opracowania profesorów Dominika Batorskiego i Jarosława Flisa oraz dr. Piotra Szulca dla Fundacji Batorego oraz profesorów Jacka Hamana i Andrzeja Torója dla prokuratora generalnego.

Całkowicie destruują one tezy o masowych fałszerstwach, zamianach nazwisk przy wpisywaniu wyników korzystnych tylko dla jednej strony, masowym angażowaniu się członków komisji w fałszerstwa. Ze wszystkich ekspertyz wynika, że skala anomalii i wad w procesie liczenia wyborów była niewielka. Wedle tytułu pierwszej z ekspertyz były to więc nie fałszerstwa, a fałszywe alarmy. Duże prawdopodobieństwo anomalii nie dotyczy 1,5 tys. obwodów (to „umiarkowana wersja" lansowanych przez ruch unieważniania analiz dr. Kontka, w mediach mówił także o jednej trzeciej ogółu komisji). Takich obwodów jest 148 (Batorski i in.), 249 (Haman), 405 w wariancie zachowawczym (Tórój). To nieco ponad 1 proc. komisji lub jeszcze mniej.

> Co ważne, trójka ekspertów z Fundacji Batorego unieważniła skrajne tezy Giertycha o masowym fałszowaniu wyborów przez członków komisji

Owe anomalie dotyczyły wyników obu kandydatów, a nie jednego (wedle Giertycha i jego przekonanych zwolenników na zamianach zyskiwał tylko Nawrocki). Wedle ekspertyzy dla Fundacji Batorego ostatecznym beneficjentem owych anomalii był Trzaskowski (plus 2,2 tys. głosów), wedle Hamana netto zyskał Nawrocki (plus 1,4 tys. głosów). Obliczenia Torója wskazywały prawie remis. „Na żyletki" wygrał w tym bilansie nieuzasadnionych korzyści Trzaskowski (plus 266 głosów). Każda z tych liczb to co najwyżej jedna dziesiąta promila wszystkich głosów oddanych w drugiej turze wyborów (ok. 21 mln). Można powiedzieć, że pod tym względem proces liczenia wyborów zadziałał z godną podziwu dokładnością ponad 99,9 proc.

Co ważne, trójka ekspertów z Fundacji Batorego unieważniła też skrajne tezy Giertycha o masowym fałszowaniu wyborów przez członków komisji. Wedle ich wyliczeń – pierwszych poważnych po fantazjach Giertycha o „tłumie Kamratów" – masowego wpływania na wyniki wyborów przez manipulacje członków komisji obwodowych po prostu nie było.

Okazało się zatem, że jedyną realną podstawą „wielkiej paniki" wykreowanej przez „ruch odkręcenia wyborów" były bardzo rzadkie błędy ludzkie (z danych podanych przez przewodniczącego PKW Sylwestra Marciniaka wynikałoby, że mniej liczne niż 5 czy 10 lat wcześniej). Bardzo złe oceny zbiera też w oczach ekspertów analiza dr. Kontka. Zacytujmy: „Zdębiałem", „Arbitralne i absurdalne" (prof. Berent), „Niewiarygodny, fundamentalne błędy" (prof. Batorski i inni), „Nieprawdziwa i niegodziwa" (prof. Kalczyński z zespołem).

Kolejne wydarzenie z dnia przełomu to sondaż IBRiS informujący o załamaniu się (o prawie 8 pkt) notowań partii rządzącej.

Zapewne dlatego premier (to ciągle 27 czerwca), który o wynikach sondaży i ekspertyzach mógł wiedzieć wcześniej, oświadcza na konferencji prasowej, że – czytamy za PAP – jest mało prawdopodobne, aby skala nieprawidłowości przy wyborach prezydenckich wypaczyła w zasadniczy sposób ich wynik. „Jeśli marszałek Hołownia zwoła Zgromadzenie Narodowe w celu zaprzysiężenia prezydenta, to nie chciałbym, żeby zakończyło się to awanturą czy bojkotem".

Deklaracja premiera jest szokiem dla najtwardszych zwolenników „liczenia i unieważniania". Tomasz Lis w serii tweetów pisze m.in.: „Przegrać z wrogiem to jednak mniej boli niż być zdradzonym przez swoich"; „Waśnie



eprasa.pl 4ca092825d

mordowane jest nasze, obywateli, zwycięstwo z 15 października. [...] Teraz w naszym imieniu wywieszana jest biała flaga".

### *Znaczenie trzech ekspertyz: jak „władza wiedzy" (przejściowo) ograniczyła „władzę władzy"*

Do ogłoszenia trzech ekspertyz niekompetentne (lub świadomie zafałszowane) badania są instrumentalnie wykorzystywane przez polityków i media. Od 27 czerwca sytuacja zmienia się jakościowo. „Władza wiedzy" niezależnych ekspertów staje się czynnikiem rozstrzygającym o wiarygodności polityków, wspierającym (a w jakimś sensie zastępującym) władzę sędziów, ograniczającym polityczne pole wyboru obozu władzy.

Ma to konsekwencje. Choć większość środowisk akademickich i eksperckich w ostatnich wyborach prezydenckich popierała Trzaskowskiego, to praktycznie wszyscy spośród ekspertów specjalizujących się w kwestiach ilościowych analiz wyborów (i anomalii statystycznych) jednoznacznie publicznie odrzucają promowane przez ową partię błędne analizy służące polityce bazującej na zafałszowywaniu faktów. Dlaczego? Akceptacja (a nawet przemilczenie) takiej narracji uderza w etyczne i merytokratyczne podstawy ich zawodu, unieważniając ich rolę „depozytariuszy prawdy" w swojej dyscyplinie wiedzy.

### *Donald Tusk na rozstajnych drogach*

Urealnienie społecznych ocen celów ruchu Giertycha („ostrzegający przed fałszerstwami policjant" staje się dla większości Polaków „oszustem na wnuczka"), negatywna (często agresywna) reakcja uwiedzionych przez Giertycha wyborców KO na deklarację Tuska oraz spadające gwałtownie notowania jego formacji (także jego rządu) stawiają obóz władzy i jego liderów przed bardzo trudnym wyborem jednej z dróg.

Pierwsza – to uznać ważność wyborów i wygasić ruch Giertycha. Wydaje się, że właśnie taką ścieżkę wybraliby (przy wszystkich niuansach) koalicjanci Platformy: PSL, Polska 2050 i Lewica. Za wyborem tej strategii przemawiają spotkanie Karola Nawrockiego zaproszonego przez sekretarza generalnego NATO oraz pierwsze po długim milczeniu artykuły o polskiej „trzeciej turze" w niemieckiej prasie. 1 lipca w „Süddeutsche Zeitung" mogliśmy przeczytać, że „polski premier nie potrafi przegrywać" i „podsyca nieufność wobec władz i instytucji". Czy to jednostkowa opinia dziennikarki, czy kolejny przykład niemieckiej Mediamachtpolitik?

Druga droga – to dalej walczyć o wszystko: ograniczyć rolę zużytego Giertycha i wprowadzić do politycznej walki strategiczne odwody – 28 sędziów Sądu Najwyższego oraz pięciu byłych prezesów Trybunału Konstytucyjnego.

> Przyglądając się biegowi wydarzeń po werdykcie SN, można zauważyć, że choć pozostało nam już tylko oczywiste zaprzysiężenie prezydenta elekta, to w politycznej praktyce „trzecia tura" trwa

### *Wycofywanie się na z góry upatrzone pozycje*

Jeszcze przed wyrokiem Sądu Najwyższego zapada decyzja będąca wypadkową wymienionych wariantów. To częściowe wycofanie się na z góry upatrzone pozycje. Główne pole sporu zostaje przeniesione z oceny jakości procesów liczenia głosów na przeforsowanie stanowiska, że orzekająca o ważności wyborów Izba Sądu Najwyższego nie jest sądem. Krystalizuje się narracja: „Co prawda Izba to nie sąd, ale po rozpatrzeniu protestów wynik się nie zmienił i trzeba go uznać, a prezydenta Nawrockiego zaprzysiąc".

Porzuceniu „wysuniętych pozycji" (postulatów: „Przeliczyć wszystkie głosy", „Zająć się wszystkimi protestami – nawet gdy są takie same") najwyraźniej towarzyszą spory, na której linii okopów ostatecznie się zatrzymać, budując forty do obrony, a także do ewentualnych, przyszłych ataków. W strefie wahań znajduje się uznanie ważności wyborów. Adam Bodnar w piśmie z 30 czerwca do SN mówi o ważności, 1 lipca zgadza się z określeniem, że „nie sprecyzował swojego stanowiska", a 2 lipca, uchylając się przed ponawianymi pytaniami redaktora Konrada Piaseckiego w TVN24 o ważność wyborów, oświadcza: „Nawet jak dojdzie do tego zaprzysiężenia, to ono będzie dotknięte taką wizją pewnego kryzysu legitymizacji władzy prezydenckiej". Zapowiedź nieuznawania prezydenckiego weta?

Ważnym elementem skorygowanej polityki obozu władzy jest znana już skądinąd (i kojarzona z posłem Sławomirem Neumannem z PO) zasada: „Swoich nie zostawiamy, bronimy ich". Giertych, choć nieco wyciszony, powtarza swe argumenty i podejmuje rolę trendsettera Koalicji Obywatelskiej w kolejnej ważnej sprawie: kryzysu migracyjnego na granicy polsko-niemieckiej. Dr Kontek w roli bohatera pozytywnego pojawia się w wypowiedziach Adama Bodnara oraz w programie TVN24.

Ważną częścią „upatrzonych pozycji" jest odmawianie Izbie Kontroli Nadzwyczajnej SN prawa do bycia sądem (a także jej uznawanie, gdy jest to korzystne). 28 czerwca szeroko opisał to w wp.pl redaktor Piotr Słowik. Innym kluczowym elementem linii obrony jest forteca eurosądownictwa z „Bramą Luksemburską". Na ile uznawanie ważności wyborów w Polsce zależy od wyroków Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej i Europejskiego Trybunału Praw Człowieka? W tym kontekście warto odnotować fragment ustnego uzasadnienia głosu odrębnego do wyroku SN autorstwa sędziego Leszka Boska: „Stwierdzona w orzecznictwie TSUE wada procesowa polegająca na



eprasa.pl 4ca092825d

braku zewnętrznych oznak niezależności Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych z całą mocą ujawniła się w niniejszym postępowaniu". Wśród zarzutów pojawia się „utrudnianie zajęcia stanowiska w sprawach protestowych". To ewidentnie gromadzenie argumentów do przyszłego ataku ze wsparciem z zewnątrz.

## Co nowego w nowych dniach?

Przyglądając się biegowi wydarzeń przez kolejne dni po werdykcie Sądu Najwyższego z 1 lipca można zauważyć, że choć (wedle konstytucji i Kodeksu wyborczego) pozostało nam już tylko oczywiste zaprzysiężenie prezydenta elekta, to w politycznej praktyce „trzecia tura" trwa. Po nieskutecznej próbie wydłużenia przez prokuratora generalnego obrad SN (oczekiwanie indywidualnego rozpatrywania kseroprotestów) wielu polityków, prawników i mediów wciąż próbuje zastąpić w prawie i polityce czas dokonany niedokonanym lub wątpliwym. Zacytujmy za PAP wypowiedź jednego z posłów KO: „Jest jeszcze dużo czasu, ponad miesiąc. Piłka jest w grze. Zobaczymy, co wyjdzie Adamowi Bodnarowi ze sprawdzania [głosów w wyznaczonych komisjach – PAP]. Różne rzeczy są jeszcze przed nami". We wtorek 8 lipca zarząd PO ma zacząć wyznaczać bieżący kurs.

Analiza uwarunkowań takiego konfrontacyjno-polaryzacyjnego kierunku polityki obozu władzy to temat na odrębne opracowanie. Zgodzę się z tymi, którzy twierdzą, że wynika z najważniejszych interesów tego obozu i jego lidera.

Już teraz można jednak przedstawić trzy rekomendacje dotyczące przygotowania Polski i organów wyborczych do kolejnej elekcji.

## Trzy rekomendacje

### 1. Dla nauki

Warto, by naukowcy jeszcze raz zbadali „podejrzane" komisje. To bardzo mozolna praca. Chce ją wykonać zespół naukowców z Fundacji Batorego z prof. Adamem Gendźwiłłem (robił to już w odniesieniu do wyborów samorządowych z 2014 r.). Takie badanie, choć bez wątpienia przydatne, nie wydaje się jednak najważniejsze. Głównym problemem jest dzisiaj szokująca różnica między dobrą jakością prac komisji obwodowych a ogromną skalą protestów kreowanych przez ruch unieważnienia (z Romanem Giertychem). Pogłębiona analiza tego zjawiska (i szerzej – całości „trzeciej tury") jest niezbędna i ważniejsza od poprawy sprawności polskich procedur wyborczych, o ułamek promila dzielących je od nigdy nieosiągalnych 100 proc. Jak słusznie zauważył w ostatni czwartek w wywiadzie dla „GW" prof. Mikołaj Cześnik, uzyskiwany wynik demokratycznych wyborów zawsze jest przecież przybliżony: „Do pomyłek musi dochodzić".

> Co będzie, gdy w kolejnych wyborach z większym niż dziś udziałem sztucznej inteligencji powstanie np. 50–100 tys. wyborczych „protestów hybrydowych"? Jak się przygotować do tego wyzwania?

Najlepszym sponsorem i organizatorem takich badań powinny być Uniwersytet Warszawski i Uniwersytet Jagielloński oraz związani z nimi wybitni profesorowie – znawcy ilościowych badań wyborów. To doskonała okazja, aby oba uniwersytety, angażując się w takie badanie, potwierdziły swą szczególną rolę w życiu państwa.

### 2. Dla polityki

Ostatnie wybory pokazały, że polski system wyborczy miał bardzo poważne problemy (gratulacje dla przewodniczącego sędziego Marciniaka za doprowadzenie wyborów do końca). I nie chodzi tu (jak ustaliliśmy) przede wszystkim o proces liczenia głosów (tu wystarczą – do czasu zwiększenia się presji nowych technologii – korekty). Rażące jest co innego. Chodzi o protesty wyborcze. Tym razem mieliśmy ich *de facto* kilkaset, w tym dwa masowe „kseroprotesty". Co będzie, gdy w kolejnych wyborach – z większym niż dziś udziałem sztucznej inteligencji – powstanie np. 50–100 tys. „odgórnie zindywidualizowanych protestów hybrydowych"? Jak się przygotować do tego wyzwania? Na ile w rozpoznaniu tego zjawiska pomogą szybkie analizy statystyczne wyników z obwodowych komisji wyborczych?

### 3. Dla państwa i prawa

Największym zagrożeniem, dziś bardziej realnym niż wcześniej, jest utrata przez wybierane organy władzy niekontestowanej legitymacji do rządzenia. Rozwiązanie tego problemu z pewnością wymaga w Polsce „wielkiego kompromisu" ustrojowego. Czy jest możliwy? Scenariusze wymuszania takich zmian na drugiej ze stron sporu okazały się nieskuteczne. Nie czuję się kompetentny, by proponować szczegółowe rozwiązania tego wielkiego problemu. Wiem jednak, że przy poruszaniu się w gąszczu przepisów i wyroków (polskich, unijnych) podstawą muszą być słowa z preambuły konstytucji RP. Ustawę zasadniczą „jako prawa podstawowe dla państwa" ustanowił „Naród Polski – wszyscy obywatele Rzeczpospolitej". Najważniejsze jest, aby słów: „My, Naród" nie zastąpiła w praktyce (zwłaszcza w nowych realiach eurotraktatowych) inna formuła: „My, [omnipotentne] Sądownictwo Europejskie, ustanawiamy dla was, ludności polskiej – obywateli UE...".

PS Tekst oddany do druku w czwartek 3 lipca 2025 r.

***Tomasz Żukowski*** *(ur. 1957) pracuje na Wydziale Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych UW. Bada i komentuje polskie wybory i scenę polityczną od 1989 r. Autor (i współautor) m.in. pierwszych wyborów parlamentarnych z 1989 r., a także artykułów o wyborach prezydenckich z lat 1990 i 2020 w „Atlasie wyborczym Polski" PAN*



eprasa.pl 4ca092825d

# Minister Bodnar rozczarował

Minął miesiąc od drugiej tury wyborów prezydenckich. Ci, którzy je przegrali, zamiast siać ferment, powinni się po prostu wziąć do pracy. W biznesie jak projekt nie wypali, robi się analizę tego, co nie zadziałało i tak każdy kryzys można przekuć w sukces

Fot. Archiwum prywatne

***Z Kamilem Wnukiem, posłem Polski 2050, rozmawia Dorota Łosiewicz***

***Sąd Najwyższy podjął uchwałę o ważności wyborów prezydenckich. Czy to koniec powyborczej histerii?***

**Kamil Wnuk:** Tak naprawdę sprawa wyników wyborów zakończyła się 2 czerwca, kiedy PKW podała wynik wyborów. Może nie wszystkim się on podobał, ale był jednoznaczny. Karol Nawrocki wygrał przewagą niemal 400 tys. głosów. Jak przy każdych wyborach były pojedyncze nieprawidłowości, zostały one zgłoszone, wyłapane. Część polityków koalicji rządzącej – a właściwie jeden, czyli mecenas Roman Giertych – zupełnie niepotrzebnie rozpaliła powyborczą gorączkę polityczną, głosząc spiskową teorię o sfałszowanych wyborach. Wedle narracji Giertycha wybory miały być sfałszowane przez opozycję, a to jest niedorzeczność. W demokratycznym państwie nie istnieje możliwość sfałszowania wyborów przez opozycję. Od początku w to nie wierzyłem. Może nie mam dużego doświadczenia politycznego, ponieważ jestem posłem pierwszą kadencję, jednak od 2006 r. zawodowo zajmowałem się powoływaniem komitetów wyborczych, pełnomocnictwami w nich i budowaniem obwodowych komisji wyborczych, sam wielokrotnie byłem członkiem takiej komisji. Wiem dokładnie, jak pracują obwodowe komisje wyborcze, jak są wybierane, jak współpracują z PKW, w której zresztą jest obecnie więcej członków wybranych przez koalicję niż opozycję. Wiem, że zwyczajnie niemożliwe jest sfałszowanie wyborów na taką skalę, jak sugerował Giertych. Zdajemy sobie sprawę, że w 11 komisjach obwodowych miały miejsce nieprawidłowości. PKW ustaliła, że w protokołach 11 obwodowych komisji wyborczych doszło do zamiany wyników między kandydatami. W 9 obwodach głosy Rafała Trzaskowskiego zostały przypisane Karolowi Nawrockiemu, natomiast w 2 obwodach głosy Karola Nawrockiego zostały przypisane Rafałowi Trzaskowskiemu. Jednak to zamiana rzędu 2 tys. głosów. Ona nie powinna mieć miejsca, ale nie ma wpływu na wynik wyborów, które wygrał Karol Nawrocki.

***Wspomina pan o Romanie Giertychu, ale wynik wyborów podważa także minister sprawiedliwości Adam Bodnar, który powołał zespół prokuratorów mających dokonać oględzin kart***



eprasa.pl 4ca092825d

***w ok. 300 komisjach. Minister próbuje też wywrzeć presję na marszałku Sejmu Szymonie Hołowni.***

Jestem bardzo zawiedziony postawą ministra sprawiedliwości. Gdy pełnił funkcję RPO, uważałem go za bardzo rozsądnego człowieka. Ta zapowiedź jest dla mnie niezrozumiała, antydemokratyczna. Kompetencje marszałka Sejmu w kwestii wyborów prezydenckich są bardzo jasno określone, podobnie zresztą jak innych instytucji i organów państwa. W Polsce wybory przeprowadza PKW, a o ich ważności decyduje Sąd Najwyższy. Rolą marszałka jest zwołanie Zgromadzenia Narodowego, by doszło do zaprzysiężenia wybranego prezydenta. Marszałek nie ma prawa wtrącać się w wynik wyborów, bo nie ma takich kompetencji. Szymon Hołownia jest państwowcem, szanuje konstytucję i ustawy. Podejmie decyzję zgodnie z polskim prawem, choćby sam papież podpowiadał mu coś innego. Adam Bodnar zawiódł nie tylko w temacie wyborów, lecz także w reformowaniu systemu sprawiedliwości, w sądownictwie. Za czasów Zbigniewa Ziobry w wymiarze sprawiedliwości działo się źle, ale minister Bodnar niewiele zmienił.

***Marszałek Hołownia powiedział: „Nie będzie żadnego kombinowania. Jeżeli Sąd Najwyższy nie wyda postanowienia o nieważności wyborów prezydenckich, to zwołam Zgromadzenie Narodowe na 6 sierpnia i odbiorę przysięgę od nowego prezydenta. Jak ktoś chce robić zamach stanu, to nie z nami". Minister sprawiedliwości próbuje wmanewrować marszałka w zamach stanu?***

My wszyscy – posłowie, senatorowie – jesteśmy wybrani z woli narodu. Mamy więc mandat społeczny. Dziś jesteśmy w Sejmie, a za chwilę może nas tam nie być, jeśli suweren tak zdecyduje. Jesteśmy odpowiedzialni nie tylko za siebie, lecz także z tych, którzy na nas zagłosowali. Nie mamy więc prawa kwestionować wyniku wyborów. Ci sami obywatele, którzy wybierali prezydenta, wcześniej wybrali nas. W ten sposób wszystko można zakwestionować i podważyć, ale nie na tym polega demokracja. W demokracji wygrywa ten, kto dostał więcej głosów. Może nam się nie podobać kandydat, który wygrał, ale skoro dostał więcej głosów, to znaczy, że przekonał do swoich racji większą liczbę obywateli. Trzeba to zaakceptować. Co mogą zrobić przegrani? Zmienić swoje działania na takie, które będą się bardziej podobały wyborcom.

***Jak Polska 2050 zamierza modyfikować swoje działania? Z ostatnich kilku sondaży wynika, że znajdujecie się pod progiem wyborczym i możecie nie wejść do kolejnego parlamentu.***

Sondaże nie zaskakują, szczególnie w kontekście wyborczego wyniku Szymona Hołowni, który uzyskał 4,99 proc. poparcia, co po przełożeniu na poparcie dla partii także oznaczałoby, że znaleźlibyśmy się pod progiem. Przy czym marszałek startował z poparciem dwóch ugrupowań: Polski 2050 i PSL. Jednak sondaże mogą napawać lekkim optymizmem, gdyż nasze partie po „rozwodzie" uzyskują łącznie niemal 9 proc., a to więcej niż wynik z wyborów prezydenckich. I choć na razie jesteśmy pod progiem, to jednak oscylujemy blisko niego i jest na czym budować. Musimy dać wyborcom trochę czasu, żeby zobaczyli, że nasze ugrupowanie wraca do swojego politycznego DNA, do korzeni, czyli że jesteśmy alternatywą dla PO-PiS. Pewnie zaszkodził nam związek z PSL w kwestiach światopoglądowych i wyborcy trochę się pogubili w tym, o co chodzi Polsce 2050. Nasza partia powstała na bazie niezgody na dualizm PiS i Platformy. Musimy pokazać, że jesteśmy prawdziwą alternatywą dla ludzi, gospodarki, przedsiębiorców, musimy się zająć pomocą społeczną. Tymczasem PiS zajmuje się Tuskiem, a Tusk Kaczyńskim.

***Mówi pan o niezłym zsumowanym wyniku PSL i Polski 2050. Czy to znaczy, że możliwe jest wasze zejście się przed wyborami, czy jednak projekt Trzeciej Drogi skończył się na dobre?***

W polityce wszystko jest możliwe. Jednak ja jestem posłem Polski 2050, członkiem tej partii i skupiam się na jej rozwoju. Na pewno łatwiej jest działać, gdy startuje się wyłącznie pod własnym szyldem, z własnym programem. Dlatego lepiej byłoby startować samodzielnie, wystawić własne listy. Liczę też na to, że wyborcy zobaczą efekty naszej ciężkiej pracy, bo przecież cały czas pracujemy, tylko jesteśmy mało zauważani. Ja np. od początku tej kadencji mocno zajmuję się programami mieszkaniowymi dla obywateli. Napisaliśmy kilka ustaw, piszemy następne, zajmujemy się reformowaniem spółdzielczości, TBS. Udało nam się od początku do końca przeprowadzić ustawę o jawności cen mieszkań. Teraz przygotowujemy ustawę o rękojmi deweloperskiej, o cenach transakcyjnych mieszkań. Staramy się pomóc obywatelom na rynku pierwotnym i wtórnym. Mocno stawiamy też na budownictwo społeczne. Chodzi o to, żeby osoby, których nie stać na mieszkanie, mogły je wynająć od miasta, państwa, spółdzielni mieszkaniowej – tak żeby każdy młody człowiek mógł zaspokoić swoje potrzeby mieszkaniowe. Kolejna sprawa to asystencja osobista dla osób z niepełnosprawnością. Obiecaliśmy to jako Polska 2050, ten projekt w dziwny sposób jest blokowany przez Koalicję Obywatelską. Mamy też projekt odpolitycznienia spółek Skarbu Państwa, chcemy zrobić porządek z mediami publicznymi, bo chyba zbyt mało wyraziście wygłaszaliśmy naszą opinię w sprawie ich przejęcia przez największą partię rządzącą, a uważamy, że nie powinny wyglądać tak jak teraz. Kolejny temat dotyczy m.in. najmłodszych, czyli anonimowego hejtu w internecie czy ustawy o pornografii dziecięcej. Mamy kilka projektów dotyczących bezpieczeństwa najsłabszych, którym państwo go nie zapewnia. Ani poprzedni rząd, ani ten nie wprowadziły odpowiednich ustaw dotyczących bezpieczeństwa w sieci.

***Ciekawe tylko, czy to się przebije do opinii publicznej. Rzecznikiem rządu została bowiem osoba bisko związana z PO. Czy nowy rzecznik będzie miał ochotę mówić o pracy współkoalicjantów, czy raczej będzie mówił tylko tym, co robi Platforma?***

Trzeba dać mu szansę, dopiero zaczął swoją pracę. Na razie w jego przekazie jest mało treści, ale trzeba dać mu czas. Teraz jest dobry moment na sprawowanie mandatu poselskiego i realizowanie programu, ponieważ w najbliższym czasie nie ma żadnych wyborów. Nikt więc nie może posłużyć się argumentem – szczególnie nasz największy koalicjant – że jakieś działania komuś zaszkodzą. To, co miało zaszkodzić, już zaszkodziło.



eprasa.pl 4ca092825d

Liczę więc, że teraz będzie spokojny czas pracy. A jeśli ktoś nie będzie chciał mi pomagać, będę go głośno piętnował i będę głośno o tym mówił. Podobnie jak nie mam problemu z krytykowaniem Romana Giertycha, który szkodzi koalicji 15 października i polskiej demokracji. Nie zajmuję się projektami światopoglądowymi, tylko tymi, które mają ułatwić życie Polakom i liczę na to, że takie dobre projekty zyskają poparcie prezydenta Nawrockiego. W kwestii jawności cen mieszkań udało się porozumieć z prezydentem Andrzejem Dudą, który poparł mój projekt ustawy. Miałem z nim bardzo dobre spotkanie. Liczę, że prezydent Nawrocki, po tym, co spotkało jego córkę, chętnie wesprze ustawę o anonimowym hejcie w internecie. Te przepisy są dobre dla wszystkich i nie są ani lewicowe, ani prawicowe.

***Wspomniał pan, że Roman Giertych szkodzi koalicji i w ten sposób wracamy do sondaży. Koalicja Obywatelska notuje ogromne straty blisko 8 pp. To właśnie z powodu działalności Giertycha?***

Minął miesiąc od drugiej tury wyborów prezydenckich. Ci, którzy je przegrali, zamiast siać ferment, powinni się po prostu wziąć do pracy. W biznesie, jak projekt nie wypali, robi się analizę tego, co nie zadziałało i tak każdy kryzys można przekuć w sukces. Trzeba umieć wykorzystywać błędy, które się popełniło i umieć je naprawiać. Koalicja musi po prostu wziąć się do pracy. My już wyciągnęliśmy wnioski ze złego wyniku wyborczego, bo 4,99 proc. to nie jest sukces. Teraz będziemy pracować i robić swoje. Niestety część polityków, głównie KO, nie potrafi się pogodzić z porażką Rafała Trzaskowskiego. Próbują ją zwalić na fałszerstwa, których nie wiadomo, kto miał dokonać: kosmici, Rodacy Kamraci, Rosjanie. Gdyby Kamraci fałszowali wybory, to wygrałby je Grzegorz Braun, a nie Karol Nawrocki.

***Tylko czy da się pracować w atmosferze konfliktu pomiędzy koalicjantami, gdy wszyscy atakują wszystkich? Polska 2050 chce osłabienia wpływów Lewicy w rządzie, Anna Maria Żukowska atakuje minister Pełczyńską-Nałęcz, sugerując, że za chwilę „może być nikim" itd. Jak się skończą te debaty nad rekonstrukcją?***

Ciężko komentować działalność Anny Marii Żukowskiej na platformie X, bo jak się patrzy na jej konto, to można odnieść wrażenie, że ona jest w konflikcie ze wszystkimi. Nie wiem też, w jakich godzinach pani poseł pisze te posty i czy robi to sama. Brzmi to dziwnie jak na szefową klubu, który współtworzy rząd. My nie pragniemy nikogo osłabiać w rządzie, tylko chcemy, żeby gabinet pracował i by wszystko działało, a nie wszędzie działa dobrze. Jesienią rząd znajdzie się na półmetku, w każdym gabinecie po 1989 r. były zmiany w połowie kadencji. Taka jest kolej rzeczy. Jak coś nie działa, trzeba to wymienić. Wiele osób, które są w rządzie i Sejmie, już za bardzo zapuściło korzenie i straciło kontakt z Polakami. Warto się przewietrzyć, zobaczyć, jak wygląda życie naszych rodaków w Sosnowcu, Radomiu czy Zgorzelcu, a nie tylko w Warszawie. Niektórzy zapomnieli, kto ich wybrał i po co. Za bardzo skupiają się na politycznych intrygach, za mało na dobru Polaków.

> Jeśli Lewica ma mieć marszałka, jak zapisano w umowie koalicyjnej, to zamieniamy się i bierzemy wicepremiera. Tak mały klub nie może mieć wszystkiego

***Wrócę do przepychanek pomiędzy Lewicą a Polską 2050. Politycy waszej partii mówią jasno, że Lewica nie może mieć i marszałka, i wicepremiera.***

Jeśli Lewica ma mieć marszałka, jak zapisano w umowie koalicyjnej, to zamieniamy się i bierzemy wicepremiera. Tak mały klub nie może mieć wszystkiego. Poza tym proszę zwrócić uwagę, że w umowie koalicyjnej nie zapisano, że to Włodzimierz Czarzasty ma być marszałkiem Sejmu. Jest mowa o liderze Lewicy, a przecież przed tzw. rotacją będą tam wybory na szefa partii. W kuluarach słychać, że chętnych do kierowania nią może być więcej. Może się więc okazać, że na czele Lewicy stanie Krzysztof Gawkowski, Agnieszka Dziemianowicz-Bąk lub ktoś inny. Czy oni wciąż będą chcieli sprawować funkcję marszałka? Pożyjemy, zobaczymy. Powtórzę – najważniejsze jest, żeby rząd dobrze pracował. Z mojej perspektywy – a jak mówiłem, zajmuję się mieszkalnictwem – zmiany są konieczne. Dziś część kompetencji jest w Ministerstwie Rozwoju i Technologii, a ono zupełnie nie radzi sobie z tym tematem. Pojedyncze kwestie pozostają w gestii minister Pełczyńskiej-Nałęcz, która najlepiej sobie radzi z mieszkalnictwem, część w resorcie infrastruktury. To niedobry podział. Podobnie jest z kwestiami gospodarczymi. Mamy Ministerstwo Aktywów Państwowych, które powstało w poprzedniej kadencji dla Jacka Sasina, a było bardziej urzędem pracy niż ministerstwem, podobna sytuacja miała miejsce za ministra Budki. Tymczasem spółki Skarbu Państwa powinny bezpośrednio podlegać premierowi. Ministerstwo Przemysłu w obecnej formie nie do końca się sprawdziło. I to jest dobry moment na rekonstrukcję. Polsce 2050 zależy na tym, żeby kontynuować to, co robimy do tej pory. Chcemy też, żeby osoby, które są ministrami, nadal nimi były.

***Donald Tusk zdecydował o wprowadzeniu kontroli na granicy z Niemcami i Litwą. Dzień wcześniej nie widział takiej potrzeby. Jest pan zadowolony z tej sytuacji?***

Tak, bo wcześniej w państwa mediach mówiłem o tej potrzebie oraz o tym, że jako partia próbujemy przekonać do tego premiera. Nasz wiceminister Maciej Duszczyk także o to zabiegał. Trzeba było zdecydowanie odpowiedzieć Niemcom, bo oni wprowadzili kontrole, więc czemu Polska nie miałaby tego zrobić? Z danych wynika, że największy problem jest nie na granicy z Niemcami, tylko z Litwą. Dobrze zabezpieczyliśmy granicę z Białorusią, jednak Litwini sobie z tym nie poradzili i tamtędy idzie kanał przerzutowy. Dobrze, że będą kontrole. I ze względu na bezpieczeństwo, i na nastroje społeczne.



eprasa.pl 4ca092825d

# Upadek Tuska

*Obecny premier może skończyć najgorzej ze wszystkich szefów rządów po 1989 r.*

STANISŁAW JANECKI

Donald Tusk bardziej przegrał wybory prezydenckie (w II turze 1 czerwca 2025 r.) niż Rafał Trzaskowski – to powszechna opinia w kręgach polityków, politologów, socjologów, komentatorów, dziennikarzy i przeciętnych obywateli (poza „szurią" stworzoną głównie wokół Romana Giertycha). Tusk przegrał jako głowa, Trzaskowski jako korpus. Obecny szef rządu już sam poniósł też klęskę w wojnie o unieważnienie wyborów oraz niedopuszczenie do zaprzysiężenia Karola Nawrockiego na nowego prezydenta RP (Trzaskowski rozsądnie w niej nie uczestniczył). Premier nie wykonał także zadania powierzonego mu w Brukseli i Berlinie.

1 czerwca 2022 r. podczas konwencji Europejskiej Partii Ludowej w Rotterdamie przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen żegnała Donalda Tuska jako tego, kto – gdy spotkają się znowu – będzie nie tylko premierem w Polsce, lecz także stworzy i rozpowszechni w państwach Unii Europejskiej wzorzec wygrywania z tym, co liberałowie nazywają populizmem, a czasem nacjonalistycznym populizmem. Tak w brukselskiej centrali określa się rządy Mateusza Morawieckiego w Polsce, Giorgii Meloni we Włoszech, Viktora Orbána na Węgrzech, Roberta Ficy na Słowacji oraz – pod pewnymi warunkami, czyli nie tak nieprzejednanie – Petteriego Orpa w Finlandii, Ulfa Kristerssona w Szwecji czy Dicka Schoofa (gabinet przejściowy) w Holandii. Ale Tusk nie stworzył żadnego wzoru wygrywania z „populizmem", skoro „zagrożone" nim są jeszcze Austria, Grecja, Hiszpania, Portugalia, a nawet Niemcy. Nie sprawdził się również jako „pogromca" populizmu w Polsce (15 października 2023 r.). Nie wygrał wyborów parlamentarnych bezpośrednio, ale odsunął od władzy „nacjonalistycznych populistów", tworząc koalicję z innymi partiami, która w lipcu 2025 r. wyraźnie się „sypie". A przecież Tusk miał odsunąć „populistów" całkowicie i na zawsze, po drodze doprowadzając do przegranej Karola Nawrockiego w wyborach prezydenckich.

Po tych „sukcesach" już w czerwcu 2025 r. zachodni sojusznicy Tuska zauważyli, że nie jest on żadnym wzorem wygrywania z „nacjonalistycznym populizmem", w dodatku sam może stracić władzę jeszcze przed mającymi się odbyć „planowo" wyborami parlamentarnymi jesienią 2027 r. Z premiera zaczęły kpić niemieckie media, nazywając go spadającą lub kulawą kaczką, czyli kimś, kto się kończy. Na szczytach Rady Europejskiej zaczyna być traktowany jak ktoś, kto nie dotrzymał umowy i nie dobił „populistów". Jednocześnie zauważono coraz niższe notowania Tuska i jego rządu w Polsce (trwale przekroczona granica ponad połowy niezadowolonych z jego rządów) oznaczające upadek, który już się zaczął. W niemieckich mediach całkiem poważnie rozważa się wariant konserwatywnej koalicji PiS-Konfederacja, która może mieć w Sejmie większość konstytucyjną. W dużej mierze byłaby to „zasługa" Tuska.

## KOGO POCIĄGNIE NA DNO?

Porażka Tuska w wyborach prezydenckich ośmieliła koalicjantów do kwestionowania jego pozycji jako lidera koalicji 13 grudnia oraz szefa rządu. Nie robi tego tylko Nowa Lewica, ale głównie dlatego, by w listopadzie 2025 r. Włodzimierz Czarzasty objął funkcję marszałka Sejmu. Krytykę ze strony Polski 2050 i Polskiego Stronnictwa Ludowego wzmacnia rozpad Trzeciej Drogi. Chodzi o ratowanie ich wizerunku poprzez zrzucenie winy na Tuska.

Zapowiadana przez premiera lipcowa, głęboka rekonstrukcja rządu to proteza mająca wzmocnić jego pozycję – zarówno we własnej partii, jak i wobec koalicjantów. Jako ucieczka do przodu. Tyle że koalicjanci są znacznie bardziej asertywni wobec Tuska niż po wyborach 15 października 2023 r. i nie zamie-

Fot. Andrzej Wiktor



eprasa.pl 4ca092825d

rzają potulnie przyjmować jego decyzji. Dlatego wokół rekonstrukcji może się rozpętać konflikt rozsadzający koalicję 13 grudnia, a spodziewane wzmocnienie premiera raczej nie nastąpi.

W tej kadencji (o ile dobiegnie ona końca w planowanym terminie) Donald Tusk już nigdy nie będzie silniejszy niż w okresie 15 października 2023 r. – 1 czerwca 2025 r. Będzie tylko słabł, przede wszystkim jako szef rządu, co wzmocni jego krytykę. Dla koalicjantów – może poza Nową Lewicą – osłabianie premiera będzie korzystne, tym bardziej że koalicja 13 grudnia raczej nie zostanie odtworzona po wyborach parlamentarnych, zwłaszcza jeśli dojdzie do nich przed jesienią 2027 r. Wtedy odcinanie się od Tuska i obarczanie go winą za wszystko, co tej koalicji nie wyszło, będzie się opłacało wyborczo.

Upadając, Donald Tusk pociągnie na polityczne dno przede wszystkim tych, którzy są mu najbardziej oddani. Niektórych może zresztą na chwilę uratować (choćby mimo woli), dymisjonując ich podczas rekonstrukcji. W Platformie Obywatelskiej można usłyszeć, że niektórym ministrom może się opłacać odwołanie z rządu w ramach rekonstrukcji, bo potem będą mogli odgrywać role ofiar Tuska, co przykryłoby wrażenie, że zostali odwołani z powodu swej nieudolności. Tak mają kombinować przede wszystkim ministrowie z Polski 2050 Szymona Hołowni.

Niezależnie od kształtu rekonstrukcji Tusk pociągnie za sobą na dno polityków, takich jak minister finansów Andrzej Domański (od 13 grudnia 2023 r. bez efektów pracujący na kwotą wolną w wysokości 60 tys. zł) czy minister sprawiedliwości Adam Bodnar (wierny wykonawca poleceń Tuska w ramach wdrażania „demokracji walczącej", choć uznawany za zbyt powolnego w tych działaniach). Wraz z Tuskiem w pierwszej kolejności upadną (nawet gdyby zostali zrekonstruowani) minister zdrowia Izabela Leszczyna (jedna z najbardziej nieudolnych ministrów), były szef MSWiA, minister członek Rady Ministrów Marcin Kierwiński (wciąż sekretarz generalny PO), szef MSWiA Tomasz Siemoniak (odpowiada za wciskanie do Polski imigrantów z Niemiec). Premier ciągnie na dno (a może odwrotnie) minister edukacji Barbarę Nowacką (całkowicie niekompetentną), szefa swojej kancelarii Jana Grabca, szefa gabinetu politycznego Pawła Grasia, ministra członka Rady Ministrów Macieja Berka, minister ds. senioralnych Marzenę Okłę-Drewnowicz (od 13 grudnia 2023 r. bez efektu pracującą nad bonem senioralnym). Upadek premiera na pewno zakończy zupełnie niezrozumiałą karierę minister kultury Hanny Wróblewskiej (kompromitującej się w Berlinie podczas odsłonięcia głazu mającego upamiętniać cierpienia Polaków podczas II wojny światowej doznane od Niemców). Tusk pociągnie za sobą rzecznika rządu Adama Szłapkę, podsekretarz stanu w swojej kancelarii Agnieszkę Rucińską, sekretarza stanu w swojej kancelarii gen. Radosława Kujawę (byłego szefa wywiadu wojskowego mającego zlikwidować CBA). Możliwe, że także wicepremiera Krzysztofa Gawkowskiego, który wprawdzie jest z Nowej Lewicy, ale pozostaje sklejony z Tuskiem mocniej niż wielu jego partyjnych druhów.

Osobny przypadek to szef MSZ Radosław Sikorski. On też jest bardzo mocno sklejony z Tuskiem, ale ma swemu szefowi do wystawienia długą listę krzywd i upokorzeń. W razie upadku premiera będzie więc raczej tym, który mu dołoży, niż pomoże. Np. w nadziei na przywództwo w Platformie.

## OSTATECZNIE ZDEGRADOWANY

Jeśli dojdzie do wcześniejszych wyborów parlamentarnych i Tusk je przegra, a także gdy poniesie porażkę w wyborach w zaplanowanym terminie, będzie to jego koniec. Nawet gdyby chciał przeczekać rządy obecnej opozycji, przestanie być liderem, bo nikt nie zechce go obsadzić w takiej roli. Zostanie też pozbawiony szansy na kandydowanie w wyborach prezydenckich (co wciąż mu nie wywietrzało z głowy), nawet jeśli nie zadziała argument, że jest już zwyczajnie za stary. Upadek Tuska zbiegłby się z nieuchronnym końcem kariery Rafała Trzaskowskiego jako liczącego się polityka, więc także Platforma Obywatelska miałaby kłopoty z przywództwem.

Jakimś ratunkiem dla premiera mógłby być rząd mniejszościowy, pomyślany tak, żeby doczołgał się do wyborów parlamentarnych w 2027 r. Bez polityków Polski 2050, co byłoby nieaktualne, gdyby w ramach rekonstrukcji Szymon Hołownia zgodził się zostać wicepremierem. Ale raczej gabinet tymczasowy z politykami PSL, którzy w poprzednich dekadach i układach rządowych byli wzorcem z Sèvres oportunizmu. Taki rząd wygrywałby najważniejsze głosowania, doraźnie odtwarzając koalicję 13 grudnia. I mógłby trwać, ale to by było samobójcze dla junior partnerów w kontekście wyborów parlamentarnych w 2027 r. Wtedy Donald Tusk pociągnąłby na dno wszystkich polityków obecnego układu rządzącego, a nie tylko niektórych.

W PO można jednak usłyszeć, że dla sporej grupy polityków, także z koalicyjnych ugrupowań, udział w nawet upadającej już władzy byłby korzystny (konfitury, wpływy), szczególnie jeśli liczą się z tym, że potem długo mogą nie mieć szans na obecną pozycję. Wszystko gniłoby wokół rządu, ale korzyści dałoby się czerpać aż do ostatecznego upadku.

Najgorzej i tak będzie miał sam Donald Tusk – ostatecznie zdegradowany, bo nie wygląda na to, żeby Ursula von der Leyen czy obecny przewodniczący Europejskiej Partii Ludowej Manfred Weber mieli dla niego jakąś ofertę ratunkową. Tym bardziej że jednak ich zawiódł. Wbrew opowieściom (które odżyły podczas nieudanej polskiej prezydencji w UE), jakoby Tusk był jednym z politycznych liderów Unii Europejskiej, od 2007 r. jest on traktowany czysto instrumentalnie. Gdy się na coś przydaje rzeczywistym liderom Unii, chwali się go i poklepuje po plecach, a kiedy jest nieużyteczny, mało kto się nim przejmuje. Tam, gdzie liczą się wielkie interesy, nie ma sentymentów, a przyjaźń i zobowiązania nie istnieją. Ostatecznie więc Donald Tusk będzie się musiał skonfrontować z odpowiedzialnością karną za „przestępstwa przeciwko Rzeczypospolitej" (art. 127 i 128 Kodeksu karnego), a świadomość tego wśród koalicjantów i zagranicznych patronów też wpływa na to, jak jest i będzie przez nich traktowany. A to oznacza, że nikt nie będzie chciał za niego ginąć. Obecny premier może więc skończyć najgorzej ze wszystkich szefów rządów po 1989 r.



eprasa.pl 4ca092825d

Berliński oddział Instytutu Pileckiego

# Zamach na Instytut Pileckiego

*80. rocznica obławy augustowskiej, jednej z największych zbrodni wojennych popełnionych w Europie po zakończeniu II wojny światowej. Trwają obchody, ale bardzo skromne jak na okrągłą rocznicę. To odbicie nędzy polityki historycznej obecnego rządu, a zwłaszcza tego, co się dzieje w Instytucie Pileckiego*

PIOTR GURSZTYN

Instytut Męstwa i Solidarności im. Witolda Pileckiego – taką oficjalną nazwę nosi instytucja naukowo-badawcza założona z inicjatywy prof. Magdaleny Gawin. Powstała w 2017 r., ale bardzo szybko rozwinęła skrzydła i stała się znana nie tylko w Polsce, lecz także poza jej granicami. To instytut jest głównym „operatorem" obchodów rocznicy obławy augustowskiej, zbrodni zwanej małym Katyniem. A to dlatego, że jeszcze z inicjatywy prof. Gawin intensywnie zajął się tą tematyką, m.in. zakupił znaczące miejsce w Augustowie, tzw. dom Turka, zrewaloryzował ten budynek i urządził tam muzeum.

Dzisiaj kupony od tego odcina ekipa, która obecnie rządzi instytutem. Program obchodów jest dość długi, ale ranga i rozgłos – niskie. Wygląda na to, że zostaną ograniczone do skali regionalnej. Można śmiało stwierdzić, że gdyby teraz rządziło PiS, to uroczystości w Augustowie byłyby zdarzeniem głośnym w całej Polsce. Ale nie są. Bo taki dzisiaj też jest instytut. Działa, ale pamięta o nim coraz mniej ludzi. Skądinąd z wewnątrz Instytutu Pileckiego dobiegają głosy, że obchody okrągłej rocznicy nie były priorytetem dla obecnego szefa, prof. Krzysztofa Ruchniewicza. I jest to eufemistyczne określenie, bo niektórzy nasi rozmówcy mówią wręcz o ich blokowaniu.

## WYGODNA SYNEKURA

Jeśli chodzi o całość działalności Instytutu Pileckiego, to jest jedna dobra wiadomość i wiele bardzo złych. Ta dobra jest taka, że obecna władza zrezygnowała

Fot. Andrzej Skwarczyński



eprasa.pl 4ca092825d

z planów całkowitej likwidacji placówki, która w jej oczach miała ten grzech pierworodny, że została powołana w czasach rządów PiS. Ale teraz kolej na złe wiadomości.

Pierwsza – obecne kierownictwo pod wodzą prof. Ruchniewicza uznało, iż Instytut Pileckiego jest bardzo wygodną synekurą. Tym wygodniejszą, że dzisiaj władze państwowe nie wymagają od placówki żadnej aktywności. Nie trzeba zatem pracować, a można się pławić w tym, co propaganda Koalicji Obywatelskiej nazywała „pisowskim Bizancjum". Różnica jest jednak taka, że za czasów PiS pracownicy instytutu zasuwali jak w mrowisku, czego efektem były kolejne programy badawczo-edukacyjne, publikacje, wystawy, upamiętnienia itp.

Zmiana jest oczywista dla każdego, kto przygląda się tej sytuacji. Brytyjski autor Jack Fairweather we współpracy z instytutem wydał książkę o Witoldzie Pileckim, która stała się międzynarodowym bestsellerem. Teraz zabrał głos w obronie placówki, zarzucając, że nowy szef chce bardzo ograniczyć jej prace: „Uważa, że o historii powinni mówić wyłącznie uczeni – i to we własnym gronie". Współpraca z Brytyjczykiem została zerwana – a pracował nad nadzwyczaj ciekawym projektem, historią polskiej nastoletniej więźniarki KZ Ravensbrück, którą Niemcy poddawali bardzo brutalnym eksperymentom medycznym. Jako autor zagraniczny miał potencjał, aby tę tematykę nagłośnić w skali międzynarodowej. Tyle że z niemieckiego punktu widzenia to nieprzyjemny temat, a prof. Ruchniewicz w powszechnym odbiorze uchodzi za osobą o poglądach całkowicie proniemieckich. Projekt został anulowany, bo jak miał to ująć szef Instytutu Pileckiego, nie ma sensu wydawania „kolejnej książki o Ravensbrück".

Anulowany został także projekt, nad którym pracował ceniony brytyjski historyk prof. Roger Moorhouse. Miał on otrzymać stypendium na napisanie książki o Aleksandrze Ładosiu i jego akcji ratowania Żydów.

Opinia o skrajnej proniemieckości Ruchniewicza jest powszechna. Zauważył to nawet człowiek z zewnątrz, czyli Fairweather, który ujął to dość delikatnie: „Ruchniewicz jasno dał do zrozumienia, że czuje się niezręcznie wobec reakcji na dotychczasowy profil instytutu zwłaszcza w niemieckich kręgach akademickich, z którymi jest ściśle powiązany".

Objęcie przez Ruchniewicza funkcji szefa Instytutu Pileckiego wzbudziło zaniepokojenie człowieka znakomicie zorientowanego w relacjach polsko-niemieckich, zwłaszcza w świecie naukowym. Tak to wtedy skomentował historyk prof. Stanisław Żerko: „Prof. Ruchniewicz jest dobrym historykiem, ale jednocześnie mocno zaangażowanym ideowo-politycznie po lewicowo-liberalnej stronie. Jego proniemieckość ma natomiast charakter skrajny. Marnie będzie wyglądać ta nasza polska polityka pamięci, gdy głównym celem znów będzie zakłamane pseudopojednanie z Niemcami...".

> Trudno się dziwić wielkiemu oburzeniu – nie tylko po stronie prawicowej – gdy prof. Ruchniewicz odwołał niedawno konferencję naukową na temat dóbr kultury zrabowanych przez Niemcy w czasie II wojny światowej

Dzisiejsze komentarze w świecie nauki są znacznie ostrzejsze. Historyk młodszego pokolenia, prof. Krzysztof Kloc, ostatnio nie przebierał w słowach. Była to już reakcja na działania prof. Ruchniewicza: „Ruchniewicz na czele Instytutu Pileckiego to potwarz dla Polski i samego patrona. Wydawałoby się nie do pomyślenia, że można coś takiego odwalić, zrobić szefem tak ważnej i dotąd prężnie działającej instytucji, która nie tylko badała, ale i popularyzowała historię, często prostując, odkłamując niemiecką wizję dziejów, wchodząc z nią w polemikę, człowieka, który jest w polskim środowisku akademickim symbolem głosu Berlina w Polsce. Wszystko na złość PiS".

Czy powyższe oceny nie są przesadzone? Wiele faktów je potwierdza. Cały życiorys zawodowy Ruchniewicza jest powiązany z Niemcami. Przez wiele lat kierował współfinansowanym przez stronę niemiecką Centrum Studiów Niemieckich i Europejskich im. Willy'ego Brandta Uniwersytetu Wrocławskiego. Zasiadał w radach naukowych wielu niemieckich fundacji i instytucji naukowych. Według oficjalnego życiorysu więcej odznaczeń i nagród otrzymał ze strony niemieckiej niż polskiej. Ostro występował przeciw inicjatywom wyegzekwowania od Niemiec reparacji i odszkodowań za zbrodnie i zniszczenia wojenne.

## PARALIŻ DZIAŁAŃ

W tym kontekście trudno się dziwić wielkiemu oburzeniu – nie tylko po stronie prawicowej – gdy niedawno odwołał konferencję naukową na temat dóbr kultury zrabowanych przez Niemcy w czasie II wojny światowej. Ruchniewicz motywował to tym, że „to nie jest dobry czas, aby organizować niewygodną dla Niemców konferencję". A tym niedobrym czasem miała być polska prezydencja w UE.

Konferencja w sprawie zwrotu dóbr kultury miała się odbyć w Niemczech, co dodaje pikanterii jego decyzji. Trzeba przypomnieć sprawę działającej w Berlinie filii Instytutu Pileckiego. Ulokowana tuż przy Bramie Brandenburskiej działa żwawo i w przemyślany sposób. Organizowane tam wydarzenia – głównie wystawy i spotkania – są zauważane przez tamtejszą opinię publiczną oraz rzesze turystów z całego świata. To zresztą swoisty fenomen, bo lokalizacja sprawia, że do środka wchodzą przypadkowe osoby z zupełnie egzotycznych krajów i dzięki temu dowiadują się czegoś o historii Polski. „Bogata oferta instytutu dotarła nie tylko do berlińskich nauczycieli, ale stworzyła nową jakość refleksji nad polską historią w stolicy Niemiec" – pisał we „Frankfurter Allgemeine Zeitung" prof. Felix Ackermann, niemiecki historyk, skądinąd rozumiejący polską



eprasa.pl 4ca092825d

wrażliwość historyczną (np. zaproponował, aby jeden z berlińskich dworców kolejowych nosił imię powstania warszawskiego).

W Niemczech są jednak wpływowe środowiska, które drażni obecność filii w Berlinie. Według informacji od byłych i obecnych pracowników instytutu Ruchniewicz planował całkowitą likwidację placówki. Z powodów organizacyjnych, finansowych i wizerunkowych uznał jednak, że będzie to niemożliwe. Drugim etapem była próba zwolnienia kierowniczki filii Hanny Radziejowskiej. Powodów merytorycznych zabrakło, bo to właśnie ona jest autorką sukcesu placówki. Jej osiągnięcia są tak niepodważalne, że zyskała obrońców w Polsce i Niemczech ponad bieżącymi podziałami politycznymi. Trzeba dodać, że Radziejowska przez długi czas owocnie prowadziła filię, zmagając się jednocześnie z chorobą nowotworową, co też jest ważnym elementem tej nieprzyjemnej historii. Ruchniewicz usiłował ją zwolnić właśnie w takim momencie.

Wygląda na to, że powstrzymały go dwie przyczyny. Jedna to presja, że zrobi coś niegodziwego, zwalniając bardzo dobrego pracownika podczas ciężkiej choroby. Drugą było uświadomienie sobie faktu, że Radziejowska, wykonując swą pracę w Berlinie, podlega niemieckiemu prawu pracy, a te w takich przypadkach staje po stronie pracobiorcy.

Ruchniewicz paraliżuje i wykoślawia kolejny wielki projekt Instytutu Pileckiego – można rzec ukochane dziecko prof. Gawin – czyli akcję „Zawołani po imieniu". To projekt, którego celem jest zbadanie i upamiętnienie pomocy udzielanej przez Polaków Żydom w czasie niemieckiej okupacji. Specyfiką projektu jest to, że zajmuje się osobami, których bohaterstwo jest dobrze udokumentowane (łącznie z tym, że częstokroć same zostały zamordowane przez Niemców), ale które nie spełniły dość wyśrubowanych kryteriów instytutu Yad Vashem, więc nie zostały uhonorowane tytułem Sprawiedliwych wśród Narodów Świata (np. z tego powodu, że wojny nie przeżyli ludzie, którym była udzielana pomoc). Program miał ogromne znaczenie, gdyż prawie w całości dotyczył małych miejscowości, którymi do tej pory nikt się nie interesował pod kątem upamiętnień i w ogóle polityki historycznej. Badania naukowe, potem podniosłe uroczystości z udziałem najważniejszych przedstawicieli rządu Zjednoczonej Prawicy, których skutecznie ściągała Gawin, wreszcie estetyczne upamiętnienia za każdym razem były wielkim wydarzeniem dla lokalnych społeczności. Po przejęciu instytutu przez nową władzę wszystko stanęło. Na stronie internetowej ostatnie odnotowane aktywności w ramach „Zawołanych po imieniu" to jesień ubiegłego roku.

To o paraliżu. A teraz o wykoślawieniu programu. „Do tej pory w centrum zainteresowania tego programu znajdowały się wyłącznie postaci osób ratujących, w zmodyfikowanym kształcie będzie on służył przedstawianiu znacznie pełniejszego obrazu wydarzeń: szerokich uwarunkowań historycznych działań Sprawiedliwych, tj. sytuacji Żydów w społeczeństwie polskim w okresie II Rzeczypospolitej, życia pod niemiecką i sowiecką okupacją oraz także pamięci o tych wydarzeniach w czasach PRL" – czytamy na stronie instytutu. Co to znaczy? Ano to, że placówka zajmie się ulubionym tematem polskiej progresywno-liberalnej inteligencji, czyli nagłaśnianiem polskiego antysemityzmu.

## ZAKAZANE BADANIA

Obecnej władzy przeszkadzają także badania zbrodni popełnionych przez armię rosyjską w czasie agresji na Ukrainie. Tematyką tą zajął się dział instytutu o nazwie Centrum Lemkina. Powołane przez instytut zespoły – jeden na Ukrainie pod kierownictwem Moniki Andruszewskiej i drugi w Berlinie, któremu przewodzi Hanna Radziejowska – dokumentują rosyjskie zbrodnie popełnione na cywilach. Projekt nosi tytuł „Skradzione dzieciństwo. Zbrodnie popełnione na dzieciach przez wojska rosyjskie".

Zespół ukraiński pracował w strefie bezpośrednich walk, co oznaczało narażanie własnego życia przez grupkę słabo opłacanych badaczy. „Często nie było nas stać na to, by sypiać w bezpieczniejszych miastach, takich jak Charków czy Zaporoże, więc spaliśmy w strefie przyfrontowej. Można powiedzieć, że byliśmy wręcz wolontariuszami dla sprawy" – napisała szefowa zespołu Monika Andruszewska.

Wiosną ubiegłego roku Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego zakomunikowało, że jej działalność jest... nielegalna. Ustawa o Instytucie Pileckiego mówi bowiem o badaniu zbrodni ludobójstwa w XX w., a Rosjanie napadli na Ukrainę w XXI w. – jakby przemoc Rosji miała datę ważności. Jakby Rosjanie nie pisali na ścianach swoich katowni „SMIERSZ" i nie grozili świadkom, że zrobią im stalinowskie czystki. Znany prawnik prof. Hubert Izdebski machnął opinię, że nie występuje niezgodność z ustawą, bo ta nie zawiera ograniczeń czasowych.

Andruszewska, sądząc, że to jakaś urzędnicza pomyłka, zwróciła się do szefowej resortu Hanny Wróblewskiej: „Chciałam, żebyśmy mieli wsparcie od RP, normalne umowy, zwroty za benzynę, ubezpieczenie. Jak myślicie, ktoś nas za to pochwalił czy zaproponował godne warunki pracy? Nie, za to zabroniono nam zbierać świadectwa, a nawet na miesiące publikować kolejne raporty".

To nie była pomyłka. Minister Wróblewska zarządziła audyt w berlińskim oddziale Instytutu Pileckiego. Tam też podważono sens badania rosyjskich zbrodni. A także organizowanie zajęć edukacyjnych dla dzieci. Na cenzurowanym znalazł się słynny miś Wojtek, bo zdaniem ministerstwa takie opowiadanie o historii Polski jest poza zakresem działalności IP.

Na koniec dodajmy, że prokuratura cały czas bada sprawę nieprawidłowości finansowych w Centrum im. Willy'ego Brandta z czasów, gdy tą instytucją kierował obecny szef Instytutu Pileckiego. „Skrajna niegospodarność, kolesiostwo i setki tysięcy złotych wydane z naruszeniem przepisów – to wnioski z audytu w instytucji, której szefował do niedawna Krzysztof Ruchniewicz" – informował portal wp.pl.

Mimo to Ruchniewicz najpierw został powołanym przez szefa MSZ Radosława Sikorskiego pełnomocnikiem rządu ds. polsko-niemieckiej współpracy społecznej i przygranicznej, a potem objął obecne stanowisko. Bardziej prestiżowe, a na pewno wygodniejsze i bardziej dochodowe.



eprasa.pl 4ca092825d

# Pociąg naszych marzeń

KONRAD KOŁODZIEJSKI

*Reżimowi propagandyści urządzają wielką hucpę wokół żałośnie skromnej oferty pociągu nad Adriatyk. Oczywiście dobrze, że takie połączenie powstało, ale cóż to za osiągnięcie? Trzy wagony, które mogą zabrać 144 osoby i jadą do celu przez 19 godzin*

Uruchomienie wakacyjnego pociągu z Warszawy do Rijeki jest bezapelacyjnie największym osiągnięciem obecnego rządu Donalda Tuska. Jego odjazd z Dworca Centralnego śledziło w internecie więcej osób niż start Sławosza Uznańskiego-Wiśniewskiego w kosmos. Na peronie oprócz podróżnych zebrali się liczni oficjele i pracownicy mediów, a reżimowa telewizja publiczna w likwidacji przygotowała dla swoich widzów uroczystą relację z tego wiekopomnego wydarzenia.

Wprawdzie Adriatic Express – jak szumnie nazwano trzy wagony do Rijeki – wyruszył w drogę z półgodzinnym opóźnieniem, ale cóż to za poślizg w obecnych czasach, gdy pociągi spóźniają się po dwie godziny?

„Najbardziej wyczekiwany pociąg roku rusza dziś o 14:00!" – ekscytował się świeżo mianowany rzecznik rządu Adam Szłapka. „Ja bardzo czekałem na ten pociąg. To był najbardziej wyczekiwany pociąg w moim życiu" – drwił w odpowiedzi mecenas Bartosz Lewandowski z Ordo Iuris.

Jednak Szłapka nie dawał się zbić z pantałyku. „InterCity Adriatic Express zabierze turystów z Warszawy do chorwackiej Rijeki. Kursuje 4 razy w tygodniu, a trasa liczy aż 1240 km. To jedno z najdłuższych połączeń kolejowych w Europie!" – piał z zachwytu.

Szłapka się nie mylił. To rzeczywiście jedno z najdłuższych połączeń w Europie, ale nie pod względem dystansu, a czasu podróży – 19 godzin w drodze, co daje średnią prędkość 65 km/h. To rzeczywiście sukces na miarę rządów Tuska.

## PODRÓŻ ŻYCIA

Szybko się okazało, że nawet ten „sukces" został spartaczony. Prowadząca skład lokomotywa Siemensa zepsuła się tuż za Warszawą i pociąg marzeń złapał kolejne 20 min opóźnienia. „Siedzę w pierwszym historycznym Adriatic Expressie odjeżdżającym z Warszawy do chorwackiej Rijeki, choć ja tylko na Śląsk. Pojawiły się radia i telewizje uwieczniające ten moment. A następnie pociąg wyjechał z półgodzinnym

Fot. @PKPIntercityPDP



eprasa.pl 4ca092825d

opóźnieniem, aby na trasie stanąć. Pasażerowie usłyszeli komunikat o awarii lokomotywy. Alkoholu w Warsie jeszcze nie zabrakło" – kpił były poseł Artur Zawisza, któremu przypadł zaszczyt podróży Tuskowym Orient Expressem.

Na szczęście wśród podróżnych znalazła się grupa reporterów dzielnie dających odpór malkontenctwu Zawiszy i jemu podobnych. Szczególnie wyróżnił się tutaj pracownik TVP w likwidacji Dominik Lebzda, który relacjonował na bieżąco historyczną wyprawę do Rijeki. To dzięki niemu wiemy, że Adriatic Express gwarantował podróżnym wręcz nieziemskie wygody. „Jedzie kuszetka: zamykane na noc przedziały siedząco-leżące mają po 4 miejsca z pościelą, poduszką i kocem. Jest klimatyzacja i gniazdka. Można kupić przekąskę i napoje. Na całej trasie konduktorzy Wars" – pisał. A to nie koniec, proszę państwa. „W składzie są też dwa wagony 2 klasy z miejscami siedzącymi. To klasyczny wagon znany z wielu pociągów. Miejsca rozkładają się tylko nieznacznie". I co najważniejsze, również tu są „klimatyzacja i gniazdka". Lebzda porównał też polskie wagony z węgierskimi i stwierdził z dumą, że „spacer po węgierskiej części podnosi oceny polskich wagonów o kilka poziomów". I to wszystko w cenie 200 zł za miejsce siedzące w drugiej klasie lub 300 zł za kuszetkę.

Równie dobre wrażenia miała pani Natalia Jasińska z Onetu, która wsiadła do historycznego pociągu na stacji w Katowicach. „Mamy prawdziwy luksus" – mówili jej przypadkowo napotkani w wagonach pasażerowie. Początkowo Jasińska była nieco rozczarowana wielkością kuszetki i obecnością w jej przedziale innych osób, ale szybko się oswoiła z tą niedogodnością. „Chwilę po północy razem z innymi dziennikarkami, z którymi dzielę kuszetkę, zaczynamy przygotowywać się do snu. Szybko przebieramy się w piżamy, zmywamy makijaż i pościelimy łóżka. Część walizek udaje nam się wsunąć pod łóżka, ale jedna z nich jest za wysoka i musi zostać na środku. Małe torebki każda z nas kładzie obok siebie" – opisuje barwnie swoją podróż. „Bardzo fajne jest to, że kuszetka zamykana jest od środka na klucz i zasuwkę, dzięki czemu czuję się bezpiecznie" – zachwala. To rzeczywiście fajne i pewnie nigdzie niespotykane rozwiązanie. Docenia też, podobnie jak Dominik Lebzda, zelektryfikowanie wagonów. „W naszym przedziale są cztery gniazdka, więc każda z nas mogła spokojnie przez całą noc ładować telefon" – relacjonuje z przejęciem. „Całkowicie gasimy światło w kuszetce i zasłaniamy okno, żeby stworzyć bardziej intymną i spokojną atmosferę. Po długim dniu podróży marzymy o chwili ciszy i wytchnienia" – kończy, wyraźnie wyczerpana od silnych wrażeń i od ciężkiej reporterskiej roboty.

> Pociągi do Zagrzebia kursowały za Gomułki. Dziś jednak propaganda Tuska robi z tego wydarzenie dekady. Obecny reżim nie ma dosłownie niczego, czym mógłby się pochwalić przed ludźmi

## SELFIK Z SEDESEM

Pani Natalia budzi się następnego dnia w dobrym nastroju. „Jak się spało? Ogólnie rzecz biorąc, nie mogę narzekać" – zdradza. Ale były też i drobne problemy. „W nocy kilka razy się przebudziłam, ale za każdym razem zasypiam z powrotem dość szybko" – zapewnia.

W tym czasie Dominik Lebzda z TVP nie próżnował i uważnie studiował otrzymane reklamówki. „Obsługa Wars w Adriatic Express rozdaje pasażerom ciekawe broszury związane z usługami gastronomicznymi w pociągu, mapą przejazdu, atrakcjami w miastach pośrednich i w samej Rijece" – wyjaśnił.

Niestety Wars jedzie tylko do Wiednia. Dalej trzeba głodować, chyba że ktoś wziął ze sobą kanapki z jajkiem na twardo. „Trzeba skorzystać! Klasyczny kultowy schabowy i żurek 10/10" – informuje pan Dominik. Być może spotyka tam Natalię Jasińską, która również wyrusza do wagonu restauracyjnego. Jej kulinarne gusta są jednak bardziej nowoczesne. „Decyduję się na filet z kurczaka sous vide w szynce parmeńskiej, podany z kaszą bulgur i sałatką. Muszę przyznać, że jedzenie naprawdę mi smakuje" – pisze, a jej czytelnikom kamień spada z serca. Po posiłku Natalia musi odpocząć. „Z pełnym brzuchem wróciłam na swoje miejsce i kontynuowałam podróż, podziwiając zmieniające się za oknem krajobrazy" – zdradza, a my oczami wyobraźni widzimy jak najedzona kobieta spogląda jednym okiem (bo drugie się zamyka) na alpejskie szczyty.

Godziny mijają i pociąg jedzie. A właściwie nie tyle jedzie, ile jest przełączany z jednego składu do drugiego. Bo tak naprawdę nie ma żadnego Adriatic Expressu. Pod tą nazwą kryją się trzy wagony, które najpierw są przyczepione do pociągu Sobieski jadącego z Warszawy do Wiednia, a następnie doklejane do austriackiego składu, który zmierza do Słowenii. Tam na stacji Pragersko znowu są odłączane i podczepiane do węgierskiego pociągu Budapeszt–Koper. Wreszcie na stacji Postojna następuje ostatnie dzielenie pociągu i polskie wagony lądują w kolejnym węgierskim składzie, tym razem zmierzającym bezpośrednio do Rijeki.

„Obudziłam się o 6.00 i już wtedy słyszę, że kilka osób kręci się po korytarzu" – pani Natalia pozostaje czujna. „Moje współtowarzyszki podróży jeszcze śpią, więc zaczynam pracować i przeglądać media społecznościowe. Około 7.20 wychodzimy z przedziału. Przez okno widzę zieleń" – to znak, że pociąg zbliża się do stolicy Słowenii Lublany.

Perony na tamtejszej stacji okazały się za krótkie i polskie wagony dołączone do węgierskiego pociągu już się w nich nie zmieściły. Nieszczęśni pasażerowie musieli więc wyskakiwać prosto na tory i potem wspinać się ze swoimi bagażami na wysokie platformy. W tym czasie Jasińska postanowiła skorzystać z łazienki. „Toaleta w pociągu wygląda dokładnie tak samo, jak każda inna"



eprasa.pl 4ca092825d

– zauważyła przytomnie i zrobiła sobie selfika na tle sedesu. Tę fotograficzną pamiątkę z podróży możemy obejrzeć na stronach Onetu.

## GŁÓD SUKCESU

„Do celu dotarliśmy z około 40-minutowym opóźnieniem. Powitała nas delegacja m.in. z ambasad i chorwacka muzyka. Dużo mediów i ludzi oglądających przyjazd" – zakończył swoją relację z wiekopomnej podróży Dominik Lebzda.

Przyznaję, że czytając te entuzjastyczne relacje, poczułem się o kilkadziesiąt lat młodszy. Zachwyty nad adriatyckim ekspresem przywodziły bowiem na myśl publikacje z epoki Gierka. Przy czym – oddajmy sprawiedliwość ówczesnej propagandzie – nikt wówczas aż tak nie podniecał się zwykłym pociągiem. Co innego Huta Katowice, Trasa Łazienkowska, Port Północny, nowy plan pięcioletni – wszystko to przedstawiano jako epokowe osiągnięcia, które odmienią życie Polaków. Ale wakacyjny pociąg? Być może gdzieś w lokalnej prasie w krótkiej notce.

Komuniści zdawali sobie sprawę z tego, że świętowanie rzeczy oczywistych jest przeciwskuteczne – w ten sposób przyznawaliby się bowiem do ich deficytu. Radość z nowego pociągu oznaczałaby przecież, że tych pociągów bardzo brakuje. Jak ktoś słusznie zauważył w internecie, nawet Jaruzelskiemu nigdy nie przyszło do głowy, aby chwalić się ówczesnymi połączeniami kolejowymi z Bułgarią czy Węgrami.

Co ciekawe, istniało również połączenie z Chorwacją. Pociągi do Zagrzebia kursowały jeszcze za Gomułki. Dziś jednak propaganda Tuska robi z tego najważniejsze wydarzenie dekady. Pokazuje to, w jak głębokim bagnie znalazła się Polska. Obecny reżim nie ma dosłownie niczego, czym mógłby się pochwalić przed ludźmi i co mógłby przedstawić jako swój sukces.

Być może ktoś liczył tutaj na efekt Pendolino. Zakup tych pociągów w 2011 r. w skromnej liczbie 20 sztuk i najbardziej ubogiej wersji wyposażenia (bez wychylnego pudła pozwalającego osiągać wyższe prędkości) reklamowano jako kosmiczny skok w rozwoju polskiej kolei. Wtedy się udało, bo nowe składy, choć niedostępne cenowo dla przeciętnego podróżnego, dawały przynajmniej złudzenie prestiżu i wysokiej jakości. Teraz musi być jednak wyjątkowo źle, skoro cała Polska ma się radować dwoma zwykłymi wagonami drugiej klasy i kuszetką, wlokącymi się ze średnią prędkością 65 km/h, ale za to wyposażonymi w gniazdka i klimatyzację. Złośliwie dodam, że szybkie pociągi w Chinach przemierzają trasę Pekin–Szanghaj (1318 km) w 4 godz. i 18 min. Nasz pociąg marzeń, który podobny dystans pokonuje pięć razy dłużej, naprawdę nie zasługuje na taką celebrę. Pokazuje ona bowiem, jak bardzo jesteśmy zacofani.

Przy okazji propagandowej hucpy z tego powodu nasuwa się drobna dygresja na temat kondycji obecnych mediów. Bardzo łatwo wchodzą one w rolę propagandowej tuby reżimu, a pracujący w nich młodzi dziennikarze nie widzą w tym nic zdrożnego. Pomijając już oczywiste braki warsztatowe, bez cienia żenady pieją z zachwytu nad oczywistym dziadostwem. Widocznie tego ich nauczono. Po ponad 30 latach tzw. wolnej Polski można to uznać za katastrofę.

> Na stacji w Lublanie perony okazały się za krótkie. Pasażerowie musieli więc wyskakiwać prosto na tory i potem wspinać się ze swoimi bagażami na wysokie platformy

## ESENCJA RZĄDÓW TUSKA

Adriatycki ekspres ma szansę stać się jednym z symboli obecnych rządów. Żyjemy w kraju, w którym komunikacja publiczna jest rozłożona na łopatki, pociągi – poza najważniejszymi metropoliami – pojawiają się na wielu stacjach kilka razy w ciągu doby albo wręcz nie docierają do nich wcale. Przykładowo z Warszawy do Szczecina jedzie się blisko 6 godzin, do Łomży nie dojedzie się w ogóle, a do Płocka jedynie z przesiadką. Pociąg nie dociera też z Poznania do miast powiatowych leżących na zachód od stolicy Wielkopolski, kolei są pozbawione liczne miasta na Mazurach, a wielkim wydarzeniem było ostatnio przywrócenie – po ćwierćwieczu przerwy – połączenia z Karpaczem. Ambitny projekt zbudowania siatki połączeń, który towarzyszył planom budowy CPK, został przez obecny reżim faktycznie anulowany. Krótko mówiąc, jesteśmy komunikacyjnym trzecim światem i nic nie wskazuje na to, że się to szybko zmieni.

W tych okolicznościach reżimowi propagandyści urządzają wielką hucpę wokół żałośnie skromnej oferty pociągu nad Adriatyk. Oczywiście dobrze, że takie połączenie powstało, ale cóż to za osiągnięcie? Trzy wagony, które mogą zabrać 144 osoby i jadą do celu przez 19 godzin. Jeśli kogoś stać na Chorwację, to szybciej i w porównywalnej cenie (od 200 zł) dotrze nad Adriatyk samolotem. I to nie do Rijeki, która leży na północnym skraju wybrzeża, ale bezpośrednio do kurortów w Dalmacji.

Jeśli rzeczywiście miałoby chodzić o stworzenie konkurencyjnej alternatywy dla linii lotniczych (o czym permanentnie ględzą unijne urzędasy), potrzebny jest nie tylko wakacyjny bieda-ekspres do Rijeki, lecz także cała sieć atrakcyjnych cenowo szybkich połączeń kolejowych do głównych stolic europejskich. O tym jednak nikt poważnie nie myśli. Zamiast tego słyszymy tylko biadolenie o zbyt dużej emisji dwutlenku węgla i kolejne komunikaty na temat podwyżek cen biletów.

Nic więc dziwnego, że wielu Polaków pod rządami Tuska nie tylko nie stać na zagraniczne wojaże, lecz także na wakacje w kraju. Według statystyk w ostatnich trzech latach na letni odpoczynek wyjechała nieco ponad połowa Polek i Polaków (54 proc.). Pozostałych nie stać na taki luksus. To jednak nie spędza Tuskowi snu z oczu. Biedota nie musi przecież podróżować, po co jej więc nowe pociągi? Wystarczy Adriatic Express.



eprasa.pl 4ca092825d

# Armia Izraela – co decyduje o jej sile?

*W Izraelu – i to jest jeden z głównych powodów sukcesu tego państwa – nadal premiuje się inicjatywę, skłonność do ryzyka, dążenie do osiągnięcia celu, a nie działanie w zgodzie z przepisami. Bo trzymanie się procedur jest nie tylko czasochłonne, lecz także bardzo kosztowne. Jak się okazuje, nie pieniądze decydują o potędze wojskowej*

MAREK BUDZISZ

Richard C. Schneider napisał w „Neue Zürcher Zeitung", że po zwycięskiej operacji przeciw Iranowi oraz wcześniejszym obezwładnieniu Hezbollahu i Hamasu „przekaz jest jednoznaczny: Izrael nie broni już wyłącznie własnego bezpieczeństwa – zaczyna działać jako regionalny hegemon". David Blair podsumował w „The Telegraph" ostatnią wojnę Izraela z Iranem, wskazując, że Netanjahu „osiągnął nie tylko wielkie militarne zwycięstwo w wojnie z Iranem", lecz także był w stanie w ciągu zaledwie kilku miesięcy „z zadziwiającą prędkością zmienić relacje sił w całym regionie". Komentatorzy są zgodni. Izrael, rozpoczynając wojnę jesienią 2023 r., nie tylko osłabił i pokonał swych głównych przeciwników, lecz także wyrósł na regionalnego hegemona – państwo, którego siły zbrojne kontrolują sytuację i są w stanie „dyscyplinować" wrogów.

Po ataku Hamasu mało kto wierzył, iż premierowi Netanjahu uda się zrealizować ambitny i niesłychanie ryzykowny plan wojskowego pokonania przeciwników. Amerykańscy eksperci wojskowi przestrzegali go przed długą wojną, doradzali, jak Izrael może uniknąć doświadczenia Stanów Zjednoczonych, które przez lata uczestniczyły w nierozstrzygniętych, ale bardzo kosztownych konfliktach w Iraku i w Afganistanie. W Tel Awiwie nie słuchano tych sugestii, co wywoływało irytację w Waszyngtonie, za czasów Bidena słabo skrywaną, stonowaną za administracji Trumpa. Raphael R. Cohen, dyrektor programu strategii w think tanku RAND, napisał na łamach „Foreign Policy", że ta niechęć izraelskich przywódców do wsłuchania się w dobre rady „wujka zza oceanu" wynika z prostego faktu. Otóż jego zdaniem IDF, Siły Obronne Izraela, „są zasadniczo różne od armii USA. Jej relacje ze społe-

Fot. Elyasaf Jehuda/Shutterstock.com



eprasa.pl 4ca092825d

czeństwem, upodobania kulturowe i indywidualne normy zachowania są tylko jej własne". Czyli Izrael zbudował inną armię niż Ameryka, inny model sił zbrojnych. Gra w zupełnie innej lidze, choć jej zdolności mogą być i są porównywane z wieloma armiami świata.

## CZWARTA SIŁA WOJSKOWA

Jeszcze przed wojną z Hamasem i Hezbollachem, a tym bardziej przed ostatnią operacją skierowaną przeciwko Iranowi, Izrael był uznawany za państwo posiadające jedną z najlepszych armii na świecie. W rankingu sporządzonym przez US News & World Report w styczniu 2023 r. w kategorii „siła wojskowa" ustępował jedynie USA, Chinom i Rosji. Jeden z analityków, oceniając możliwości wojskowe Izraela w 2025 r., napisał, że „Izraelska armia w 2025 r. jest jedną z najsprawniejszych i najbardziej elastycznych na świecie – ale jej siła tkwi w precyzji i inteligencji w takim samym stopniu, jak w sile ognia".

Ta ocena zdolności i potencjału sił zbrojnych Izraela może budzić zdziwienie, zwłaszcza jeśli zwrócimy uwagę na to, że prowadząc wojnę, Tel Awiw wydaje na swój potencjał wojskowy ok. 31 mld dol. (w tym roku). W NATO panuje pogląd, że budowa sprawnych sił zbrojnych wymaga wydawania dziesiątek miliardów dolarów, ale Izrael udowadnia, że wcale tak nie musi być. Warto też pamiętać, że w 2023 r. PKB Izraela szacowano na poziomie 513 mld dol., co oznacza, że był mniejszy od PKB Polski, podobnie jak wydatki na bezpieczeństwo, które w naszym przypadku w 2023 r. kształtowały się na poziomie 31,6 mld dol.

> Izrael nie broni już wyłącznie własnego bezpieczeństwa – zaczyna działać jako regionalny hegemon. Jego siły zbrojne kontrolują sytuację i są w stanie „dyscyplinować" wrogów

Można oczywiście powiedzieć – i będzie to uprawnione stwierdzenie – że izraelskie zdolności i potencjał wojskowy są efektem skumulowanej i trwającej lata polityki znaczących wydatków na obronność, a nasze „przebudzenie" jest relatywnie świeżej daty, ale nie zwalnia nas to z poszukiwania odpowiedzi na pytanie, jak to się stało, że startując w 1948 r. od zera, Izrael był w stanie, uczestnicząc w kolejnych, regularnie powtarzających się wojnach, zbudować tak silne, sprawne i skuteczne siły zbrojne. Nie udało się to państwom arabskim, mającym zarówno większą populację, jak i większe możliwości finansowe. Warto też pamiętać, że współczesny Izrael liczy 9,66 mln ludności, z czego obywatele pochodzenia arabskiego to ponad 2 mln ludzi, co oznacza, że Izrael w porównaniu z sąsiednimi państwami, takimi jak Egipt i Syria, jest państwem małym – zarówno terytorialnie, jak i biorąc pod uwagę liczbę ludności.

Edward N. Luttwak, znany amerykański znawca strategii i ekspert wojskowy, oraz Eitan Shamir z izraelskiego think tanku Begin-Sadat Center for Strategic Studies w wydanej przez Uniwersytet Harwarda pracy poszukiwali odpowiedzi na pytanie, jak to się stało, że Izrael był w stanie zbudować nie tylko jedną z najsilniejszych armii świata, lecz także jeden z najbardziej innowacyjnych systemów zarówno w zakresie produkcji sprzętu wojskowego, jak i szukania nowych rozwiązań taktycznych. Wnioski, do których dochodzą, są rewolucyjne i pozwalają inaczej spojrzeć na źródła sukcesu Izraela.

## WŁASNE POMYSŁY I DROGA NA SKRÓTY

Nie pieniądze decydują o potędze wojskowej. Najlepszym przykładem jest izraelski system Iron Dome, którego budowa kosztowała 2,2 mld dol. Co ciekawe, kiedy Danny Gold kierujący MaFat, specjalną rządową agencją odpowiadającą za badania i rozwój, podejmował decyzje o rozpoczęciu prac – a był to luty 2006 r. – w ogóle nie miał na to żadnych środków publicznych. Dopiero w czerwcu 2007 r. Ehud Barak, nowy minister obrony, a później premier Izraela, zaakceptował główne zasady systemu obrony przestrzeni powietrznej znanego jako Iron Dome. Pierwsze środki rząd przyznał pod koniec grudnia 2007 r., niemal dwa lata po rozpoczęciu prac. Ich prowadzenie było możliwe, bo Gold przekonał menedżerów Rafael Advanced Defence Systems i Elbit, innego koncernu zbrojeniowego, aby ci w tajemnicy i za własne pieniądze rozpoczęli prace nad budową nowego systemu. Po tym, jak w marcu 2011 r. pierwsza bateria rakiet Iron Dome została dyslokowana, a w marcu 2012 r. udało się przechwycić 69 z 73 rakiet wystrzelonych na Izrael, Amerykanie zainteresowali się nowymi rozwiązaniami i w zamian za przekazanie technologii zapłacili ponad 1 mld dol., co oznacza, że wydając niewiele ponad tę kwotę, Izrael był w stanie w pięć lat zbudować system, który chcą naśladować wszystkie państwa świata. Ale Danny Gold złamał, jak stwierdzili audytorzy rządowi, wszystkie obowiązujące normy i przepisy, tylko że po osiągnięciu sukcesu ścieżka, którą obrał, została zalegalizowana.

W Izraelu – i to jest jeden z głównych powodów sukcesu tego państwa – nadal premiuje się inicjatywę, skłonność do ryzyka, dążenie do osiągnięcia celu, a nie działanie w zgodzie z przepisami. Trzymanie się utartych procedur jest nie tylko czasochłonne, lecz także niesłychanie kosztowne. Gold poszedł na skróty i dlatego za jedną trzydziestą tego, co Polska wydaje dziś rocznie na zbrojenia, był w stanie zbudować Iron Dome.

Izrael nie kopiował też cudzych rozwiązań, tylko od początku stawiał na własne. Był do tego zmuszony, bo największe światowe mocarstwa do wojny w 1967 r. nie chciały dostarczać temu młodemu państwu sprzętu. Jeszcze przed 1948 r. izraelscy eksperci analizowali modele obrony wielu krajów i doszli do wniosku, że mając do dyspozycji



eprasa.pl 4ca092825d

680 tys. ludzi – bo tylu osadników żydowskich zamieszkiwało wówczas Palestynę – nie zbudują wielkiej armii na wzór Stanów Zjednoczonych czy Francji. Postawili na rozwiązania szwajcarskie, czyli siły zbrojne, których jądrem jest aktywna rezerwa, takie, w których podział na żołnierzy i cywili jest umowny, a ci ostatni nawet po zakończeniu szkolenia pełnią kluczowe funkcje w wojsku, np. dowodząc najlepszymi brygadami sił lądowych.

Wprowadzono system poboru powszechnego, szkolenia młodych rekrutów mających 18–19 lat. Wszystkie rozwiązania, w tym taktyka walki i pozyskiwany sprzęt, musiały być dostosowane do ich zdolności poznawczych. Nie mógł być nadmiernie skomplikowany, bo w czasie relatywnie krótkiego szkolenia poborowi nie byliby w stanie opanować technicznych zawiłości bardzo wyrafinowanych platform bojowych.

Wyjątkiem jest lotnictwo, ale i w tym przypadku Izrael wprowadził unikalne rozwiązania. Otóż piloci wojskowi odchodzący do cywila nadal się szkolą, uczestniczą w misjach treningowych i wojskowych. W tygodniu można latać w cywilnych liniach EL AL, aby w niedzielę przesiąść się do myśliwców F-35 i atakować przeciwnika. To też wyjaśnia, dlaczego Izrael, posiadający co prawda rozbudowane lotnictwo, ma też najlepsze na świecie „wskaźniki" wykorzystania sprzętu. Obsługa techniczna jest szkolona w reżimie Formuły 1, co pozwoliło już w czasie wojny w 1967 r. w ciągu 7 minut uzupełniać paliwo i amunicję oraz być gotowym do kolejnego lotu. Ale trzeba też pamiętać, że w Izraelu mamy do czynienia z modelem, w którym kilka zespołów lata wymiennie tym samym myśliwcem.

## ARMIA OBYWATELSKA

Postawienie na model armii obywatelskiej pozwoliło też zmniejszyć wielkość korpusu oficerskiego w czasie pokoju. W Polsce, gdzie według stanu na połowę ubiegłego roku mamy w służbie 129 generałów, może to brzmieć nieprawdopodobnie, ale w Izraelu panuje przekonanie, że im mniejszy jest korpus wyższych rangą oficerów, tym lepiej dla sprawności sił zbrojnych. Izraelskim sztabem generalnym kieruje trzygwiazdkowy generał, lotnictwem dowodzi generał mający na pagonach dwie gwiazdki. W siłach lądowych jest w służbie jedynie 17 allufim, czyli generałów-majorów, odpowiedników naszych generałów dywizji, a trzeba pamiętać, że armia Izraela po mobilizacji liczy 650 tys. żołnierzy. Co więcej, nie ma tam akademii wojskowych, a jedyna ścieżka awansu wiedzie przez służbę.

Postawienie na armię obywatelską oznacza nie tylko, że oficerowie odchodzący do rezerwy stale utrzymują związek z siłami zbrojnymi, lecz także powoduje, iż stają się „cywilami", będąc młodymi ludźmi. Cały korpus oficerski izraelskich sił zbrojnych to ludzie młodzi, generałowie mają po 40 lat, a ze względu na to, że jest ich niewielu, muszą delegować swe uprawnienia na oficerów niższych rang, którzy często są „po trzydziestce". Zazwyczaj ludzie młodzi, ale już doświadczeni oficerowie, mają większą skłonność do poszukiwania nowych rozwiązań niż ich o 20 lat starsi koledzy.

Izrael nie ma też występującego we wszystkich armiach świata sztywnego podziału na rodzaje sił zbrojnych z odrębnymi mundurami, etosami i tradycjami służby, a także systemami pozyskiwania sprzętu. Nie traci zasobów i energii na pogodzenie często rozbieżnych interesów różnych rodzajów sił zbrojnych. To dlatego może mieć mniej liczebny korpus wyższych oficerów, bo zajmują się oni niemal wyłącznie „kwestiami wojny", a nie budowaniem swej pozycji w strukturze sił zbrojnych i konkurowaniem o zawsze ograniczone zasoby.

Izrael nie kopiuje też cudzych rozwiązań i nawet jeśli korzysta z pomysłów innych, to zawsze stara się nadać im własny kształt. Mając zawsze mniejszy potencjał niż wrogowie, stawia na innowacje, kulturę eksperymentu i pokonania przeciwników nie dlatego, że posiada „masę", ale lepiej i mądrzej aplikuje istniejące rozwiązania.

Po wojnie Jom Kipur – w przeciwieństwie do wcześniejszego starcia z 1967 r. była ona klęską dla izraelskiego lotnictwa, które straciło wówczas jedną czwartą maszyn – w Izraelu toczyły się dyskusje, co zmienić. Mosze Dajan, ówczesny minister obrony, komentując pojawiające się propozycje postawienia na rozwiązania technologiczne, powiedział, że „elektronika nie wygrywa wojen", a sukces osiąga się, wprowadzając zmiany taktyczne i operacyjne będące wynikiem postawienia na pomysłowość i inteligencję żołnierzy. Przekonanie, że wojny wygrywa ta strona, która jest w stanie szybciej i lepiej zmienić sposób walki, zaskoczyć przeciwnika, wprowadzić innowacje jest fundamentem, na którym zbudowano IDF. W ramach kultury debriefiengu wprowadzono zasadę wspólnego namysłu z udziałem zarówno oficerów, jak i szeregowców, co można zmienić w sposobie walki. Niższe rangi są wręcz zachęcane do zgłaszania pomysłów, nieraz krytykowania rozwiązań przyjętych przez dowództwo. Dajan pisze w pamiętnikach też o własnych uczuciach, kiedy w 1966 r. został zaproszony na paradę amerykańskich marines. Wspomina, że obserwując równo maszerujących żołnierzy, poczuł się „upokorzony" tym, że ci wysokiej klasy specjaliści zostali potraktowani niczym „marionetki", których zadaniem jest wyłącznie utrzymanie szyku defiladowego. Jego zdaniem współczesna wojna – a pisał to ponad pół wieku temu – wymaga wykorzystania „do maksimum indywidualnych zdolności", a nie umiejętności „poruszania rękoma i nogami niczym robot".

To postawienie na powszechne, obywatelskie zaangażowanie, kulturę innowacyjności, szacunek dla indywidualnych zdolności każdego noszącego mundur, niewielki korpus oficerski i awanse wyłącznie dzięki służbie w jednostkach liniowych, a nie za siedzenie w sztabach, jest fundamentem izraelskich sił zbrojnych. Paradoksalnie IDF są „armią indywidualności" połączonych elastyczną organizacją i zespolonych wspólnym etosem. To powoduje, że mają zdolność do ewolucji, zmiany i poszukiwania nowych rozwiązań. Są lepiej niż inne armie dostosowane do wyzwań współczesnego pola walki charakteryzującego się dużą zmiennością oraz zlewaniem się świata cywilnego i wojskowego. Nie zawsze wygrywają, ale zawsze szybko wyciągają wnioski z własnych niepowodzeń i szybko się zmieniają.



eprasa.pl 4ca092825d

# Po drugiej stronie tęczy

*Próba sił w Budapeszcie była czymś więcej niż kontrowersją związaną z uliczną paradą LGBT+. To spór o to, kto będzie rządził w Unii Europejskiej: demokratyczne państwa narodowe czy oligarchia*

GRZEGORZ GÓRNY

Wydarzenia, do których doszło w sobotę 28 czerwca w Budapeszcie, wzbudziły zachwyt europejskiej lewicy i liberałów. Tego dnia ok. 100 tys. osób przeszło ulicami węgierskiej stolicy w ramach marszu dumy LGBT+. Uczestnicy rzucili w ten sposób wyzwanie Viktorowi Orbánowi, który zakazał tego rodzaju manifestacji. Premier okazał się

Fot. Bob Reijnders/Middle East Images/Abacapress.Com/East News



eprasa.pl 4ca092825d

jednak bezradny wobec nieprzebranych tłumów z tęczowymi flagami.

Wielu publicystów odebrało to jako wyraz słabości lidera Fideszu i zapowiedź jego klęski w nadchodzących wyborach. Czy nie jest to jednak scenariusz na wyrost?

## FIDESZ KONTRA LGBT+

18 marca węgierski parlament przegłosował ustawę, która zakazuje organizowania oraz uczestniczenia w publicznych wydarzeniach promujących ideologię LGBT+. W związku z tym policja może używać systemów rozpoznawania twarzy, by zidentyfikować osoby biorące udział w zakazanych imprezach. Za naruszenie prawa grozi grzywna w wysokości ok. 600 dol. Jak podkreślali ustawodawcy, celem nowych przepisów jest ochrona dzieci przed agresywną indoktrynacją i seksualizacją ukrytymi za parawanem tolerancji i inkluzywności. Za przyjęciem ustawy głosowało aż 136 posłów, a tylko 27 było przeciw.

Zmieniając prawo, rząd powołał się na powszechne konsultacje społeczne w 2022 r., gdy 3,7 mln obywateli Węgier (ponad 90 proc. oddających swój głos) odrzuciło m.in. możliwość propagowania ideologii gender i homoseksualizmu w publicznych placówkach edukacyjnych bez zgody rodziców.

Z tego powodu władze w Budapeszcie zostały oskarżone przez najważniejsze instytucje unijne oraz niektóre organizacje międzynarodowe o łamanie swobód obywatelskich i podstawowych praw człowieka. Obrońcy Viktora Orbána zwracali z kolei uwagę, że marsze dumy gejowskiej są bardzo często okazją do manifestowania perwersyjnych zachowań w obecności osób nieletnich.

Wpływowy amerykański konserwatywny bloger Rod Dreher pisał, że na analogicznym marszu w Brukseli można było ujrzeć „mężczyzn będących częścią sadomasochistycznej społeczności fetyszystów, w której udają psy podczas swoich aktywności seksualnych". I dodał: „Gdyby węgierska policja zobaczyła to na ulicy w Budapeszcie, absolutnie zgodziłbym się z aresztowaniem tych haniebnych zboczeńców".

## BRUKSELA KONTRA BUDAPESZT

3,5 miesiąca po uchwaleniu wspomnianej ustawy doszło na tym tle do pierwszej próby sił między władzami węgierskimi a środowiskami spod znaku sześciobarwnej tęczy, zarówno z kraju, jak i z zagranicy. Już od dawna działacze LGBT+ zapowiadali zorganizowanie swojego marszu 28 czerwca w Budapeszcie. Ponieważ policja kilka razy odmawiała im zezwolenia, powołując się na nowe prawo, do akcji wkroczył burmistrz stolicy Gergely Karácsony z Partii Zielonych. Lewicowo-liberalny polityk zadeklarował, że sam zorganizuje imprezę jako wydarzenie miejskie, co nie będzie wymagać zgody policji.

Z poparciem dla madziarskich aktywistów LGBT+ ruszyli czołowi politycy europejscy z szefową Komisji Europejskiej Ursulą von der Leyen na czele, która w specjalnym nagraniu wezwała władze Węgier, by umożliwiły paradę Budapest Pride. W odpowiedzi Viktor Orbán wezwał ją, by nie przekraczała swych kompetencji i nie wtrącała się w wewnętrzne sprawy obcego kraju. Swój apel zakończył słowami: „Wzywam również Komisję do skoncentrowania wysiłków na pilnych wyzwaniach stojących przed Unią Europejską – obszarach, w których ma ona wyraźną rolę i odpowiedzialność oraz tam, gdzie w ostatnich latach popełniła poważne błędy, takich jak kryzys energetyczny i erozja europejskiej konkurencyjności".

W przeddzień manifestacji w wywiadzie dla Radia Kossuth premier zapowiedział, że udział w tym wydarzeniu „będzie miał konsekwencje prawne, ale nie może osiągnąć poziomu przemocy fizycznej". Dodał, że „policja mogłaby rozproszyć takie wydarzenie, ma do tego prawo, ale Węgry to cywilizowany kraj".

Komentując wymianę zdań między premierem Węgier a szefową Komisji Europejskiej, przywołany już Rod Dreher pisał: „Marsz w obronie praw LGBT+ to jedno, a popisywanie się swoim pożądaniem seksualnym w cosplayu niczym skaczące psy to drugie. I spójrz, to jest dokładnie to, czego Ursula von der Leyen i europejska klasa rządząca bronią pod hasłem (cytuję jej przesłanie z Budapest Pride): »Masz prawo kochać, kogo chcesz kochać i być dokładnie tym, kim jesteś«. To jest dokładnie to, czego Ursula von der Leyen i europejska klasa rządząca bronią. »Psy« sodomizujące inne »psy«. Nie podoba ci się to? Musisz być nazistą! Zadaj sobie pytanie: jakie społeczeństwo powstanie, gdy dzieci będą wychowywane w przekonaniu, że takie rzeczy są normalne i dobre, a zakazywanie ich lub nawet protestowanie przeciwko nim jest oznaką występku?".

> Jeśli Orbán straci władzę, to nie z powodu konfrontacji ze środowiskami genderowymi. Na takim starciu może tylko zyskać

## 100 TYS. KONTRA 3,7 MLN

Frekwencja na marszu przeszła wszelkie oczekiwania. W dużej mierze wynikało to z faktu, że do środowisk LGBT+ przyłączyło się wielu krytyków Viktora Orbána, których w stolicy nie brakuje. Do Budapesztu zjechali się też licznie politycy lewicowo-liberalni z całego kontynentu, w tym ponad 70 europarlamentarzystów. Nie mogło też zabraknąć Grety Thunberg. Manifestacja była niewątpliwie pokazem siły tych, którzy nie życzą sobie dalszego trwania Fideszu przy władzy. Czy można jednak wyciągać z tego wnioski o nieuchronnej klęsce obozu rządzącego w najbliższych wyborach?

Warto przypomnieć wspomniane już dwie liczby: 100 tys. osób na tęczowej paradzie i 3,7 mln osób przeciw ideologii gender. Na podstawie kolorowych obrazków z wielkomiejskiej fiesty nie można wnioskować o nastrojach społecznych w całym kraju. Węgrzy są w większości narodem



eprasa.pl 4ca092825d

konserwatywnym obyczajowo i niechętnie nastawionym do ideologizowania tych sfer życia, które powinny pozostać prywatne. Dlatego dla Fideszu wymarzonym polem konfrontacji z opozycją byłby spór o ochronę dzieci przed deprawacją ze strony agresywnych ideologów. Działacze LGBT+ lubią przedstawiać siebie jako ofiary. W tej narracji to jednak oni są sprawcami, a dzieci ofiarami. Czy przeciętny obywatel, który widzi z jednej strony kilkuletniego chłopczyka lub dziewczynkę, a z drugiej półnagiego mężczyznę w czarnej skórzanej bieliźnie z maską psa na twarzy i pejczem w dłoni, uwierzy, że to właśnie ten ostatni jest ofiarą?

To nie przypadek, że Péter Magyar, dziś główny oponent Viktora Orbána, robi wszystko, by nie być kojarzonym z budapeszteńską paradą. Zdaje sobie sprawę, że pojawienie się pod tęczowymi sztandarami mogłoby pociągnąć go w sondażach w dół. Dlaczego? Bo jego kampania bazuje na krytykowaniu Fideszu z pozycji Fideszu i dowodzeniu, że dzisiejszy obóz władzy zdradził własne ideały z czasów, gdy był w opozycji. Dlatego zdobywa popularność, gdy punktuje rząd za inflację, kryzys gospodarczy czy złą sytuację w systemie oświaty i służbie zdrowia. Jeśli Orbán straci władzę, to nie z powodu konfrontacji ze środowiskami genderowymi. Na takim starciu na Węgrzech może tylko zyskać.

## OLIGARCHIA KONTRA DEMOKRACJA

Pozornie nieistotny spór o paradę LGBT+ w Budapeszcie wykracza jednak daleko poza granice Węgier i ma wymiar ogólnoeuropejski. Istotę kontrowersji trafnie ujął brytyjski publicysta Mick Hume, zadając pytanie: „Kto rządzi? Kto powinien decydować, co jest prawnie lub moralnie słuszne na Węgrzech lub w jakimkolwiek innym suwerennym państwie członkowskim Unii Europejskiej? Czy powinien to być demokratycznie wybrany rząd i przedstawiciele narodu węgierskiego? Czy też decyzja powinna zostać podjęta poza Węgrami przez niewybranych demokratycznie przez nikogo i nieodpowiadających przed wyborcami komisarzy i sędziów Unii Europejskiej?".

W dominującej dziś retoryce unijnej Ursula von der Leyen i brukselski establishment przedstawiają samych siebie w tym starciu jako obrońców demokracji, a Viktor Orbán ma być w ich oczach wrogiem tejże demokracji. W rzeczywistości jest dokładnie na odwrót. Premier Węgier został wybrany w demokratycznych wyborach. Jego partia ma mocny mandat do sprawowania władzy, ponieważ czwarty raz z rzędu samodzielnie zdobyła większość konstytucyjną. Zaproponowane przez niego prawo zostało przyjęte zgodnie z obowiązującymi w państwie przepisami. W sprawie, której dotyczy wspomniana ustawa, popiera go większość obywateli, co pokazują nie tylko badania opinii publicznej, lecz także wyniki konsultacji społecznych.

Z zupełnie innych pozycji występuje Ursula von der Leyen, która została szefową Komisji Europejskiej bez poddania się demokratycznym wyborom, a jedynie na podstawie niejawnych negocjacji toczących się za zamkniętymi drzwiami. Według prawa obowiązującego zarówno w Unii, jak i na Węgrzech nie może się ona wtrącać w wewnętrzne sprawy państw członkowskich w obszarze, którego dotyczy uchwalona w Budapeszcie ustawa. Nie dość więc, że nie posiada demokratycznego mandatu, to jeszcze przekracza swoje uprawnienia. W rzeczywistości reprezentuje oligarchię, elity i grupy interesów. Tylko w całkowicie odwróconej perspektywie eurokrata depczący suwerenną wolę narodu wyrażoną przez większość parlamentarną może być nazwany demokratą.

Jak pisze wspomniany Mick Hume: „Stawka jest o wiele większa niż tylko parada dumy. Każdy może nie zgadzać się z polityką Orbána tak bardzo, jak zechce. Kłócenie się o »za i przeciw« czemukolwiek jest właśnie tym, co czyni debatę demokratyczną. Ale jeśli nie posiadasz suwerenności narodowej i demokratycznej kontroli nad swoim rządem, to twoje argumenty i opinie będą bezwartościowe. Ponieważ nie będziesz mieć mocy, aby cokolwiek zmienić. Będziesz musiał czekać, aż królowa Urszula i jej słudzy podejmą decyzje za ciebie. Suwerenność narodowa jest jedynym fundamentem demokracji, który kiedykolwiek zadziałał. Wszelkie rozmowy o mitycznej »paneuropejskiej demokracji« są jedynie przykrywką dla rządów Komisji i sądów UE. Dlatego cokolwiek myślisz o niezbywalnym prawie Grety Thunberg do kpienia z wolności w Budapeszcie, wszyscy powinniśmy być dumni z suwerenności narodowej i gotowości Węgrów do jej obrony. Oni walczą o przyszłość nie tylko węgierskich dzieci, lecz także wolnej Europy".

REKLAMA

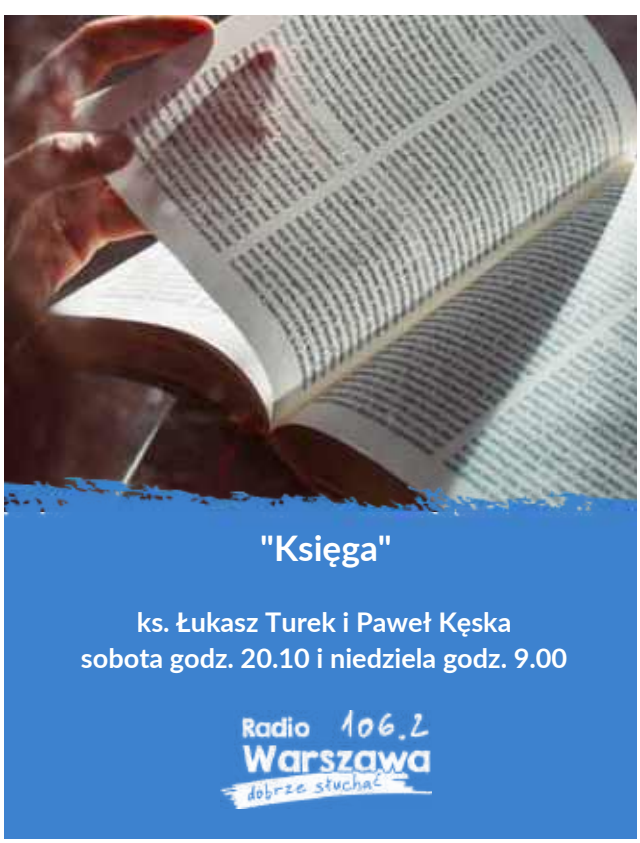


13/0625/F



eprasa.pl 4ca092825d

# Anna, która wyszła z mody

*Po prawie 40 latach Anna Wintour [na zdj.], uwieczniona w filmie „Diabeł ubiera się u Prady", zrezygnowała z kierowania amerykańskim wydaniem „Vogue". Zbyt elitarna i surowa nie pasowała już do świata, w którym granice stylu wyznaczają influencerki oraz żony miliarderów big techu*

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

W maju brytyjski „Vogue" zadeklarował, że „szyk wyszedł z mody", a samo słowo „już nic nie znaczy". Skończyły się czasy, które Barbara Amiel, żona kanadyjskiego wydawcy i finansisty Conrada Blacka, opisała w swoich wspomnieniach pod tytułem „Przyjaciele i wrogowie". „Oto ja, żona miliardera, wiecznie cierpiąca, bo założyłam swoje najdroższe klejnoty na wydarzenie, które wymagało biżuterii za mniej niż milion dolarów" – pisała Amiel o brylowaniu na salonach w latach 90. „Ciągle łapię się na tym, że wyglądam zbyt bogato lub zbyt biednie. Nie nosi się bieli – mówi mi troskliwy znajomy o kolorze moich butów. To dla sprzedawczyń – dodaje. Byłam pochłonięta strachem, że ubiorę się niewłaściwie, że coś zrobię nie tak" – czytamy.

Dziś żony miliarderów już się nie przejmują salonową etykietą. Ani opinią redaktorów „Vogue". Lauren Sánchez, świeżo upieczona żona miliardera Jeffa Bezosa, z okazji swojego wesela w Wenecji „starała się wyglądać – jak ocenił „The Guardian" – naprawdę bogato i naprawdę seksownie". Trzy dekady temu, gdy Amiel próbowała się wpasować w wyższe sfery, panowały takie pojęcia, jak cichy luksus czy ukryte bogactwo. W epoce mediów społecznościowych i influencerów bogactwo musi być stale na widoku. Kulturę minimalizmu (understatement) zastąpiła kultura „flaunt it" (obnoszenia się). Obszyte brokatem suknie Sánchez, tak ciasne, że nadawały się tylko do zdjęć na Instagrama, idealnie współgrały z równie obcisłymi i świecącymi kreacjami jej gości z Kardashiankami na czele – sztuczne rzęsy, usta, paznokcie, ciała, twarze. Bogactwo i kicz afiszowane bez wstydu.

## KONIEC CARYCY MODY

Szaleństwo ślubne państwa Bezosów zbiegło się czasowo z rezygnacją Anny Wintour ze stanowiska naczelnej amerykańskiego „Vogue", które piastowała przez ostatnie 37 lat. Według „Daily Mail" w siedzibie wydawcy Condé Nast w Nowym Jorku zapanowała konsternacja, bo było to „jak odkrycie, że Bóg przestaje być Bogiem". Wintour decydowała o tym, co jest w dobrym guście, a co nie, i choć nie należała do ciepłych osób – jej rygorystyczny, wręcz lodowaty styl zarządzania przyniósł jej przydomek „Nuklearna" – w oczach jej podwładnych zakręciła się łza. Jest to bowiem koniec pewnej ery. Pod jej kierownictwem „Vogue" stał się instytucją. Wielu projektantów zawdzięcza swoje kariery właśnie jej – Marc Jacobs, John Galliano czy Alexander McQueen. Wintour była również inicjatorką gali charytatywnej Costume Institute w Metropolitan Museum of Art (MET), która stała się odpowiednikiem nocy Oscarów dla branży modowej.

Natychmiast pojawiły się spekulacje, że Wintour odeszła z powodu Sánchez – w końcu nieraz mówiła, iż żona założyciela Amazona „nie ma gustu". Na galę MET wpuściła ją dopiero po tym, jak zobowiązała się do założenia jednej z sukienek, które dla niej wybrała. Kim Kardashian i jej ówczesnemu mężowi raperowi Kanyemu Westowi zabroniła robić selfie podczas gali. Twardo broniła starego porządku, w którym żony miliarderów i celebrytki przejmowały się tym, co się o nich mówi. Jedni się martwili, że popełnią błąd, drudzy dekretowali, co jest słuszne. I przez bardzo długi czas cesarzową tych ludzi była Wintour.



eprasa.pl 4ca092825d

Ale nowe porządki wdzierały się drzwiami i oknami, a ona musiała się ugiąć. Sánchez dwukrotnie figurowała w amerykańskim „Vogue" z sesjami zdjęciowymi u boku męża, ostatnia miała miejsce z okazji jej ślubu i wesela. Wintour miała jej nawet doradzać przy wyborze sukni ślubnej.

Według „Guardiana" rewolucja 75-letniej dziś Wintour w świecie mody zwyczajnie dobiegła końca. „Przegrała. Oczywiście nie osobiście – sama zgromadziła znaczne bogactwa, a jej imię jest dosłownie wyryte w kamieniu na kawałku MET w Nowym Jorku. Ale to, co reprezentowała, dobiegło końca i nic nie ilustruje tego w tak niszczący sposób jak zgromadzenie celebrytów na Canal Grande w Wenecji" – twierdzi gazeta.

Oczywiście byłej już naczelnej można postawić zarzut, że jest elitarna. Zresztą robiono to często, twierdząc, że narzuca wszystkim styl klasy wyższej, z której się wywodzi, że w „Vogue" brakuje różnorodności nie tylko jeśli chodzi o zawartość magazynu, lecz także strukturę personelu. W 2020 r. w wewnętrznej komunikacji skierowanej do pracowników przepraszała nawet za „brak przestrzeni dla czarnych redaktorów, pisarzy, fotografów, projektantów i innych twórców". Ta samokrytyka pozwoliła jej zachować stanowisko, domagano się bowiem wówczas jej dymisji. Przy okazji rzucili się na nią propagatorzy ciałopozytywności, którzy mieli pretensje o to, że Wintour woli eksponować szczupłe modelki. Tu także musiała się ugiąć.

Była naczelna „Vogue" urodziła się w 1949 r. w Londynie jako córka Charlesa Wintoura, redaktora naczelnego „Evening Standard". Przygodę z modą rozpoczęła w wieku 18 lat, rzucając szkołę i dołączając jako asystentka do magazynu „Harper's & Queen". Później pracowała dla różnych nowojorskich magazynów. W 1988 r. przejęła stery amerykańskiego „Vogue". Na swojej pierwszej okładce umieściła modelkę Michaelę Bercu w drogim swetrze Christiana Lacroix i dżinsach Guess za 50 dol. Zrewolucjonizowała tym samym tradycyjne kody magazynu i zapowiedziała nową erę: taką, w której haute couture i kultura popularna się przeplatają. Potem były supermodelki: Christy Turlington, Cindy Crawford i Kate Moss, reprezentująca tzw. heroin chic. Na okładkach lądowały także celebrytki, takie jak Oprah Winfrey, Madonna, Ivana Trump czy Renée Zellweger.

Mówiło się, że kocha władzę, a ludzi traktuje przedmiotowo. „Dla niej władza była wszystkim. Władza nad innymi to afrodyzjak Anny" – powiedział pracownik magazynu Jerry'emu Oppenheimerowi, autorowi biografii z 2005 r. pod tytułem: „Front Row: Anna Wintour". Powstał o niej nawet film fabularny „Diabeł ubiera się u Prady" z Meryl Streep w roli głównej, mało pochlebny, ale zdaniem byłych pracowników Wintour jak najbardziej trafny. W „Anna: The Biography" autorka Amy Odell pisze o tym, że Wintour wymagała od swoich trzech asystentek, aby robiły dosłownie wszystko, od opiekowania się jej zwierzętami po czyszczenie jej ubrań. Z biegiem lat wokół Wintour i jej osobliwości narosła legenda. Podobno każdego dnia o 6.00 fryzjer przychodził do niej do domu, żeby ułożyć jej idealnego boba. Właściwie nigdy nie zdejmuje okularów przeciwsłonecznych. Nienawidzi koloru czarnego i nie przepada za towarzystwem z wyjątkiem małej garstki przyjaciół, takich jak aktorka Sienna Miller czy restaurator Keith McNally.

> Natychmiast pojawiły się spekulacje, że Wintour odeszła z „Vogue" z powodu Sánchez – w końcu nieraz mówiła, iż żona założyciela Amazona „nie ma gustu"

We „Front Row" Oppenheimera Laurie Schechter, która zaczynała jako asystentka Wintour w „Vogue", a następnie została redaktorką do spraw stylu, opisuje swoją byłą szefową jako „bardzo zmienną", zauważając: „Ona jest bardzo podobna do mody – krótkie spódnice w tym sezonie, długie w następnym. Ona też może być trochę taka w stosunku do ludzi".

## KONIEC PRASY MODOWEJ

Ale to już przeszłość. Według „The New York Times" odejście Wintour z „Vogue" to także symbol zmian w prasie lifestylowej i modowej, która zwyczajnie przestała się dobrze sprzedawać, zresztą jak cała prasa drukowana. Tylko w 2023 r. sprzedaż magazynów wydawanych przez Condé Nast – oprócz „Vogue" także „Vanity Fair" i „Tatler" – spadła w USA o 20 proc., a w Europie o 25 proc. Inne magazyny, jak „Glamour", ukazują się już tylko online. W USA „Vogue", dotąd miesięcznik, ukazuje się już tylko 10 razy w roku. „Dni przepychu w niegdyś potężnych kolorowych magazynach dobiegły końca" – twierdzi gazeta.

Według pisma w złotych czasach były limuzyny z szoferem, pięciogwiazdkowe hotele, a autorzy zarabiali pensje sięgające sześciocyfrowych kwot. Annie Leibovitz, główna fotografka magazynu, zarobiła 475 tys. dol. za sesję zdjęciową okładki, w której wzięło udział 10 światowej sławy aktorek, w tym Nicole Kidman, Penélope Cruz, Sophia Loren, i misterna scenografia w komplecie z kominkiem i autentycznym obrazem Johna Singera Sargenta, który został przetransportowany samolotem z Los Angeles do Nowego Jorku, a następnie Londynu. Dziś wydawcy już nie stać na takie finansowe ekstrawagancje.

Co się zaś tyczy Wintour, to choć nie będzie już redaktorką naczelną „Vogue", nie rozstaje się z Condé Nast. Pozostaje jako globalna dyrektor. Tymczasem wydawnictwo zaczęło poszukiwać jej następcy bądź następczyni ogłoszeniem na LinkedIn oraz w mediach społecznościowych. Brzmi to jak rewolucja. „Różne rzeczy wychodzą z mody – być może nawet sama moda. Z pewnością styl przez duże S, jaki zadekretowała sama Wintour. Jeśli nad ślubem Bezosa unosiła się atmosfera fin de siècle'u, to był to koniec ery Anny. Szczęśliwa para i ich otoczenie robią wrażenie, jakby dopiero zaczynali" – podsumował „The New York Times".

Fot. lev radin/Shutterstock.com



eprasa.pl 4ca092825d

# Polska na wojnie hybrydowej z Niemcami

*W opisach naszych relacji z Niemcami coraz częściej pojawia się słowo „wojna". To oczywiście przenośnia i przesada, ale niestety coraz mniejsza*

DARIUSZ MATUSZAK

Gdyby spojrzeć, na czym polega wojna hybrydowa, to właśnie o takim konflikcie moglibyśmy mówić. Ot, choćby jeden z jej elementów, czyli zorganizowany przez obce państwo przerzut nielegalnych imigrantów. Polski Instytut Spraw Międzynarodowych, a nawet Donald Tusk, uznają to za przejaw wojny hybrydowej. „Granica polsko-białoruska to miejsce wyjątkowe ze względu na presję nielegalnej imigracji, tak naprawdę mamy do czynienia z postępującą wojną hybrydową" – mówił premier rok temu u żołnierzy na Podlasiu. Gdyby wyrażenie „granica polsko-białoruska" zamienić na „granica polsko-niemiecka", to i tak wszystko by się zgadzało. „Nielegalnych przejść jest coraz więcej każdego dnia. Chcę, żeby tutaj już nie było też żadnych wątpliwości – państwo o coraz częściej agresywnych zamiarach wobec Polski, jakim jest Białoruś [wstawiamy Niemcy – przyp. red.] współorganizuje ten proceder na polskiej granicy". Opis sytuacji na niemieckiej granicy jak znalazł.

To, co robią Niemcy, nie jest reakcją, odpowiedzią tamtejszych funkcjonariuszy na zdarzenia. To nie jest nieprzepuszczanie z Polski imigrantów, zawracanie, tylko zorganizowana na poziomie federalnym i landów akcja pozbywania się przez Niemców ludzi, których ściągnęli swą polityką, a teraz chcą się pozbyć jako niepotrzebnych. O tym, w jakim stopniu wszystko było zaplanowane, świadczy choćby data wprowadzenia przez Niemców kontroli na polskiej granicy – 16 października 2023 r., a więc dzień po wyborach w Polsce, kiedy to nie mogło już zaszkodzić PO i jej przyczłapom.

Ilu imigrantów już przerzucili do Polski? Dokładnie nie wiadomo. Nasze władze podają, że ledwie kilkuset, a niemieckie służby – że tysiące. W dokumentach Bundestagu pojawiają się szacunki sugerujące blisko 20 tys. To kilka razy więcej niż liczba nielegalnych imigrantów, którzy przedostali się w ciągu półtora roku z Białorusi. Inaczej mówiąc, Berlin robi dokładnie to, co Mińsk – przerzuca imigrantów do Polski i jest w tym skuteczniejszy. Oczywiście to wynik tego, że nasze zachodnie rubieże nie są strzeżone, a rząd kolaboruje z Niemcami. Polskie służby są sparaliżowane rozkazami, najwyraźniej mają zakaz ochrony granicy, są zmuszone do świadczenia usług transportowych oraz zapewniania wiktu i opierunku imigrantom.

Tam, gdzie władze lokalne są związane z koalicją rządzącą, dochodzi nawet do represjonowania tych, którzy nie godzą się, by ich wspólnoty były zalewane przybyszami. To wojna hybrydowa przeciwko własnym obywatelom. Marszałek województwa lubuskiego posunął się nawet do tego, że jego urząd ukarał dzieci z Kożuchowa, bo tamtejszy samorząd podjął uchwałę, iż nie zgadza się, by rząd stworzył na ich terenie ośrodek dla przerzucanych z Niemiec nielegalnych imigrantów. Z zemsty odmówiono m.in. sfinansowania projektu dla dzieci „Uczniowie przyszłości to my". Po serii gróźb ze strony urzędu marszałkowskiego samorząd się wycofał, więc teraz rząd przymusowo osadzi w Kożuchowie nielegalnych imigrantów. To dokładnie to samo narzędzie, jakie wobec polskich samorządów stosowała Unia Europejska np. po tym, jak Biedroń i Staszewski nakłamali, że w Polsce powstają jakieś „strefy wolne od LGBT+".

## WOJNA POZNAWCZA

Oczywiście cele, motywacje, sposoby Niemiec i Białorusi są różne, ale skutek dla nas jest ten sam. Żadnym pocieszeniem nie jest też to, że Niemcy próbują podrzucać nielegalnych imigrantów Holandii, Belgii i Francji. Tylko presja społeczna, oddolny Ruch Obrony Granic, wymusiła na rządzie reakcję, więc premier zapowiedział kontrole na zachodniej granicy od 7 lipca. Kanclerz Friedrich Merz poinformował, że mają to być wspólne niemiecko-polskie patrole. „Jesteśmy całkowicie zgodni, że musimy zwalczać nielegalną migrację i nielegalne przekraczanie granic. Chcę, abyśmy wspólnie rozwiązali ten problem na szczeblu europejskim, z naciskiem na wspólnie i europejsko" – cytuje kanclerza „Die Welt". A więc rozwiązywaniem problemu będą się zajmować ci, którzy sprowadzili nieszczęście i sobie z nim nie radzą.

Fot. Kamil Zajączkowski/Shutterstock.com

Maciej Świrski w artykule „Twierdza suwerenności: nowa doktryna migracyjna Rzeczypospolitej" opublikowanym na portalu wPolityce.pl pisze tak: „Polska stoi dziś przed jednym z najpoważniejszych wyzwań XXI wieku: próbą rozbicia jej suwerenności za pomocą presji migracyjnej, wojny poznawczej i demontażu tożsamości narodowej. To [...] konfrontacja cywilizacyjna". Zestawmy to z prostym opisem wojny hybrydowej: „Działania w ramach wojny hybrydowej są prowadzone na różnorodnych płaszczyznach: militarnej, politycznej, gospodarczej, społeczno-kulturowej, historycznej, psychologicznej oraz informacyjnej". Widzimy, że Niemcy i Unia – jako ich narzędzie do panowania w Europie – podejmują wobec Polski wszystkie takie działania prócz militarnych. Ba, przy okazji kryzysu migracyjnego chodzi nawet o zainstalowani w naszym kraju obcych „wojsk". Adam Bodnar jeszcze jako RPO domagał się, by to UE przejęła kontrolę nad granicą z Białorusią, bo polscy strażnicy zbyt pilnie jej strzegą.

Maciej Świrski pisze, iż „jednym z najbardziej niebezpiecznych narzędzi wojny poznawczej wymierzonej w państwa Europy Środkowej jest narzucenie tzw. narracji postkolonialnej. Zakłada ona, że kraje zachodnioeuropejskie mają wobec Azji i Afryki dług historyczny wynikający z epoki kolonializmu". Trzeba więc wmówić, że również Polska ma taki dług i teraz musi go spłacić poprzez przyjmowanie imigrantów przepędzanych z Europy Zachodniej.

Wojna poznawcza toczy się też na innych frontach. Niemcy od dawna prowadzą wymyśloną przez ich służby operację rozmywania odpowiedzialności za II wojnę światową i zbrodnie. Systematycznie, na zimno pracują nad tym, by przerzucić część win na inne kraje, zwłaszcza na Polskę, a same przedstawiać się jako ofiara „jakichś" nazistów. Kanclerze Merkel, Scholz, a teraz już Merz wmawiają, jakoby w 1945 r. Niemcy zostały wyzwolone spod nazizmu. To nikczemna manipulacja, ale coraz bardziej rezonuje wśród samych Niemców. Najpodlejszą, ale skuteczną akcją było wprowadzenie do obiegu pojęcia „polskie obozy śmierci" i wmawianie światu odpowiedzialności Polaków za zagładę Żydów.

Ma to także bardzo konkretny wymiar finansowy. Te kłamstwa są zapasowym narzędziem do tego, by odmawiać Polsce reparacji. Sprawca zbrodni nie ma bowiem prawa się ich domagać. W tej sprawie będziemy mieli do czynienia z coraz bardziej agresywnymi poczynaniami Niemców, bo jak już pisaliśmy: „Prezydent Nawrocki, człowiek strzegący pamięci o bohaterach, zbrodniach i ich ofiarach, nie pozwoli, by Niemcy odpowiedzialność za ludobójstwo i grabieże skryli pod 30-tonowym głazem rzuconym gdzieś na posypany żwirkiem i kamykami placyk w Berlinie". Zakłamywanie historii ma też pomagać w ekspansji gospodarczej, robieniu interesów w innych krajach. Inaczej przyjmuje się dziedzica nazistów, a inaczej kulturalnego niemieckiego mieszczanina.

## KOMISJA DS. BADANIA ROSYJSKO-NIEMIECKICH WPŁYWÓW

Prowadzona przez Niemcy wojna propagandowa/poznawcza pozwoliła wywołać też tę prawdziwą – na Ukrainie. To niemieckie pieniądze posłużyły Putinowi do zbudowania machiny wojennej. Do prowadzenia interesów z Kremlem Niemcy potrzebowały wizerunku Rosji niewinnej, niemal demokratycznej, może trochę szalonej – ta rosyjska dusza – ale jednak europejskiej, cywilizowanej. Przypominanie o prawdziwej, imperialnej, barbarzyńskiej naturze Rosji było na salonach Brukseli równie nieeleganckie,



eprasa.pl 4ca092825d

co mówienie o niemieckich zbrodniach. Też przeszkadzało w interesach.

Dlatego specjalną rolę do odegrania miał pierwszy rząd Donalda Tuska, którego zadaniem było upiększanie wizerunku Rosji. Mechanizm był taki: skoro nawet tak rusofobiczni Polacy porzucili uprzedzenia i mają ciepłe relacje z Rosją, to znaczy, że ona naprawdę podziela „zachodnie wartości" i można budować projekt jednej Europy od Władywostoku po Lizbonę. Nikt się nie sprzeciwi.

To dlatego w 2023 r. Niemcy tak szybko i bezczelnie zareagowali na ustawę o powołaniu w Polsce komisji ds. zbadania wpływów rosyjskich. Ledwie 29 maja prezydent Andrzej Duda ją podpisał, a już 2 czerwca rzecznik niemieckiego MSZ Christopher Burger oświadczył, że to narzędzie do prześladowania przeciwników politycznych: „Oczekujemy od wszystkich państw członkowskich zagwarantowania praw podstawowych i dobrych, demokratycznych praktyk. Do tego zaliczają się wolne i uczciwe wybory stanowiące filar demokracji. Komisarz UE ds. wartości i przejrzystości pani Jourová dała już jasno do zrozumienia, że sytuacja w Warszawie zostanie dokładniej przeanalizowana i Komisja zastrzega sobie prawo do podjęcia dalszych działań, jeśli zajdzie taka potrzeba". Niemcy wydali Czeszce rozkaz interwencji, a „Die Welt" pisał, iż powołanie komisji przywołało w Polsce „atmosferę procesów pokazowych w czasach stalinowskich". Ciekawe, dlaczego nie hitlerowskich?

Komisja Europejska szybko wszczęła postępowanie przeciwko Polsce w sprawie „uchybienia zobowiązań państwa członkowskiego" i pisała w oświadczeniu: „Działania komisji [tej polskiej od rosyjskich wpływów], np. śledztwa i przesłuchania publiczne, stwarzające ryzyko poważnego uszczerbku na reputacji kandydatów w wyborach, a poprzez odkrycie, że dana osoba działała pod wpływem rosyjskim, mogłyby ograniczyć skuteczność praw politycznych osób wybieranych w demokratycznych wyborach". Rozumieją państwo – eurokracja zabrania polskiemu wyborcy dowiedzieć się, kto działał pod rosyjskim wpływem.

W sprawie blokowania przez Niemców z pomocą Brukseli działania komisji ds. rosyjskich wpływów chodziło o coś innego niż tylko o pomoc w osadzeniu na stolcu posłusznego premiera. Szło o ryzyko ujawnienia – wraz z wpływami rosyjskimi – wypływów niemieckich. Komisja mogła pokazać, jaka była/jest mechanika działania Niemców. Jakich środków używają do korumpowania (niekoniecznie materialnego) urzędników, polityków, jakie pieniądze i służby stoją za lobbystami i ekoterrorystami blokującymi inwestycje czy forsującymi szkodliwe rozwiązania. Reset z Rosją nie był przeprowadzony dlatego, że tak wymyślili Sikorski z Tuskiem, tylko z tego powodu, że Berlin zaprojektował go, by w spokoju prowadzić interesy z Kremlem i uzależniać Europę od rosyjskiego gazu. Blokowanie komisji ds. rosyjskich wpływów to jeden z przykładów działań zmierzających do instalowana w Polsce posłusznej sobie władzy.

> Filary naszej suwerenności są nieustannie osłabiane przez naszego zachodniego sąsiada. Nie odbywa się to w sposób gwałtowny, wszystko jest sączone kropla za kroplą, jak trucizna, by ofiara się nie zorientowała

Bezczelne interwencje w nasze życie polityczne nie ustały nawet po objęciu rządu przez PO i jej sojuszników. Niemiec Manfred Weber, szef Europejskiej Partii Ludowej, witał w Parlamencie Europejskim polską prezydencję w UE, wychwalając Tuska: „W 2021 r. powiedział pan, że wraca pan do Polski walczyć o demokrację i praworządność. Wygrał pan, skończył pan z rządami PiS, przywrócił praworządność. Polska powróciła do stołu decydentów w Europie i na świecie, a Jarosław Kaczyński może przejść na polityczną emeryturę". Przy okazji nakłamał, mówiąc, że w przeciwieństwie do innych europejskich liderów Tusk „wiedział, jaka jest rzeczywistość i że Rosja to wróg europejskiego stylu życia". Teraz, po zwycięstwie Karola Nawrockiego i zapowiedzi powołania Sławomira Centkiewicza na szefa Biura Bezpieczeństwa Narodowego, należy się spodziewać powrotu do niezamkniętego, niezagojonego frontu związanego z badaniem rosyjsko-niemieckich wpływów.

## TWIERDZA SUWERENNOŚĆ

Kontrola nad własnymi granicami, tożsamość jako pamięć własnej historii i pielęgnowanie kultury, ustanawianie własnych praw, wyłanianie w demokratycznych wyborach własnych władz – to filary suwerenności, fundamenty niepodległości. Wszystkie one są nieustannie osłabiane przez naszego zachodniego sąsiada. Nie odbywa się to w sposób gwałtowny, np. naszych granic nie szturmują tysiące imigrantów naraz, jak w przypadku akcji Mińska. Wszystko jest sączone kropla za kroplą, kłamstwo za kłamstwem – jak trucizna, by ofiara się nie zorientowała, ale i nie zdechła. Niemcom potrzebna jest Polska, ale licha – zorganizowany pod dostawy kraj odgrywający rolę magazynu, zaplecza fabryki czy sklepu, gdzie wyładowuje się towar, upycha pudła. I rezerwuar taniej siły roboczej, montownia i zleceniobiorca prostych prac.

Maciej Świrski skupił się na polityce imigracyjnej, ale to, co pisze, dotyczy wszystkich aspektów niepodległości: „Polska nie może pozwolić sobie na dalsze złudzenia. Musi uznać, że toczy się wojna – nie z czołgami, lecz z narracjami. Nie z bombami, lecz z mapami kulturowymi [...]. Stawką nie są tylko decyzje polityczne, ale przyszłość samego pojęcia Polska [...]. Odbudowa suwerennego państwa zaczyna się od kontroli granic, ale kończy się na odbudowie ducha narodowego – odpornego na szantaż moralny, świadomego własnej historii i gotowego do walki o własny los. Musimy jasno powiedzieć: Polska nie będzie skansenem woli Brukseli ani zapleczem ludnościowym dla utopii multikulturowej. Będzie państwem, które – jak kiedyś – wyznacza linię obrony cywilizacji". Inaczej mówiąc – Polska musi przejść w tryb obrony „twierdzy suwerenności".



eprasa.pl 4ca092825d

Fot. Andrzej Wiktor

# Złowrogi klaun

*Fragment książki Bronisława Wildsteina „Opowieść idioty czy ład naturalny", która ukazała się właśnie nakładem PIW*

Stopniowo koszmar wojny i ludobójstwa oddalał się, przywykliśmy do broni atomowej i naukowej niepewności, komunizm zawalił się pod własnym ciężarem, a postępowcy zrobili bardzo dużo, aby zrelatywizować jego makabryczne doświadczenie. Ogłoszony został kolejny koniec historii, tym razem w liberalnym wydaniu. Tym, co w XX wieku zgotowały człowiekowi utopie, obciążona została całość cywilizacji zachodniej. W efekcie proces emancypacji od niej nasilał się, upowszechniał i zstąpił pod strzechy, tym razem w karnawałowej aurze. Nowi prawodawcy wołają nie tylko o wyswobodzenie, ale rehabilitację zmysłów oraz libido, unieważnione ma zostać natomiast wszystko, co stanowi ciężar, a więc wymaga wysiłku i grozić może



eprasa.pl 4ca092825d

stresem: metafizyka, kultura, religia i generalnie sfera ideału. W wielkim szpitalu nowej cywilizacji zostaliśmy wzięci w opiekę przez specjalistów od ciała i duszy, której nie ma, bo zastąpiła ją psychika. Emancypatorzy uwalniają od wysiłków i związanych z tym napięć, planują dla wszystkich doskonałą rzeczywistość permanentnego karnawału, który nie tyle zastąpił permanentną rewolucję, ile stopił się z nią. Powaga jest zakazana, no chyba że w trakcie polowania na tych, którzy się do niej odwołują, czyli faszystów, albo w akcie destrukcji ludzkiego środowiska w imię ratowania ziemi przed kolejnym zagrożeniem na zamówienie potentatów, dla których okazuje się to doskonałym interesem.

Zbuntowany Prometeusz i tragiczny egzystencjalista przywdziali błazeńskie maski. Co mają jednak ze sobą wspólnego tak odmienne postacie? Zgadzają się, że samoistnie świat nic nie znaczy i czeka na czyn sprawczy człowieka, który w momencie nowej Genezy dokona aktu autokreacji, aby odrzucić swoją wcześniejszą poczwarkę i przeistoczyć się w zupełnie nowe istnienie – byt wyemancypowany. Rzeczywistość to plastyczna masa, którą człowiek winien ulepić zgodnie ze swoimi pragnieniami. Czy mu się to powiedzie, o to egzystencjalista i Prometeusz toczą spór, ale solidarnie występują przeciw „esencjonalnej" tradycji. Tylko skąd, u diabła, tak znacząca u nich rola ekologii? No cóż, nawet nowoczesny człowiek nie jest do końca konsekwentny, potrzebuje ulokować gdzieś swoje religijne tęsknoty, a jeśli dodatkowo, ci, którzy to rozumieją, potrafią przekuć je w zyskowne interesy, to nie ma co zastanawiać się nad niekoherencją owej postawy. Ważne, żeby był fun. Nieprzypadkowo ekrany coraz szczelniej wypełniające współczesne środowisko człowieka zdominował szyderczy i rozchichotany klaun. Tyle że niespodziewanie ujawnił on swoją dwuznaczność.

Inna sprawa, że komedia od zawsze była dwuznaczna: „Komedia, jak już stwierdziliśmy, jest naśladowaniem ludzi gorszych, lecz bynajmniej nie w znaczeniu wszystkich ich wad, a tylko w zakresie śmieszności, która jest częścią brzydoty. To, co śmieszne, jest przecież związane z jakąś pomyłką lub z bezbolesnym i nieszkodliwym oszpeceniem, czego wymownym przykładem, żeby nie szukać daleko, jest brzydka i powykrzywiana, lecz nie wyrażająca bólu, maska komiczna". Pisze Arystoteles w „Poetyce". Pierwotna charakterystyka komedii dokonana przez Stagirytę, którą formułuje on w początku przywołanego cytatu, zaginęła. To, co pozostało, wystarczy jednak, aby dostrzec podstawowe jej rysy. Komedia odwołuje się do niższych uczuć, do satysfakcji wypływającej z gorszej strony człowieka, pozwala sycić się brzydotą i upadkiem. Nie tylko jednak. Śmieszność to poczucie przewagi tego, który się śmieje nad postacią, która jest śmiechu przedmiotem. Tomasz Hobbes pisał, że to poczucie wyższości i samozadowolenia wobec kogoś, kto odsłonił swoją niższość. O poczuciu wyższości, która jest istotą komizmu pisał także Stendhal. I pointował: „Śmiech odwołuje się do naszej miłości własnej".

Komizm oznacza więc degradację i poniżenie osób, z których się śmiejemy, co zauważa większość teoretyków komizmu. Analizował to choćby Roger Scruton.

Naturalnie ten aspekt nie wyczerpuje całości tego fenomenu. Istnieją teorie, które akcentują fakt, że wyzwala go groteskowy rozziew między naszymi oczekiwaniami a realnością, kontrast między formą a treścią i tym podobne. Wymiar ośmieszenia bliźniego, a więc pośredniej jego degradacji jest jednak dla komizmu czymś fundamentalnym.

* * *

Wiele mówi to, że błazen w kulturze masowej stał się dziś figurą niepokojącą. Beztroski wesołek, który miał rozśmieszać dzieci i dorosłych pod radosną maską ukrywa groźną, jeśli nie straszną tajemnicę. W „To", jednej z najsławniejszych powieści mistrza współczesnego horroru i jednego z najpopularniejszych na świecie autorów Stephana Kinga, który kształtując wyobraźnię masową, wyrasta z niej jednocześnie, tajemniczy klaun z zaświatów prześladuje i morduje dzieci. Powieść ta to tylko najbardziej głośny sygnał zmiany skojarzeń związanych z tradycyjnie bezproblemowym trefnisiem. Maska albo odpowiednio intensywny makijaż przesłania, a więc potrafi zwodzić. Pod radośnie głupią fizjonomią ukrywać się może jej ponure lub koszmarne zaprzeczenie, a motyw ten wykorzystywany był we współczesnej kulturze na dużą skalę od co najmniej wieku. Kino eksploatowało go już od niemieckiego ekspresjonizmu w latach dwudziestych minionego stulecia. Jednak to dopiero teraz błazen, wbrew swojemu oryginalnemu powołaniu, stał się postacią groźną, która bardziej straszy niż śmieszy. Kiedy pojawia się na ekranie, zaczynamy się niepokoić, bo wiemy, że za jego wizerunkiem chowa się całkiem co innego.

Szczególnym wcieleniem tego toposu jest Joker z komiksów o Batmanie i, być może, to on stanowi główny pierwowzór współczesnego, przerażającego klauna, zwłaszcza że prezentuje specyficzne, sadystyczne poczucie humoru. Tej fundamentalnej, wspomnianej już charakterystyki komizmu, jego czarnej strony, która odsłania ciemną stronę ludzkiej natury, wolimy nie analizować. Śmiech wiąże się z ośmieszeniem, a więc wyszydzeniem, czyli degradacją konkretnych osób. Odruchowo uznajemy, że na to zasługują, aby usprawiedliwić nasze bezrefleksyjne i na co dzień umiarkowanie okrutne skłonności. A przecież nawet w wydawałoby się niewinnych burleskach ofiary wcale nie tak niewinnych żartów są przypadkowe. Utożsamienie się z kopanymi w tyłki czy obrzucanymi tortami postaciami wskazuje, że nie znajdują się one w pozycji, która sprawiałaby im szczególną satysfakcję. A są to najłagodniejsze żarty, które możemy tam odnajdywać. Trudno wręcz wyobrazić sobie komizm bez ofiary, która stanowi obiekt śmiechu. Warto o tym pamiętać, zwłaszcza dziś, w epoce, której dominujący trend tropi wszelkie postawy, które mogą owocować negatywnymi ludzkimi zachowaniami, a działania w tym kierunku zwykle obracają się w swoje przeciwieństwo; w epoce, która równocześnie usiłuje zabawić nas na śmierć.

Joker zaczynał jako morderca obdarzony szczególnym, wyjątkowo nieprzyjemnym zmysłem humoru. Ostatnie filmy, w których się pojawia, stają się coraz bardziej ponure. „Joker", wybitny obraz Todda Philipsa z 2019 roku, w którym tytułową rolę gra Joaquin Phoenix, to tragedia, a komizm, którym jest nasączona, budzi przerażenie.

Autopromocja



eprasa.pl 4ca092825d

* * *

Świadomość ciemnej strony karnawału przenikać zaczyna do kultury masowej. Jego beznadziejna pustka ujawnia się również dla jej kreatorów. Tak pisze o nim w chyba swojej najsławniejszej piosence Agnieszka Osiecka:

„Życie, kochanie, trwa tyle, co taniec,/ [...] Bal to najdłuższy, na jaki nas proszą,/ nie grają na bis, chociaż żal,/ zanim więc serca upadłość ogłoszą/ – na bal, marsz na bal!/ [...] miasta nieczułe, mijajcie jak porty,/ bo życie, bo życie to bal/ [...] Chłopo-robotnik i boa-grzechotnik/ z niebytu wynurza się fal,/ widzi swą mamę i tatę, i żonkę,/ i rusza, wyrusza – na bal./ Sucha kostucha, ta Miss Wykidajło,/ wyłączy nam prąd w środku dnia,/ pchajmy więc taczki obłędu jak Byron,/ bo raz mamy bal!"

Wynurzamy się z niebytu bez uzasadnienia i na moment, aby zaraz, niespodziewanie Miss Wykidajło pogrążyła nas w nim („wyłączyła nam prąd") ponownie. To nieomal obraz z Becketta: „One rodzą okrakiem na grobie, światło świeci przez chwilę a potem znów noc". Świat jest obojętny wobec człowieka („miasta nieczułe"), a różnicę w stosunku do wizji autora „Końcówki" stanowi wyłącznie obowiązek zabawy, chociaż w swojej skontrastowanej z zewnętrznym pozorem mordędze też się od Beckettowskiego absurdu nie różni.

Kilka lat po Osieckiej niezwykle podobną piosenkę jako światowy i to obdarzony długim życiem przebój (co jest generalnie wyjątkiem) wylansował głośny zespół Queen. Na fundamentalne, egzystencjalne pytania: „po co żyjemy", „czego szukamy", jest tylko jedna odpowiedź: „show (bal) musi trwać". Wszystko to jak u Osieckiej pogrążone jest w nostalgii i absurdzie: próżne, opuszczone miejsca, bezsensowne zbrodnie, ból serca, zawiedziona miłość, ale nawet przy łuszczącym się makijażu trzeba zachować uśmiech, nie poddawać się, bo bal musi trwać.

Niby dlaczego? – można zapytać. Ano dlatego, że nic innego nie ma. Wprawdzie w piosence Osieckiej słyszymy, że „to życie zachodu jest warte", ale chyba dlatego tylko, że innego nie ma, a: „drugi raz nie zaproszą nas wcale". Wprawdzie: „dzień wart jest dnia", czyli wszystko jest siebie warte, a więc warte jest nic, ale skoro nie ma nic innego...

Życie karnawałem przeradza się w ciężki i bezsensowny, acz obowiązkowy nakaz: „marsz na bal!" – słyszymy. W powieści Horacego McCoy'a „Czyż nie dobija się koni?" i jej sławnej ekranizacji maraton tańca prowadzi ku uciesze widzów do skrajnego wyczerpania, a nawet śmierci uczestników. Współcześnie nie ma już widzów, tak jak z zasady nie ma ich w karnawale, w którym mamy partycypować wszyscy. Ale maska śmiechu, która przyrasta do naszych twarzy, wygląda coraz bardziej niesamowicie.

Kultura przekracza nasze indywidualne zdolności poznawcze. Zdarza się to nawet jej bardziej trywialnym, masowym przejawom. Nie sądzę, aby King czy któryś z wykorzystujących wątek strasznego klauna twórców współczesnych zastanawiał się nad jego głębszym sensem. Pewnie inaczej jest w wypadku dzieł wyrafinowanych, czyli filmu takiego jak „Joker". Dla większości autorów jednak to po prostu dogodna forma, w której eksponują tajemnicę maski i kontrast między beztroską wizerunku a realnym niebezpieczeństwem. Dlatego posługiwali się nią także twórcy filmów o Bondzie. Mimo to w świecie, który paradoksalnie stara się karnawalizować naszą codzienność – paradoksalnie, bo karnawał to czas wyłączony, zawieszający funkcjonujące reguły, jeśli stara się je trwale zastąpić, popełnia samobójstwo – przekształcenie rzecznika karnawału, jakim jest błazen w figurę groźną, jest brzemienne w konsekwencje. Wskazuje, że nasza zbiorowa podświadomość zaczyna niepokoić się kierunkiem, w którym zmierza wesołkowata kultura. Odbierający nam dzieci klown może być wyrazem lęku epoki, która proces edukacji zastępuje masową rozrywką, w efekcie czego wiecznie niedojrzali, skoncentrowani na sobie konsumenci zabawy coraz bardziej rozpaczliwe ścigają jej niedostępny horyzont spełnienia.

***Bronisław Wildstein***


wPolsce 24

NIE MA NAS W TWOIM TELEWIZORZE?

Zacznij działać! Naciskaj na swojego operatora telewizji kablowej.

Dzwoń, pisz, przekaż mu kontakt do nas:

operatorzy.kablowi@wPolsce24.tv

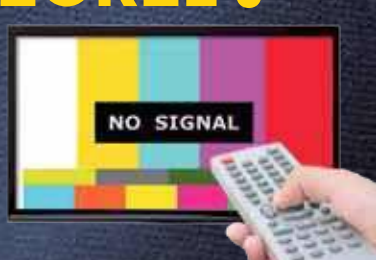


Informacje o lokalnych i regionalnych operatorach tv: www.wpolsce24.tv/gdzie-nas-ogladac

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

| 52 | 62 | 192 | 32 | 825 | 196 | 65 | 459 | 631 | 43 |
|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|
| telewizja naziemna | CANAL+ | netia | orange | vectra | polsat box | PLAY dawniej upc | inea | TOYA | evio |

eprasa.pl 4ca092825d

# Bereza Kartuska – przestroga dla rządzących

*6 lipca 1934 r. w Berezie Kartuskiej powstał „obóz odosobnienia". Trafiali tam przede wszystkim komuniści, ukraińscy nacjonaliści, a także przedstawiciele ugrupowań politycznych opozycyjnych wobec rządzących przed wojną sanatorów. Do dziś często jest uważana za największą hańbę władzy piłsudczyków*

STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

Bereza Kartuska to miejsce, które zapisało się w historii Polski jako symbol represji politycznych i ograniczenia demokracji po przejęciu władzy przez sanację. Był to tzw. obóz odosobnienia, funkcjonujący w latach 1934–1939.

Powstanie Berezy, charakter i sposób jej funkcjonowania, chociaż osadzony w specyficznych realiach geopolitycznych tamtych czasów, do dziś budzi kontrowersje. Dlaczego? Bo może być ostrzeżeniem przed pokusą autorytaryzmu w demokratycznym państwie.

## ODPOWIEDŹ NA UKRAIŃSKI ZAMACH

Bezpośrednim impulsem do powstania obozu w Berezie Kartuskiej był zamach na ówczesnego wicepremiera i ministra spraw wewnętrznych Bronisława Pierackiego, zaufanego człowieka marsz. Józefa Piłsudskiego. 15 czerwca 1934 r. przy wejściu do Klubu Towarzyskiego przy ul. Foksal w Warszawie – ulubionego miejsca spotkań politycznej elity II Rzeczypospolitej – został on zastrzelony przez członka Organizacji



eprasa.pl 4ca092825d

Fot. NAC

Ukraińskich Nacjonalistów. Bojówką, która dokonała zamachu, bezpośrednio kierował Stepan Bandera.

Śmierć Pierackiego wywołała wstrząs zarówno w społeczeństwie, jak i strukturach państwa. Dała także pretekst władzom do zaostrzenia działań wobec przeciwników politycznych. „Oburzenie zapanowało tak wielkie, że jak największe nawet represje i w jakąkolwiek stronę skierowane napotkałyby entuzjastyczny poklask, tym większy, im same represje byłyby mocniejsze. Niewątpliwie podobnym nastrojom uległy również i sfery rządzące, dla których – obok przyczyn wywołujących głębokie oburzenie w szerokich warstwach społeczeństwa – było i inne: zabito im przyjaciela" – pisał Mieczysław Lepecki, ówczesny adiutant Piłsudskiego.

Sanacja, rządząca po przewrocie majowym w 1926 r., coraz bardziej skłaniała się ku autorytarnym metodom sprawowania władzy. W atmosferze narastającego napięcia społecznego i politycznego władze zdecydowały się na stworzenie miejsca, w którym mogłyby izolować swoich przeciwników bez konieczności przeprowadzania formalnego postępowania sądowego.

## KTO BYŁ POMYSŁODAWCĄ?

Zaledwie dwa dni po śmierci Pierackiego, 17 czerwca 1934 r., prezydent Ignacy Mościcki na mocy specjalnego rozporządzenia powołał do życia „Miejsce Odosobnienia w Berezie Kartuskiej" położonej na Polesiu, na północny wschód od Brześcia nad Bugiem. Na mocy decyzji administracyjnej dokument ten dopuszczał możliwość izolowania „osób stanowiących zagrożenie dla porządku publicznego" do trzech miesięcy bez możliwości odwołania się od niej. Okres zatrzymania był jednak wielokrotnie przedłużany, na ogół na kolejne trzy miesiące. Zdarzały się przypadki, w których osadzeni przebywali tam nawet przez rok.

Pomysłodawcą projektu zaaprobowanego przez Piłsudskiego był premier II RP Leon Kozłowski. Obóz mieścił się w budynku dawnych carskich koszar na południowo-zachodnim skraju niewielkiej miejscowości Bereza. Organizacją więzienia zajęli się dyrektor Departamentu Politycznego w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych Wacław Żyborski oraz naczelnik Wydziału Narodowościowego płk Leon Jarosławski. Nadzór nad nim sprawował wojewoda poleski płk Wacław Kostek-Biernacki, a komendantami byli inspektorzy policji: najpierw Bolesław Greffner, a później Józef Kamala-Kurhański. Wbrew oficjalnej narracji, że celem utworzenia obozu jest neutralizacja ekstremistów zagrażających państwu, jego działanie bardzo szybko zostało wykorzystane do zwalczania szeroko pojętej opozycji politycznej.

## NARODOWCY, KOMUNIŚCI, UKRAIŃCY

Obóz zaczął funkcjonować 6 lipca 1934. Wtedy trafiło tam pierwszych pięciu więźniów. Wieczorem przywieziono najpierw dwóch endeków z Krakowa (Antoniego Grębosza i Bolesława Świderskiego), a później trzech komunistów z Nowogródka. Wkrótce w Berezie znaleźli się liderzy zdelegalizowanego ONR, m.in. Henryk Rossman, Bolesław Piasecki i Jan Jodzewicz. Pierwszy z wymienionych zmarł w 1937 r. – zdaniem niektórych stan jego zdrowia pogorszył się właśnie z powodu pobytu w Berezie.

Największą część więźniów Berezy Kartuskiej stanowili jednak komuniści. W ciągu sześciu lat funkcjonowania obozu stanowili oni ponad połowę 3 tys. osadzonych, a w 1936 r. aż 100 proc. uwięzionych. Wśród nich byli członkowie Komunistycznej Partii Polski np. Aron Skrobek, Marek Rakowski, Henryk Bromboszcz, Abram Germański czy komunistyczny poeta Leon Pasternak.

W odpowiedzi na zabójstwo Bronisława Pierackiego w „miejscu odosobnienia" znaleźli się także przedstawiciele ukraińskiego ruchu nacjonalistycznego. Roman Szuchewycz, lider OUN, był przetrzymywany w Berezie Kartuskiej pół roku. Inna ważna postać tej organizacji, Dmytro Hrycaj, spędził tam dwa lata (1934–1936), a następnie trafił do obozu ponownie w 1939 r. Oprócz tego przebywali w Berezie m.in. ideolog ukraińskiego nacjonalizmu Dmytro Doncow czy ataman konspiracyjnej Siczy Poleskiej UPA Taras Boroweć.

Bereza Kartuska była miejscem represji nie tylko wobec rzeczywistych ekstremistów, lecz także dla działaczy legalnej opozycji. Trafiali tam przedstawiciele niemal wszystkich nurtów politycznych, których łączyło jedno – byli przeciwnikami sanacji. Przykładowo na sześć tygodni trafił tam członek Stronnictwa Ludowego Narcyz Wiatr w związku z zorganizowaniem w powiatach gorlickim i nowosądeckim strajku chłopskiego w 1937 r. Przez obóz przewinęli się także działacze Polskiej Partii Socjalistycznej. Najsłynniejszym więźniem Berezy był wybitny publicysta wileński Stanisław Cat-Mackiewicz, osadzony tam w 1939 r. decyzją premiera Felicjana Sławoja Składkowskiego za krytykę polityki Józefa Becka. W obozie spędził 17 dni.

Poza osobami podejrzewanymi o działalność wywrotową oraz przeciwnikami politycznymi sanacji w Berezie osadzano również osoby oskarżone o przestępstwa gospodarcze takie jak spekulacja, a także



eprasa.pl 4ca092825d

tych, których jedynie podejrzewano o tego typu działania. Trafiali tam również zwykli przestępcy, zwłaszcza wielokrotni recydywiści. W ostatnim okresie funkcjonowania obozu umieszczano w nim także osoby podejrzane o dywersję lub szpiegostwo na rzecz hitlerowskich Niemiec.

## SAMA NAZWA BUDZIŁA GROZĘ

To, co się działo na terenie Berezy Kartuskiej, było ściśle tajne i pozbawione kontroli sądowej. Nowo przybyłych osadzano w pustych barakach z betonową podłogą, która każdego dnia była polewana zimną wodą. Zgodnie z przygotowanym przez Kostka-Biernackiego regulaminem dzień zaczynał się od pobudki o godz. 4.00, a po porannej toalecie, śniadaniu i apelu o 6.30 rozpoczynała się praca. Trwała do 11.30, po czym następowała półtoragodzinna przerwa na obiad oraz obowiązki porządkowe, takie jak zmywanie naczyń. O godz. 13.00 zaczynał się kolejny czterogodzinny blok pracy. Po nim następował wieczorny apel, kolacja, a od 19.15 obowiązywała cisza nocna. Więźniowie spędzali czas na ciężkiej pracy fizycznej, takiej jak układanie kostki brukowej, kopanie rowów czy przygotowywanie kompostu bądź na wyczerpujących ćwiczeniach trwających nawet dziewięć godzin. Czasem dzień upływał im na staniu bez ruchu, twarzą do ściany.

Osadzeni nie mieli kontaktu ze światem zewnętrznym. Komunista Jan Wójcik wspominał: „Wstawaliśmy o godz. 3 po północy. Na jednorazowy gwizdek wyskakiwaliśmy z pościeli i stawaliśmy przy swojej na baczność. [...] Przeganiano nas pod pryczami, bijąc niemiłosiernie pałami i butami. Na ubranie się dawano pół minuty czasu, w przeciwnym razie »opóźnionemu« dawało się pały i do raportu karnego". Działacz ONR Mieczysław Prószyński spośród represji stosowanych przez strażników wymieniał tzw. nocne rewizje. „Do cel wpadali policjanci – wszyscy musieliśmy się rozebrać do naga i biec przez korytarz [...] Rozstawieni na ławach policjanci bili przebiegających gumami, a bili dobrze. [...] W 5 minut cela musiała być uporządkowana, inaczej groziły karne ćwiczenia. Ćwiczenia te ludziom starszym wyciskały łzy z oczu" – opisywał.

Po latach Stanisław Cat-Mackiewicz opowiadał o upokarzających praktykach sanitarnych i „fizjologii na komendę". Funkcję toalety pełniły otwory w podłodze. „20 ludzi stawało w pokoju z betonową podłogą i na komendę: raz, dwa, trzy i pół, cztery, każdy musiał rozpiąć się, załatwić się i zapiąć się [...] całość komendy nie mogła trwać więcej niż półtora sekundy. [...] ludzie chodzili z niewypróżnionymi żołądkami, co przy kaczym chodzie było dolegliwe" – wspominał Mackiewicz.

Według różnych szacunków przez 5 lat działalności Berezy Kartuskiej w wyniku panujących tam warunków zmarło 4–20 więźniów.

## „REŻIM FASZYSTOWSKI"

Obóz funkcjonował aż do upadku II Rzeczpospolitej we wrześniu 1939 r. Po agresji Niemiec do Berezy przywożono po kilkaset więźniów dziennie. Zapanował tam chaos. W nocy z 17 na 18 września administracja obozowa, powiadomiona o inwazji Armii Czerwonej na teren Rzeczypospolitej Polskiej, opuściła teren więzienia. Część osadzonych została wypuszczona, inni uciekli sami, niektórych próbowano ewakuować w głąb kraju. Po zajęciu Berezy przez Sowietów teren przejęło NKWD, które wykorzystało je jako miejsce internowania nowych więźniów.

Już w czasie II wojny światowej Bereza Kartuska została nazwana symbolem nadużyć sanacyjnej władzy. W okupowanej Polsce wspominano ją jako miejsce represji politycznych – zarówno wśród komunistów, narodowców, jak i opozycji centrowej. W środowiskach emigracyjnych (zwłaszcza londyńskich) obóz traktowano jako dowód autorytarnych tendencji sanacji i złamania zasad państwa prawa. Gen. Władysław Sikorski wykorzystywał Berezę Kartuską jako pretekst do zemsty na przedstawicielach sanacji, którzy przedostali się na Zachód.

Po wojnie komuniści głosili, że Bereza jest dowodem na to, iż rządy sanacji były „reżimem faszystowskim", a samo miejsce odosobnienia miało być „polskim obozem koncentracyjnym", porównywalnym do niemieckich z czasów II wojny światowej. W okresie PRL akcentowano przede wszystkim prześladowania komunistów, lewicy i działaczy chłopskich, pomijając represje wobec ONR-owców czy ukraińskich nacjonalistów.

## BEZPRAWNA PREWENCJA

Współcześnie ocena Berezy Kartuskiej jest bardziej zróżnicowana. Historycy zgadzają się, że był to obóz o charakterze represyjnym, funkcjonujący bez podstawy prawnej, w którym stosowano przemoc fizyczną i psychologiczną. Obrońcy sanacji wskazują jednak, że powstał w reakcji na realne zagrożenia dla porządku publicznego. Podkreślają szczególny kontekst polityczny lat 30. XX w., kiedy Polska mierzyła się z nasilającą się działalnością radykalnych organizacji, czego dobitnym przykładem był zamach na ministra Pierackiego. Zwolennicy piłsudczyków zwracają ponadto uwagę, że obóz miał charakter prewencyjny i był narzędziem obrony państwa przed rozkładem wewnętrznym w obliczu słabości sądów i niestabilności politycznej. Nie zmienia to jednak faktu, że Bereza pozostawała symbolem upadku demokratycznych standardów w międzywojennej Polsce i sposobem na walkę z opozycją.

Sanacja usprawiedliwiała swoje działania potrzebą walki z ekstremizmem. W rzeczywistości wykraczały one poza te ramy pod wieloma względami. Historycy są w zasadzie zgodni, że powstanie Berezy było wynikiem strachu przed utratą kontroli nad państwem i braku poszanowania dla podstawowych praw obywatelskich. Stworzenie owego miejsca odosobnienia jest oceniane jako przejaw autorytarnych tendencji ówczesnych władz.

Niech historia Berezy Kartuskiej będzie więc przestrogą dla każdej władzy, która próbuje siłą tłumić krytykę. Obecnie rządzący powinni z pokorą spojrzeć na tę kartę historii i pamiętać, że doraźne korzyści polityczne nigdy nie mogą usprawiedliwić łamania praw obywatelskich. Państwo prawa opiera się na niezależnym sądownictwie, wolnych mediach i możliwości pokojowego wyrażania sprzeciwu, a raz utracone wolności trudno będzie odzyskać. Bereza Kartuska pokazuje, jak łatwo demokracja może ustąpić miejsca autorytaryzmowi, jeśli zabraknie pokory rządzących i czujności obywateli.



eprasa.pl 4ca092825d

*Superman na ekranie to historia nie tylko jednego herosa, lecz także aktorów, którzy próbowali udźwignąć ciężar ikony. I jej pelerynę. Teraz założył ją David Corenswet. Czy wyniesie go ona równie wysoko jak Christophera Reeve'a i Henry'ego Cavilla?*

# Bohater wysokich lotów

Fot. Courtesy of Warner Bros. Pictures



eprasa.pl 4ca092825d

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

David Corenswet

Jeden z najstarszych i najbardziej ikonicznych superbohaterów, Superman, najmocniej ewoluował wraz z kinem. Reeve dał mu elegancję, Cavill – siłę, Routh – nostalgię, a Cain – serce. Co przyniesie mu najnowszy odtwórca roli? I czy sprowokuje pytanie, kiedy kinowy heros latał najwyżej?

## NOWY ROZDZIAŁ

W swojej karierze Corenswet założył pelerynę po raz pierwszy. Pokaże się w niej na dużym ekranie 11 lipca.

Aktor ma 32 lata (jest równo dekadę młodszy od Henry'ego Cavilla, po którym przejął rolę). Widzowie mogą go kojarzyć z serialem „Hollywood" czy filmami „Twisters", „Dwa życia" lub „Pearl". Jako dziecko spośród popkulturowych bohaterów najbardziej cenił... Spider-Mana. Teraz wystąpił w filmie zatytułowanym po prostu „Superman".

Christopher Reeve

Fot. Materiały prasowe Prime Video

Reżyser James Gunn podkreśla, że poza wyglądem Corenswet ma też „serce człowieka i duszę przybysza z innej planety". Mówi, że jego film nie będzie genezą ani kolejnym rebootem (nowa wersja znanego tytułu, odcinająca się od poprzednich fabuł i zaczynająca historię od nowa). Ma to być ludzki Superman – taki, którego naprawdę możemy polubić. Czy się uda? Zobaczymy. Łatwo nie będzie, bo Corenswet przejął wspomnianą pelerynę po wielu odtwórcach głośnej roli. Do dziś wspominanych przez wielu fanów tego bohatera.

## PIERWSZY LOT

Zacznijmy jednak od początku i czarno-białych produkcji, od których zaczęła się ekranowa droga Clarka Kenta/Supermana do współczesnego uniwersum DC. Na długo przed Christopherem Reeve'em czy Henrym Cavillem – bo w 1948 r. – pojawił się Kirk Alyn. To on odbył pierwszy lot. W serialach kinowych „Superman" (1948) i „Atom Man vs. Superman" (1950) nie tylko wyglądał, jak wyjęty z komiksu, lecz także... naprawdę „latał". Choć to może zbyt wielkie słowo – w rzeczywistości rysowano jego przeloty klatka po klatce za pomocą rotoskopii. Na ówczesnych widzach zrobiło to jednak odpowiednio mocne wrażenie.

Alyn był tak bardzo utożsamiany z rolą, że nie podano nawet jego nazwiska w napisach początkowych. Oficjalnie: „Superman gra samego siebie". W 1978 r. aktor pojawił się w roli ojca młodej Lois Lane w filmie „Superman".

## DŻENTELMEN Z TAJEMNICĄ

W latach 1951–1958 nastał czas George'a Reevesa, telewizyjnego dżentelmena w czerni i bieli – najpierw z filmu „Superman and the Mole Men", a później z kultowego serialu „The Adventures of Superman". Dla wielu to on jest twarzą „klasycznego" Clarka Kenta: elegancki, ciepły, z kręgosłupem moralnym. Choć jego występ miał więcej teatralności niż dzisiejsze superprodukcje, Reeves uczynił z Supermana postać bliską sercom dzieci i rodziców – bohatera, który mówił, że „prawda i sprawiedliwość" to nie tylko słowa. Niestety jego historia kończy się tragicznie: aktor zmarł w tajemniczych okolicznościach. Oficjalnie – popełnił samobójstwo. Nieoficjalnie – do dziś to temat teorii spiskowych.

## IKONA NA ZAWSZE

Potem nastał czas supersuperbohatera. Prawdopodobnie żaden aktor nie został tak silnie związany z jedną rolą jak Christopher Reeve. W filmie Richarda



eprasa.pl 4ca092825d

Fot. Courtesy of Warner Bros. Pictures

Donnera z 1978 r. połączył wszystko: wygląd, wrażliwość, dowcip i klasyczną, niemalże romantyczną elegancję. To był Superman, który nie musiał krzyczeć – wystarczył jego wzrok. Reeve zagrał w czterech filmach (1978–1987). Jako ekranowy Człowiek ze Stali sprawił, że postać stała się symbolem popkultury. Po tragicznym wypadku w 1995 r., który sparaliżował go od szyi w dół, aktor nie porzucił walki – tym razem już nie z Lexem Luthorem, ale z systemem zdrowia i brakiem nadziei. Jego siła w realu inspirowała jeszcze mocniej niż komiksowo-filmowa peleryna.

W lutym tego roku kilku odtwórców roli Supermana pojawiło się na MEGACON w Orlando na Florydzie (wielkiej imprezie poświęconej komiksom, science fiction, horrorowi, anime i grom), by oddać hołd zmarłemu 10 października 2004 r. Christopherowi Reeve'owi, który do dziś uważany jest za jednego z najbardziej ikonicznych odtwórców Supermana.

## HEROS I SERCE

Kiedy w 2006 r. ogłoszono „Superman Returns", fani wstrzymali oddech. W rolę wcielił się Brandon Routh, nieznany aktor, który fizycznie przypominał... młodego Christophera Reeve'a. I o to właśnie chodziło. Film Bryana Singera był hołdem dla ery Reeve'a – od muzyki po scenografię. Krytycy nie byli jednomyślni, ale jedno jest pewne: Routh pokazał, że Superman może być cichy, delikatny i wciąż niezwykle silny.

Serial „Lois & Clark: nowe przygody Supermana" (1993–1997) był z kolei czymś zupełnie innym niż wcześniejsze ekranizacje. Mniej akcji, więcej romantyzmu. Dean Cain jako Clark Kent towarzyszył Lois w codziennych perypetiach życia zawodowego, zakochiwał się, żartował, a przy okazji czasem ratował świat. To był Superman lat 90., zanim Marvel i DC przejęli Hollywood – ciepły, dostępny, trochę jak sąsiad, który przypadkiem potrafi latać.

Następcę Caina Toma Wellinga można nazwać herosem bez peleryny. „Smallville" (2001–2011) to historia Clarka Kenta, zanim stał się Supermanem. Welling przez 10 lat grał młodego bohatera, który uczy się panować nad mocami, poznaje pierwsze miłości, przeżywa tragedie i powoli dojrzewa do swojej przyszłości. Co ciekawe, przez cały serial... nie zakłada klasycznego kostiumu.

## NOWA ERA

Kiedy Henry Cavill pojawił się jako Superman w „Man of Steel" (2013), od razu było wiadomo – to inny bohater. Fizycznie potężny, z mocną szczęką i melancholijnym spojrzeniem, Cavill wprowadził Supermana w XXI w. Nie był idealny. Miał wątpliwości, bywał brutalny, uczył się być nadzieją. I właśnie to pokochali fani – człowieczeństwo pod peleryną. Pojawił się też w „Batman vs. Superman" oraz „Justice League" (w wersji Zacka Snydera), zyskując kultowy status wśród miłośników kina superbohaterskiego.

A potem przyszedł czas (2016–2025) na herosa „w wersji tata". W serialu „Superman & Lois" Tyler Hoechlin gra nie tylko ratownika świata, lecz także... ojca dwóch synów. To zupełnie nowa odsłona bohatera: wrażliwego, zmęczonego, choć nadal niezłomnego. Serial zyskał uznanie za świeże spojrzenie – tu nie chodzi już o bijatyki, a o dylematy rodzicielskie, relacje i próbę zachowania równowagi między ratowaniem świata a pójściem na zebranie szkolne.

W najnowszym wcieleniu Superman znów jest pełnowymiarowym herosem. Stanowi też „ucieleśnienie prawdy, sprawiedliwości i ludzkiej drogi" w świecie, który uważa te wartości za przestarzałe. Czy uda mu się znów przekonać do nich ludzi?

Henry Cavill

Fot. Warner Bros



eprasa.pl 4ca092825d

# Homer według Nolana

*Jeden z najlepszych filmowców adaptuje jedno z największych dzieł literackich wszech czasów. Na razie mamy plakat i szczątkowe informacje z planów zdjęciowych „Odysei". Czy będzie to opowieść o pokonaniu chaosu i odnalezieniu swego miejsca w porządku świata? Zobaczymy*

MACIEJ WALASZCZYK

Christopherowi Nolanowi udało się odświeżyć opowieść o Batmanie, który w jego wizji okazał się kimś więcej niż postacią z amerykańskiego komiksu. Trzeba mieć nadzieję, że również „Odyseja" nie zostanie sprowadzona do formatu filmowego komiksu dla mas, a twórcy udźwigną brzemię, które przyjęli.

W październiku ub.r. ogłoszono, że po wielkim sukcesie dramatu historycznego pt. „Oppenheimer", kolejny film Nolana będzie adaptacją starożytnego poematu kierowaną wyłącznie do widzów dorosłych. To przecież tylko z pozoru łotrzykowska opowieść przygodowa, bo wydobyta z odmętów starożytności Homerycka epopeja jest pełna mitycznych obrazów i aluzji, zmagań z nadprzyrodzonymi mocami, a do tego ma prawie 3 tys. lat. A ten reżyser wielokrotnie udowodniał, że potrafi kręcić dzieła wciągające, zagadkowe i intrygujące. Homer na pewno zasługuje na takie potraktowanie, choć jak wiemy, film i literatura przemawiają dwoma różnymi językami.

W ubiegłym tygodniu Universal Pictures skierował do wybranych kin zwiastun filmu. Pojawił się też tzw. plakat teaserowy, który, choć nie będzie ostateczną grafiką promocyjną, prezentuje się intrygująco. Na ciemnym, nocnym tle widnieje głowa starożytnego greckiego posągu, wokół niej żarzą się skry, a ponad nią slogan: „Sprzeciw się bogom". Bo choć grecki król Itaki próbuje po wojnie trojańskiej wrócić do domu, aby połączyć się z żoną i synem, wszystko się komplikuje, a on sam podąża na spotkanie z przeznaczeniem. Jak zwrócił uwagę prof. Piotr Nowak, bohater Homera jest osaczony przez bogów i przez nich manipulowany. Zdaje się, że tym tropem pójdą twórcy filmu, a Odyseusz, często przekraczając granice człowieczeństwa, musi stawić czoło potężnym mocom, próbując uniknąć gniewu niemal całego greckiego panteonu.

## SPEKTAKULARNE WIDOWISKO

Premiera została zapowiedziana na lipiec przyszłego roku i na razie nie ma sygnałów, by ten termin był zagrożony. Obraz ma być nie tylko wielkim widowiskiem, lecz także przejść do historii – choćby dlatego, że będzie pierwszym filmem fabularnym w całości nakręconym kamerami IMAX na taśmie 65 mm, a więc dwa razy szerszej niż standardowe 35 mm używane w większości produkcji. Ta różnica pozwala na uchwycenie znacznie większej ilości szczegółów i oddania szerszego pola obrazu – a dokładnie wypełnienia całego pola widzenia odbiorcy. Do tego specjalnie zaprojektowane obiektywy minimalizują zniekształcenia, maksymalizują ostrość i mają zaawansowany system stabilizacji pozwalający na kręcenie scen w trudnych warunkach. Oczywiście to generuje też koszty, dlatego budżet filmu został oszacowany na 250 mln dol.

W roli Odyseusza wystąpi Matt Damon, znany z niezliczonej ilości filmowych hitów, m.in. serii zapoczątkowanej filmem „Tożsamość Bourne'a". Obok niego pojawi się Charlize Theron, która potwierdziła oficjalnie, że wcieli się w postać Kirke. Choć na razie nie nakręciła jeszcze żadnej ze scen, ma wielką wprawę w odgrywaniu ról kobiet fatalnych, posługujących się manipulacją i uwodzeniem („Atomic Blonde", „Królewna Śnieżka i Łowca"), a w końcu zbrodnią („Monster"). Epizod, w którym Odys trafia na wyspę demonicznej czarodziejki i postanawia spędzić rok w jej łóżku, z pewnością stanie się jednym z ważniejszych elementów fabuły. Osaczoną przez zalotników żonę, a więc Penelopę, zagra Anne Hathaway, znana choćby z roli w filmie „Diabeł ubiera się u Prady" czy adaptacji „Nędzników". Tom Holland pojawi się na ekranie jako Telemach – syn Odyseusza. Reszta obsady także imponuje. Wśród gwiazd jest np. Zendaya, która ubrana w długą kremową sukienkę, z włosami upiętymi w kok i warkoczem na plecach, ma zagrać boginię Atenę. Muzykę komponuje Ludwig Göransson, z którym reżyser współpracował przy „Oppenheimerze" i thrillerze „Tenet".

W rozmowie w jednym z podcastów, która przezornie została usunięta z sieci, kaskader James Newman ujawnił, że Damon przygotował się do roli także pod kątem sprawności fizycznej, a producenci pieczołowicie dbają o najodpowiedniejsze plenery, szukając ich w całej Europie. „Myślę, że to będzie epopeja ze wszystkich epopei. To będzie Nolan w najlepszym wydaniu" – wyznał podekscytowany.



eprasa.pl 4ca092825d

Zdjęcia do filmu rozpoczęły się w lutym tego roku w Ajt Bin Haddu w Maroku. Potem ekipa filmowa przeniosła się do Grecji, na półwysep Peloponez, a następnie na leżącą u wybrzeży Sycylii wyspę Favignana, uważaną przez niektórych badaczy za jedno z miejsc opisanych przez Homera. Ostatnio zdjęcia realizowane były np. w ruinach położonego na malowniczym klifie zamku Findlater w pobliżu szkockiego Aberdeenshire. Ekipę Nolana widziano również w tamtejszym porcie Burghead oraz w Irlandii.

## UTALENTOWANY WIZJONER

Choć niewielu o tym wie, filmowiec jest daltonistą. Mimo to uważa się go za wizjonera kina, a na pewno niezwykle zdolnego twórcę. Spod jego ręki wyszło m.in. „Memento" (2000), będące intrygującym thrillerem psychologicznym badającym granice ludzkiej pamięci i tożsamości. I kryjące w sobie znacznie więcej zagadek i aluzji niż np. powstały w tym samym czasie „Matrix". Swój talent potwierdzał także w nakręconym zaraz potem dramacie psychologicznym „Bezsenność" (2002), a także tworząc wielopiętrową narrację w „Incepcji" (2010). Jego sztuka obejmuje również epickie kino wojenne, a więc obraz przedstawiający ewakuację brytyjskich żołnierzy spod Dunkierki w 1940 r. („Dunkierka", 2017), w której dał pokaz sprawnej umiejętność manipulacji czasem, nadając obrazowi tempo i napięcie potęgujące dramat trwającej już katastrofy II wojny światowej. W końcu Nolan to również twórca wspomnianej na początku zaskakującej reanimacji tematu Batmana („Batman Początek", 2005), który osiągnął ostatecznie rozmiar w bardzo ciekawej trylogii. Jego Batman to niekoniecznie opowieść z komiksu – jest mroczny, psychologicznie prawdopodobny i widowiskowy.

Reżysera niemal od początku wspiera w pracy jego żona Emma Thomas. Dziś nie ma wątpliwości, że to ich wspólna praca pozwoliła talentowi Nolana rozwinąć się i dojrzeć do tworzenia filmów pełnych potężnych efektów wizualnych, które – co najważniejsze – nie przesłaniają dramatu człowieka leżącego u podstaw opowiadanych historii. To wszystko zdaje się więc gwarantować, że jako mistrz ciekawych konwencji narracyjnych i nielinearnego opowiadania również w „Odysei" będzie potrafił w odpowiedni sposób użyć ram tego starożytnego poematu do stworzenia dobrego kina. A więc nawiązać do „Iliady" i w końcu objąć w kadrze historię opowiedzianą w 24 pieśniach zawartych w ponad 12 tys. wersów pisanych genialnym heksametrem. Jest więc szansa, że film nie będzie kolejnym kinowym komiksem w rodzaju „Gwiezdnych wojen", które współczesnej, szczególnie amerykańskiej publiczności, oferowały jedynie namiastkę mitycznych archetypów.

Antonii Libera, dzięki któremu powstał nowy przekład eposu, nie ma nic przeciwko ekranizacji dzieła. – Przy obecnym upadku czytelnictwa i w ogóle tzw. kultury ogólnej wszelka próba upowszechnienia klasyki ma jakiś sens – komentuje.

## BIBLIA EUROPEJCZYKÓW

„Odyseja" to nie tylko sięganie do klasyki, lecz także kulturowych fundamentów europejskiej cywilizacji, w której doświadczamy istnienia niepowtarzalnych i odrębnych bohaterów. Filozof Dominique Venner zwrócił kiedyś uwagę, że Homer jako pierwszy oddał cześć zakorzenionej indywidualności, a nie indywidualizmowi, który jest jej wypaczeniem. Homer mówi więc prawdę o człowieku, nieuchronnych konfliktach, meandrach miłości, zagubionej i z trudem odnalezionej ojczyźnie. Filozofowie polityki często wskazują na to, z czym mają do czynienia ludzie dzisiejszego Zachodu: problem nadmiaru i nieograniczoności oraz konieczności wyznaczenia granic, co tak mocno uwiera nas w czasach globalizacji. Bezbronność Odyseusza wobec losu wskazuje czasami na bezradność człowieka, szczególnie gdy jest potęgowana kolejnymi niepowodzeniami. Choć tego nie chce, prowokuje katastrofy i gniew bogów, a wtedy jest zmuszony zmagać się z nimi i mężnie znosić trudności. Posejdon wrzuca go w świat chaosu i potworów, między Charybdę i Scyllę, oraz zaborczych lub perwersyjnych nimf, takich jak Kalipso, Kirke i syreny, nie wspominając o wizycie w królestwie umarłych. Ten jednak niestrudzenie walczy o odzyskanie swojego miejsca w porządku świata, kroczy ścieżką swojego przeznaczenia i jest postacią nietuzinkową. W końcu „Odyseja" to nie tylko poemat o powrocie, lecz także o sprawiedliwej zemście. Odys – jak pisał Venner – odzyskawszy ojczyznę, „odzyska też swój przyczółek w łańcuchu pokoleń, niczym fragment wieczności". Według Platona Homer był wychowawcą Grecji. My również go potrzebujemy i oby bogowie wspierali Nolana w jego słusznych zamierzeniach.



eprasa.pl 4ca092825d

HITY i KITY ZAREMBY

# Straszny świat Ödöna von Horvátha

*Za najlepszy spektakl telewizyjny sezonu uznano „Wiarę, nadzieję i miłość" Ödöna von Horvátha w reżyserii Agnieszki Glińskiej. Dla ścisłości: za jeden z dwóch najlepszych – obok „Pięknej Zośki" Marcina Wierzchowskiego. Tamto jest przeniesieniem z Teatru Wybrzeże, Glińska posłużyła się oryginalną telewizyjną formą*

Z powodów zdrowotnych nie pojechałem na festiwal Dwa Teatry do Sopotu. Typowałem do wygranej inne przedstawienia, a jeszcze innym kibicowałem. Produkcję Glińskiej trochę zlekceważyłem.

W obecnym Teatrze Telewizji mamy do czynienia z może nie stuprocentową, ale wyraźną ofensywą wojującego progresizmu. To skromne, ledwie godzinne widowisko też jakoś mieści się w tej formule. Austriak von Horwath zawsze był reklamowany jako krytyk mieszczańskiego społeczeństwa, patriarchatu i rodzącego się faszyzmu.

„Wiarę, nadzieję i miłość" napisał w 1932 r. To garść obrazków z Austrii, przedstawianej jako klaustrofobiczna przestrzeń pełna hierarchiczności, drapieżnych różnic klasowych i przemocy wobec kobiet oraz biedniejszych. W instytucie anatomii rządzi autokratyczny Nadpreparator, a komisarz policji wdziera się do mieszkania, w którym młody funkcjonariusz ukrywa swoją ukochaną. To świat, w którym rządzi nadgorliwie egzekwowane bezduszne prawo. I w którym istnieje wielka różnica w prestiżu między byciem córką inspektora służby celnej a inspektora ubezpieczeniowego.

Brzmi to banalnie. Jeśli banałem całkiem nie jest, to dzięki szczególnemu językowi tej opowieści, wzmacnianemu talentem Glińskiej. Kreuje ona świat groteskowy, zaludniony dziwnymi ludźmi filmowanymi w dziwnych wnętrzach i plenerach. Podpatrywane sytuacje życiowe stają się niemal antycznymi upiornościami. Nawet fakt, że niektórzy aktorzy grają po dwie postacie (Krzysztof Stroiński jako wrzaskliwy Nadpreparator i lękliwy Księgowy), skrywa nieokreśloną, sugestywną tajemnicę.

Kiedy na to patrzyłem, przypomniała mi się rozmowa z pewną aktorką o „Opowieściach lasku wiedeńskiego", najsławniejszej sztuce von Horvátha, granej w Teatrze Narodowym. Glińska wystawiała ją niegdyś w Ateneum, tekst wciąż jest zachwalany jako opowieść o obecnych zjawiskach społecznych. „To nie jest aktualne, ani obecna Austria, ani Polska tak nie wyglądają" – powiedziałem. „Prawda, ale aktualny jest zły stosunek człowieka do człowieka" – odpowiedziała artystka.

Maria Kania grająca Elżbietę to zrazu ani mądra, ani specjalnie sympatyczna dziewczyna, za to idealna ofiara społeczeństwa. Aktorka dostała w Sopocie nagrodę za debiut. Obok niej dostajemy galerię postaci przerysowanych, niemal budzących grozę swoją karykaturalnością. Poza znakomitym Stroińskim to m.in. Roman Garncarczyk jako zakompleksiony Preparator, Dorota Pomykała jako despotyczna właścicielka krawieckiego salonu czy Barbara Wypych jako przerażona mieszczka Radczyni.

Może najbardziej uderzająca była postać policjanta Alfreda. Zagrał go Michał Pawlik. To dla mnie odwrotność jego ciepłej kreacji funkcjonariusza Dzidzi z serialu „Rojst". Tu początkowo zdaje się przełamywać klątwę służbistości wymuszanej przez mundur, by jednak w finale zawieść na całej linii. Ta jego moralna klęska jest zagrana przejmująco, choć prawie w milczeniu.

A zarazem... Nieprzypadkowo „Piękna Zośka" też jest o dawnej opresji kobiet. Mam poczucie, że teatr wciąż wyważa drzwi co najmniej uchylone, a w stałej wojnie z „mieszczaństwem" czy „patriarchatem" nie zauważa bardziej współczesnych zagrożeń, związanych z tym, co podobno „nowoczesne".

**Piotr Zaremba**

## KOLORY I ZAPACHY JAKUBOWSKIEGO

*Jarosław Jakubowski to dla mnie przede wszystkim utalentowany dramatopisarz. Tak się jednak złożyło, że jako lekturę zabrałem do szpitala jego zbiór opowiadań: „Miejsca obsługi podróżnych”*

Jego sztuka „Znaki”, słabo zauważona przez krytykę, choć wystawiona w Teatrze Telewizji w 2018 r., to jedna z błyskotliwszych przestróg przed inżynierią społeczną współczesnego świata. Choć Jakubowski jest rozpoznawany jako konserwatysta, ten przewrotny tekst reżyserował liberał Artur Tyszkiewicz.

Mój podziw zawsze budziła determinacja, z jaką ten autor mnożył kolejne teksty. Jest tego mnóstwo. Oczywiście wiem, że pisze też prozę. Recenzowałem kiedyś na tych łamach jego dziejący się w międzywojniu sprawny kryminał „Rzeka zbrodni”, osadzony w realiach Bydgoszczy – mieszka obok tego miasta.

A co z tym zbiorkiem? Chylę czoło przed zdolnościami językowymi Jakubowskiego, pozwalającymi mu kreować obrazy, które widzimy, słyszymy, a nawet czujemy. Czasem są to okruchy: punktem wyjścia może być zagrożony zagładą, krwawiący żywicą las, idąca ulicą dziewczyna albo ciąg tajemniczych obrazków z sycylijskiego kurortu, których sensu nie ogarniemy do końca. Często celem wydaje mi się tylko pobudzenie skojarzeń, może nawet zagranie nam na nosie. A czasem coś więcej, jak w tytułowym opowiadaniu. Dostajemy w nim sugestywny portret mężczyzny w kryzysie, ale gdzieś w tle także świata w kryzysie, w którym ktoś niszczy dla przyjemności rzeźbę Chrystusa.

Czytałem te opowiadania, przeżywając amplitudę emocji. W paru przypadkach błyskotliwe zawiązanie pretekstowej akcji wciągało, ale finał rozczarowywał. Czasem, jak w najdłuższym opowiadaniu „Hiszpańska piękność”, podziwiałem soczystość opisów i dziwność losów głównej postaci, ale kończyło się wrażeniem erudycyjnej nadelokwencji, jak w dawnych literackich „opisach przyrody”, choć to skądinąd piękna elokwencja.

W każdym razie polecam: czytajcie Jakubowskiego. To ktoś, kto zabierze was do własnego świata, a nawet światów. Warto tam wpaść. To jest naprawdę o czymś, to jest naprawdę GDZIEŚ.

DO KUPIENIA NA STRONIE WSKLEPIKU.PL

# Polscy agenci Gestapo? Pytanie o skalę zjawiska

*Podobno historią bardziej pasjonują się konserwatyści. Jeśli tak, to Michał Wójcik, dawny dziennikarz Zetki i „Przekroju”, jest tego schematu zaprzeczeniem. „Miasto szpiegów” (mowa o Warszawie) to jego 14. książka historyczna*

Dotyczą historii najnowszej, podawanej w konwencji sensacyjnych relacji. Atrakcyjny, chwilami niemal powieściowy język to specjalność brytyjskich czy amerykańskich historyków. Nie ma w tym zarzutu.

DO KUPIENIA NA STRONIE WSKLEPIKU.PL

Są za to wątpliwości. Ta książka ma podtytuł „Gra wywiadów w okupowanej Warszawie”. Na okładce wyeksponowano pytanie: „Czy akcja pod Arsenałem to była niemiecka ustawka?”. Oto podczas ataku na niemiecki konwój z więźniami uwolniono, poza Jankiem Bytnarem, czyli „Rudym”, m.in. człowieka, który był współpracownikiem Gestapo. Czyżby w ten chciano go sposób uwiarygodnić w oczach polskiego podziemia?

Autor przypomina, że Niemcy mieli agenta w Szarych Szeregach. Odkrywanie tych domniemanych wtyczek budziło potem zasadnicze kontrowersje. Jak by to miało wyglądać? Samo aresztowanie „Rudego” miałoby być początkiem tej ustawki? Nic w dobrze znanych zdarzeniach na to nie wskazuje. Dowodu brak.

Pojawia się pytanie o resztę tej wielowątkowej opowieści. Wójcik próbuje wskazywać różne postacie i grupy jako niemiecką agenturę. Łączy odległe od siebie wątki, odwołując się do schematu, jaki narysował w ubeckim więzieniu Kazimierz Leski, oficer kontrwywiadu AK. Kłopot w tym, że pod presją ubeckich oprawców można było fantazjować. Dotyczy to również innych bohaterów książki. Przypomina nam się, że sypali w okrutnych śledztwach, i używa ich zeznań do całych układanek.

Niektóre z tych historii są nieźle udokumentowane. Autor podważa naszą wizję polskiego bezgrzesznego społeczeństwa, niemal monolitycznego w oporze. Bez wątpienia aktywność jednej tylko grupy z knajpy Piekiełko na Starym Mieście budzi grozę. Najpierw szmalcownicy wymuszający okupy na Żydach, potem szpiedzy wysyłani w zagraniczne misje przez demonicznego SS-Hauptsturmführera Spilkera, zwolennika korzystania z polskich zasobów. Skądinąd brak tu politycznej poprawności. Pośród współpracowników Gestapo dostrzegamy ludzi żydowskiej narodowości.

Dobrze jest poznawać to, co nierozpoznane, także klimat: łatwości zabijania czy pokus rodzących się z wojennej demoralizacji. Jednak pozwalam sobie na dystans. Jak już tak mocno stawia się temat polskiej kolaboracji, warto choć próbować oszacować skalę tego zjawiska.

3 MIŁOŚCI

# Wszystko czynię nowe

ROBERT TEKIELI

Kiedy nadchodzi zły czas, przypominam sobie dwa spotkania. Oba odbyły się w studiu warszawskiego Radia Józef. Młody, 21-letni chłopak i zakonnica tuż przed sześćdziesiątką. Daniel Gajewski i s. Ada Tobjaszewska.

Daniela nie powinno być wśród żywych. Poznałem go pod koniec lat 90. Zszokował mnie, gdy zrozumiałem, że po przeżyciu cudu ten 21-letni mężczyzna jest mądrzejszy i dojrzalszy ode mnie, faceta starszego o 20 lat. Zaakceptował bowiem swoje doświadczenie. Stał się świadkiem bolesnego cudu, który kosztował go spalenie do kości dwóch palców prawej dłoni.

Co się dzieje, gdy ręka styka się z plazmą o temperaturze 4 tys. stopni? Lekarze, fizycy, elektrycy z wieloletnim doświadczeniem mówią: nie można przeżyć, gdy ręka człowieka staje się jedną z elektrod łuku elektrycznego. A Daniel przeżył. I jeszcze opowiadał, że od źródła prądu odciągnęła go siostra zakonna. Tyle że potem się rozpłynęła...

Mama Daniela Gajewskiego była w szóstym miesiącu ciąży, gdy zachorowała na zapalenie opon mózgowych. Lekarze uświadomili jej, że to wyrok na dziecko. Wtedy zawarła układ: „Jezu, jeśli uratujesz moje dziecko, to ja naprawię swoje życie". Kobieta żyła wtedy w związku cywilnym bez małżeństwa sakramentalnego i nie praktykowała wiary. Po wyjściu ze szpitala zawierzyła Daniela m. Urszuli Ledóchowskiej. Akurat odbyła się jej beatyfikacja. Życie rodziny powoli zmieniało się na lepsze. Po latach państwo Gajewscy przypadkowo poznali siostry urszulanki. Ponieważ oboje pracowali bardzo intensywnie, czternastoletni wówczas Daniel pomieszkiwał w domu sióstr w Ożarowie Mazowieckim.

2 sierpnia 1996 r. Daniel kosił trawę w ogrodzie. Było mokro, chciał odłączyć przedłużacz i poraził go prąd. Walczył. Chciał żyć. Krzyczał, ale nikogo nie było w pobliżu. Gdy zaczął tracić świadomość, zawołał do Boga o ratunek. Nagle zobaczył, jak z kaplicy wybiega wysoka siostra w szarym habicie. Daniel nie widział jej twarzy. Siostra zapytała (tak wspomina Daniel): „Co się dzieje, jak ci pomóc?". Chłopak odpowiedział: „Poraził mnie prąd, niech siostra mnie odciągnie". Kobieta chwyciła go, ale została jakby odepchnięta i powalona na ziemię, od razu wstała i tym razem po skutecznym odciągnięciu go od kabla zniknęła, ale będący w szoku Daniel nie zwrócił na to uwagi. „Czułem, że tracę siły, prąd bardzo mocno mnie wyczerpał. Nie mogłem otworzyć prawej dłoni zaciśniętej na źle zakończonym przedłużaczu. Nie mogłem rozprostować palców. Przestałem walczyć, upadłem na plecy. Całe moje ciało było naprężone jak struna. Byłem zupełnie sam, zły, że umieram. I nagle poczułem, że czas stanął w miejscu i znalazłem się jakby w poczekalni, w której nagle wszystkie moje troski i bóle minęły".

*Cud z Danielem został uznany przez trybunał i był podstawą do kanonizacji m. Urszuli Ledóchowskiej*

S. Maria Płonka wspominała: „Zobaczyłam Daniela w okropnym stanie – długie rude włosy stały mu dęba, miał przekrwione oczy, poranione ciało i spalone do kości dwa palce prawej ręki. Poza tym, gdy zbliżał ręce do klęczników, to one odsuwały się, mimo że ich nie dotykał. Kaplica była w wielkim nieładzie. Zapytałam przerażona, co się stało, a on odpowiedział – »Prąd«".

W szpitalu nie stwierdzono żadnych wewnętrznych uszkodzeń organów, które wywołuje porażenie prądem o napięciu 220 V. Lekarze byli zszokowani. Jedynie ręka była zmasakrowana. Dopiero po jakimś czasie do Daniela dotarło: „To m. Urszula mnie uratowała!".

Po trzyletnim przewodzie sądowym, w trakcie którego prowadzono konsultacje, eksperymenty, badania i wysłuchania elektryków, lekarzy i naukowców stwierdzono, że Daniel został uratowany przez siły nadprzyrodzone. Mięśnie

Fot. NAC



eprasa.pl 4ca092825d

kurczące palce ludzkiej dłoni są silniejsze od tych, które je rozprostowują, prąd poraża nerwy w taki sposób, że osoba porażona nie jest w stanie rozprostować palców, puścić źródła prądu.

O historii Daniela opowiadał mi w radiu również prałat Zygfryd Landowski, sędzia warszawskiego sądu kanonicznego, który prowadził tę sprawę. Badano różne hipotezy. Jedyną, która wyjaśniała wszystkie fakty, była cudowna interwencja. Cud z Danielem został uznany przez trybunał i był podstawą do kanonizacji m. Urszuli Ledóchowskiej.

Również w studiu przy Łazienkowskiej miałem możliwość rozmawiać z s. Adą Tobjaszewską, która doświadczyła chyba jeszcze bardziej spektakularnego cudu. Dwa dni przed planowaną amputacją ręki w szpitalu w Łodzi doświadczyła cudownego uzdrowienia na oczach kilkudziesięciu osób.

Po dwóch latach pobytu na misjach w Lusace w Zambii, 12 lipca 1972 r. jadącą motocyklem siostrę potrącił samochód. Przytomność odzyskała po dwóch godzinach w stołecznym University Teaching Hospital. Doznała złamania urazowego kości przedramienia, zgniecenia czaszki i przegrody nosowej. Półtora miesiąca leżała na wyciągu, ból narastał, ręka puchła. Po nieskutecznej operacji s. Ada nie mogła nią poruszać. Stwierdzono całkowite porażenie nerwu pośrodkowego, promieniowego i łokciowego. „Pacjentka nie odczuwa drażnienia prądem". Profesorowie z zambijskiego Szpitala Uniwersyteckiego stwierdzili: „Nic już siostrze nie pomoże".

Po powrocie do kraju w październiku 1972 r. rozpoczęła się jej wędrówka przez sześć czy siedem klinik i szpitali. W końcu znaleziono przyczynę: uszkodzenie nerwów na tle niedokrwienia po operacji oraz stan po złamaniu kręgosłupa szyjnego. Całkowity niedowład ręki ze zmianami troficznymi. Kończyna po prostu wisi, obrasta włosami jak szczecina, paznokcie nabierają kształtu pazurów. Kolejni profesorowie w Warszawie, Gdańsku i Łodzi zalecają amputację.

Wszystkie Siostry Misjonarki Świętej Rodziny zaczynają się modlić o cud, a dla samej s. Ady nadszedł czas próby wiary.

Jest czwartek, 18 listopada 1972 r., dwa dni do zakończenia nowenny o uzdrowienie. Siostra Ada opowiadała mi o wydarzeniach tego dnia w studiu przy Łazienkowskiej w Warszawie już właściwie bez emocji: – Byłam w naszym domu w Białymstoku. Gdy weszłam do jadalni, było tam zgromadzonych kilkadziesiąt sióstr. Byłam smutna i milcząca. Wiedziałam, że wszystkie siostry modlą się o moje uzdrowienie. I nic.

Naoczny świadek cudu, s. Łucja Kobielska, która siedziała blisko s. Ady Tobjaszewskiej, po latach wspominała: „S. Ada wpatrywała się w obraz naszej założycielki Mateczki Bolesławy wiszący w jadalni i jakby bezgłośnie rozmawiała z nią, pokazując jej swój ból. Nagle zauważyłam, że s. Ada poruszyła palcami. Wyskoczyła z jadalni. Siostry wyszły za nią na korytarz. Wtedy s. Ada powiedziała: »Ja ruszam palcami«. Matka i inne siostry zachęcały ją: »Ada, podnieś rękę!«. Bezwładna ręka podniosła się. Zrobił się hałas. Siostry zaczęły krzyczeć, płakać. I rozemocjonowane pytały: »Czy siostrę boli? Czy zniknęły włosy? Czy są normalne paznokcie?«".

*Cud uzdrowienia s. Ady stał się przesłanką beatyfikacji m. Bolesławy Lament przez Jana Pawła II 5 czerwca 1991 r. w Białymstoku*

Fot. Zkoty/Wikipedia

Najbardziej spokojna wydawała się s. Ada, zaskoczona tym, co widziała. Mogła poruszać ręką, zniknęła szczecina na grzbiecie dłoni, zniknęły pazury. Paznokcie były normalne. Nagle coś w niej pękło. „Śmiała się i płakała na przemian" – wspomina s. Łucja. „A w domu niesamowita radość. Z tą euforią siostry pojechały do kościoła farnego..." – dodaje.

Znamienne były reakcje lekarzy. Usprawiedliwione o tyle, że skutki neurologiczne uszkodzeń urazowych, w stanie ciężkim doznanych trzy i pół miesiąca przed uzdrowieniem są na tyle ciężkie, że nie można ich wyleczyć naturalnie.

Prof. Łebkowski z Białegostoku, do którego s. Ada trafiła na ponowną konsultację już po cudzie, poinformowany telefonicznie o tym, co się wydarzyło, surowo zapytał: „Czy to można kłamać?". Gdy nakazał siostrze poruszyć ręką, zesztywniał i usiadł. Docent Chmielewski po pełnym badaniu powiedział, że pewnie siostra poszła podziękować Bogu, a lekarz medycyny Kuprianowicz napisał, że to uzdrowienie: „Uważam jako długo praktykujący lekarz medycyny, że ten przypadek jest bardzo typowy, aby uznać go za uzdrowienie cudowne, nie jest możliwe do wyjaśnienia prawami bio-fizyko-chemicznymi. Wymaga tylko metodycznego opracowania, by być obiektywnym dowodem uzyskanych łask za pośrednictwem Bolesławy Lament". Cud uzdrowienia s. Ady stał się przesłanką beatyfikacji m. Bolesławy Lament przez Jana Pawła II 5 czerwca 1991 r. w Białymstoku.

Po opowiedzeniu mi tej historii s. Ada podwinęła oba rękawy habitu i wszyscy, którzy zdołali wcisnąć się do studia, zobaczyli, że jej jedna ręka ma tyle lat, ile reszta ciała zakonnicy, a druga jest kilkakrotnie młodsza. Patrzyłem na ręce s. Ady, ba, w swej bezczelności zapytałem ją, czy mogę dotknąć tej uzdrowionej. Miała skórę, jaką mogą mieć tylko niemowlaki. Bóg powiedział: „Wszystko dziś czynię nowe". Patrzę na Polskę i modlę się bezgłośnie.



eprasa.pl 4ca092825d

# Zamrożenie rachunków i tak nam nie pomoże

*Zamrożenie cen prądu do końca roku, czyli o trzy miesiące dłużej, niż planowano w obowiązujących przepisach, powinno być jednym z najprostszych do przeprowadzenia procesów legislacyjnych. Ale politycy koalicji rządzącej nie mogli przecież przepuścić okazji, by nie próbować „upiec" przy tym prezydenta RP i przepchnąć przez parlamentarną ścieżkę kontrowersyjnej ustawy*

AGNIESZKA ŁAKOMA

Może się jednak okazać, że połączenie w jednej ustawie mrożenia cen prądu z kontrowersyjnymi przepisami o odległości wiatraków od zabudowań będzie strzałem w stopę Tuska, bo opozycja przygotowała lepszy od rządowego pomysł ochrony gospodarstw domowych przed podwyżkami. I mówi krótko: „Sprawdzam". Eksperci zaś ostrzegają, że dalsze brnięcie w odnawialne źródła energii nie uchroni nas przed podwyżkami. I to nie tylko prądu.

W Sejmie szykuje się batalia o przedłużenie systemu ochrony gospodarstw domowych przed podwyżkami rachunków za prąd. Miało być pięknie, a wyszło jak zwykle, gdyż niezwykle ważna dla społeczeństwa sprawa – na pozór bardzo łatwa do przeprowadzenia – nagle stała się problemem politycznym.

Chodzi o to, by pomimo formalnie obowiązujących (zgodnie z decyzją prezesa Urzędu Regulacji Energetyki) cenników, w których megawatogodzina jest wyceniana na maksymalnym poziomie ponad 600 zł za MWh, obniżyć cenę prądu dla odbiorców do 500 zł za MWh. W zamian za to sprzedawcy energii dostają rekompensaty z budżetu. Taki mechanizm obowiązuje od kryzysu energetycznego wywołanego napaścią Rosji na Ukrainę, a w zeszłym roku rząd Donalda Tuska też postanowił go zastosować. Teraz chodzi o wydłużenie okresu obowiązywania limitu cen i obniżek w IV kwartale tego roku, czyli do końca 2025 r.

## KUKUŁCZE JAJO

Obecny rząd wprawdzie zrozumiał, że każda podwyżka ceny prądu może powodować dalszy spadek jego poparcia, ale dorzucił zapis o przedłużeniu osłon do tzw. ustawy wiatrakowej. Stąd cały kłopot. Ustawa – co oczywiste – odnosząca się do inwestycji w farmy wiatrowe nie tylko ma się nijak do mrożenia cen prądu, lecz na dodatek wywołuje wiele emocji i kontrowersji. A jedną z kluczowych kwestii jest przepis „przybliżający" wiatraki do zabudowań. Zgodnie z nową ustawą inwestorzy będą mogli budować kolosy wyższe niż warszawski Pałac Kultury i Nauki (czyli blisko 300 m) i stawiać je zaledwie 500 m od budynków (także mieszkalnych). Od dawna wiadomo, że ustępujący prezydent Andrzej Duda nie jest zwolennikiem tego rozwiązania, więc

Fot. Andrzej Skwarczyński



eprasa.pl 4ca092825d

całkiem możliwe, że nie podpisałby takiej ustawy, gdyby trafiła na jego biurko przed 5 sierpnia. Podobnie prezydent elekt Karol Nawrocki, który w czasie kampanii ostro krytykował wybujałe plany Unii i rządu w zakresie źródeł odnawialnych.

Minister klimatu i środowiska Paulina Hennig-Kloska tłumaczyła, że przepisy o dalszej ochronie odbiorców są „pilnie potrzebne", a „nie ma obecnie innej energetycznej ustawy w Sejmie", do której można je dodać. Ale były minister energii i poseł PiS Krzysztof Tchórzewski wyjaśnia, że pomysł poprawki pojawił się późnym wieczorem na sejmowej Komisji ds. Energii „ni stąd, ni zowąd" i nikt z członków rządu wcześniej nie informował o tym posłów.

– To klasyczna wrzutka prawna, która też wygląda na szantaż wobec prezydenta, co samo w sobie jest skandalicznym działaniem rządu – mówi Anna Łukaszewska-Trzeciakowska, była szefowa resortu klimatu. – Przecież gdyby faktycznie ministerstwu i rządowi zależało na wydłużeniu okresu ochrony przed podwyżkami do końca roku, to miał na przygotowanie solidnego projektu ustawy co najmniej kilka miesięcy.

A teraz to opozycja wykonuje pracę za rząd i ma własny projekt ustawy. Na dodatek korzystniejszy od tego dopisanego od tzw. ustawy wiatrakowej.

– Proponujemy utrzymanie cen na poziomie 412 zł za MWh dla gospodarstw domowych, czyli takim, jak w programach osłonowych w czasie rządów Zjednoczonej Prawicy – mówi poseł PiS Janusz Kowalski. – Ponadto uważamy, że jednostki samorządu terytorialnego oraz małe i średnie firmy także muszą mieć wsparcie i dla nich cena nie powinna być wyższa niż 500 zł za 1 MWh. Dlatego mówimy: „Sprawdzam". Zobaczymy, co na to powie koalicja rządząca – czy nasz projekt ustawy będzie procedowany, a powinien, i czy faktycznie będą chcieli pomóc Polakom, czy tylko blefowali, wymyślając wrzutkę do ustawy wiatrakowej.

## KLIMAT I CENY

Najbliższe dni pokażą nie tylko, czy ceny pozostaną zamrożone do końca roku, lecz także na jakim poziomie. Jednak cała związana z tym dyskusja nie zmienia ogólnej sytuacji, w jakiej jest Polska i inne kraje członkowskie UE w związku z wcielaną w życie strategią „ratowania płonącej planety". Polityka klimatyczna, która ma uczynić z Europy kontynent zeroemisyjny w połowie wieku, rodzi wiele problemów, a oczekiwanego spadku cen nie widać.

Dyskusje w Sejmie o ochronie przed wzrostem cen prądu to tylko mały, choć istotny element szerszych i niemal egzystencjalnych – zarówno dla gospodarki, jak i dla społeczeństwa – kwestii, takich jak kierunek rozwoju polskiej energetyki oraz tego, jak koszty i skutki zielonej transformacji wpłyną na nasze życie.

Ekspert branży prof. Władysław Mielczarski przypomina, że „poprzez mrożenie cen próbujemy łagodzić to, co dzieje się z naszym systemem energetycznym, czyli właściwie to, co powoduje zielona transformacja w praktyce". I uważa, że strategia Zielonego Ładu prowadzi do tego, iż „energia ma być coraz bardziej kosztowna i może zacząć jej brakować".

– Podwyżki cen, które obserwujemy i na które musimy być przygotowani w kolejnych latach wraz z rozwojem odnawialnych źródeł, nie wynikają więc z chwilowego zdarzenia, ale z systemowego działania – dodaje ekspert.

Poseł Tchórzewski uważa, że źródła odnawialne stają się coraz poważniejszym problem, poza tym już i tak zrobiliśmy bardzo wiele: budujemy farmy na Bałtyku i jesteśmy blisko spełnienia unijnych wymagań. – Więc może pora się zatrzymać, by nasz system energetyczny to wytrzymał – podkreśla.

## NIE BĘDZIE TANIO

Mogło by się wydawać, że skoro wiatr i słońce mamy za darmo, to i energia z tych źródeł powinna być tania. Wystarczy więc ustawić panele, wybudować wiatraki i rachunki będą niższe. Rzeczywistość jest jednak bardziej skomplikowana.

Anna Łukaszewska-Trzeciakowska wskazuje, że w żadnym kraju, w którym notowany jest duży udział odnawialnych źródeł w miksie energetycznym, ceny energii dla odbiorców wcale nie są niższe. – A wręcz przeciwnie, zaś różnica między ceną produkcji i sprzedaży jest szokująca. I dodaje, że energia z OZE staje się droższa niż konwencjonalna. – Zawsze będziemy dopłacać do niestabilnych źródeł – przypomina.

O ile same wydatki na inwestycje w OZE są widoczne i słyszymy choćby o tym, ile kosztuje budowa wielkich farm słonecznych czy wiatraków na polskim Bałtyku, o tyle mniej mówi się o ukrytych kosztach związanych z tymi projektami. A w skali kraju są one ogromne. Prof. Mielczarski wskazuje na wszechobecne subsydia. – Jeśli uruchomimy nowe OZE, subsydia się zwiększą, bo inwestorzy mają gwarancję ceny i rekompensat finansowych, gdy farmy nie pracują. Na subsydia do magazynów energii mamy wydać 4 mld zł, na przyłączenie farm do sieci kolejne miliardy i za to wszystko zapłaci odbiorca – mówi. Wskazuje też, że „wychodzi na to, iż z góry planujemy i podejmujemy działania, które bez wątpienia będą skutkować wyższą ceną energii". – A jednocześnie musimy utrzymywać elektrownie węglowe, by stabilizowały pracę systemu, gdy nie wieje wiatr i nie świeci słońce – dodaje ekspert.

Poseł Kowalski przytacza przykład Niemiec, gdzie system bazujący na wiatrakach i gazie ziemnym „niemal zbankrutował". I przypomina, że w grudniu ub.r., gdy wiatr osłabł na dłużej niż zwykle, Niemcy mieli problem z zabezpieczeniem dostaw energii, więc sprowadzali ją od sąsiadów, a cena za megawatogodzinę osiągnęła niemal 1000 euro.

– A jeśli dodamy do tego blackout w Hiszpanii i Portugalii z końca kwietnia tego roku, gdy przez wiele godzin miliony ludzi zostały pozbawione prądu, bo system energetyczny miał się opierać na fotowoltaice, to mamy oczywiste dowody na to, że przejście na odnawialne źródła nie tylko nie sprawdza się, lecz także jest procesem kosztownym i bardzo groźnym – dodaje.

Tymczasem ustawa wiatrakowa z przepisami o mrożeniu cen prądu przeszła przez Sejm i trafiła do Senatu.

### Megawatogodzina na wagę złota

- Cena 1 MWh dziś/ z zamrożeniem – 500 zł
- Cena 1 MWh w propozycji PiS od września 2025/ z zamrożeniem – 412 zł
- Cena 1 MWh na 2025 r. zaakceptowana przez URE/ bez mrożenia – 628,8 zł
- Cena 1 MWh na 2026 r – trudno oszacować, URE czeka na wnioski taryfowe sprzedawców

*Wszystkie ceny netto*



eprasa.pl 4ca092825d

ADÈLE

BOHATERKA FILMU CÉDRICA KLAPISCHA „PEWNEGO RAZU W PARYŻU"

# Adèle w Paryżu

„O północy w Paryżu" wędrował po mieście i między epokami Woody Allen, składając hołd metropolii nad Sekwaną i jej kulturowemu dziedzictwu. Wraz z bohaterami najnowszego filmu Cédrica Klapischa (nagrodzonego Cezarem twórcy trylogii „Smak życia", a także współautora przebojowego francuskiego serialu „Gdzie jest mój agent?") też możemy oglądać Paryż z perspektywy różnych epok, podglądać życie zwykłych ludzi i przedstawicieli paryskiej bohemy. Możemy obserwować, jak dokumentowała swój czas raczkująca sztuka fotografii, jak rodził się i działał na odbiorców, impresjonizm.

Przede wszystkim jednak, wybierając się na seans „Pewnego razu w Paryżu", mamy szansę odbyć przepięknie sfilmowaną podróż po słynnym mieście. Zobaczyć połączone w fabularnej historii najurokliwsze i najbardziej znane przestrzenie Paryża. Zarówno w wersji współczesnej, jak i tej sprzed ponad 100 lat.

Aż by się chciało – patrząc na sfilmowane w tych samych ujęciach i miejscach, choć oddzielone dekadami scenki – by i polscy filmowcy pokazali w podobny sposób np. Warszawę. Kluczowych, malowniczych, a także nie zawsze oczywistych miejsc na pewno by nie zabrakło. A i niejedną opowieść można by wpleść w taką wielowymiarową wędrówkę po mieście.

Na razie możemy się cieszyć, chłonąc „namalowaną" na ekranie, w dużej części wpisaną w estetykę ekspresjonizmu i dawnej fotografii, a także dynamiczną we współczesnym obrazie fabułę.

Oto jest 2024 r. Blisko 30 nieznających się osób zostaje poinformowanych o pokrewieństwie i wspólnym spadku. Zapomniany dom w Normandii, pełen śladów przeszłości, jest jak kapsuła czasu. Przenosi bohaterów oraz widzów do 1895 r., kiedy to dwudziestoletnia Adèle (w tej roli Suzanne Lindon) postanawia wyruszyć do Paryża. Podążając za nią, odbywamy malowniczą wakacyjną podróż.

Niektórzy po wyjściu z kina może nabiorą też ochoty na przypomnienie sobie innych filmowych obrazów, w których Paryż i jego dziedzictwo były tak pięknie obecne. Poza wspomnianym „O północy w Paryżu" Woody'ego Allena może to być „Amelia" Jean-Pierre'a Jeuneta, jak również „Nietykalni" Oliviera Nakachego/Érica Toledano, „Cléo od piątej do siódmej" Agnès Varda, „Zabawna buzia" Stanleya Donena, „Przed zachodem słońca" Richarda Linklatera, „Marzyciele" Bernarda Bertolucciego, „Trzy kolory: Niebieski" Krzysztofa Kieślowskiego, „Paryż, rok 1900. Miasto świateł" czy gwiazdorsko obsadzony, ujęty w zbiorze krótkich opowieści „Zakochany Paryż".

*Jolanta Gajda-Zadworna*



eprasa.pl 4ca092825d

SŁODKO-SŁONY

# Babka i róże

ANNA MONICKA

Jedna kilkugodzinna wizyta w Podlaskim Ogrodzie Ziołowym wystarczyła, żebym przypomniała sobie, jak fantastycznie odpoczywa się wśród roślin. Owszem, mam niemal przy domu Puszczę Słupecką, ale podczas spacerów po jej obrzeżach z psami zawsze poraża mnie kompletny brak szacunku do natury. Chociaż nasza społeczność skrzykuje się od czasu do czasu i zbiera do plastikowych worów to, co porzucają inni spacerowicze – głównie butelki po wszelkiej maści alkoholu, puszki, torebki i sreberka po słodkich i słonych przekąskach, ale trafiają się też opony, rozwalone półki, krzesła, kanapy, a nawet wraki samochodów, które trudno tak po prosu uprzątnąć.

W Korycinach, zaaranżowanych „na dziko", piękno przyrody można podziwiać w całym rozkwicie. Ludzi jest tam mnóstwo, ale starają się oni docenić ogrom włożonej w to miejsce pracy i nacieszyć odcieniami zieleni, zapachami, kolorami i owadami, które jak w amoku tarzają się w pełnych pyłku kwiatach. Wybrałyśmy się z córką w środku tygodnia, więc dodatkową atrakcją było podziwianie niemal pustych dróg i setek bocianów, które niepłoszone przez obcych spacerują przy samych poboczach albo siedzą na wiejskich latarniach.

Na ogromnym terenie turystów było niewielu, tłoczyli się głównie przy karczmie i ziołowym sklepiku. W głębi ogrodu, gdzie rosną tysiące róż – podobno ponad 150 odmian – słychać było głównie bzyczenie pszczół. Zapach sosnowej żywicy mieszał się z wonią wygrzewających się w słońcu kwiatów. Spacer po tym uroczym zakątku przebija seans aromaterapii w spa.

W naszej pamięci długo pozostanie też babka ziemniaczana. I chociaż ta, którą czasem robiła moja koleżanka ze studiów, łomżynianka, nie jest tak pyszna jak korycińska, podzielę się przepisem. Ścieramy na drobnej tarce ładne duże ziemniaki, odsączamy (powinno zostać 2 kg masy), dodajemy 3–4 starte cebule, ząbek czosnku, a potem 2 jajka, dużą garść świeżego lub suszonego majeranku, pół szklanki dobrego oleju rzepakowego, szklankę mąki orkiszowej i łyżkę ziemniaczanej. Sól i pieprz do smaku. Dobrze wszystko mieszamy i wlewamy do formy wyłożonej papierem do pieczenia. Wstawiamy do piekarnika nagrzanego na 180 st. Celsjusza na co najmniej godzinę, ale im wyższa babka, tym piecze się dłużej (do suchego patyczka i rumianych brzegów). Trochę studzimy i podajemy z kapustą kwaszoną albo gęstą śmietaną.

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM

# Krogulec na łowach

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Całkiem niedawno byłem świadkiem ciekawej sceny. Po letnim niebie leciał krogulec. Nisko, bo ten gatunek niespecjalnie lubi się wzbijać i krążyć, woli polowanie z zasiadki i nagły atak. Wyjątkiem jest późna jesień i początek zimy – wtedy ściągające do miast krogulce są widywane na większych wysokościach.

Drapieżnik, kiedy się ujawni, wzbudza podenerwowanie innych ptaków. Wokół krogulca szybko zaczęły krążyć nękające go jaskółki dymówki, które porzuciły polowanie na owady. Przypomniała mi się obserwacja sprzed lat: widziałem kiedyś, jak w takiej samej sytuacji jedna z jaskółek podleciała zbyt blisko. Krogulec, wprawdzie uciekający przed nękającymi go ptakami, ale zawsze gotowy do ataku, nagle zwinął się w locie i złapał jaskółkę szponami, aż poleciały pióra.

Ostatnio jaskółkom się udało. Przegoniły krogulca bez strat. Cała ta sytuacja nie zainteresowała śmigających wyżej jerzyków – nie dołączyły one do pościgu za krogulcem, nie interesował ich. Jerzykom mógłby zagrozić ewentualnie kobuz. Jest bardzo szybki, zwrotny i lubi polować na szybką latającą zdobycz. Specjalizuje się m.in. w chwytaniu ważek. Zdarza się, że zasadza się również na jerzyki. Poluje na nie jednak przy ich otworach lęgowych, gdzie muszą zwolnić, wlatując i wylatując. Inaczej nawet kobuz nie dałby rady.

Kobuz należy do sokołów. Niezbyt duży, jest jakby miniaturą słynnego sokoła wędrownego. Sokół wędrowny jest znacznie rzadszy, lecz – przynajmniej w mojej ocenie nie ujmującej nic sokołowi wędrownemu – więcej radości sprawia obserwacja kobuzów. Nie tylko ze względu na ich szybkość i zwinność, lecz także upierzenie. Podobnie jak ich większy krewniak kobuzy mają stalowoszary wierzch ciała i głowy, z typowym ciemnym wzorem przypominającym wąs. Spód ciała jest jasny, w ciemniejsze prążki. Kobuz dodatkowo wyróżnia się intensywnie pomarańczowym upierzeniem nóg – wygląda. jakby miał jaskrawe portki.

Wszystko to sprawia, że jeżeli miałbym wskazać mojego ulubionego sokoła, byłby to kobuz. Wyprzedziłby nawet pustułkę. Choć pustułki, zwłaszcza samce, są upierzone również pięknie, z egzotycznym rysem, to są znacznie częstsze. Można się na nie napatrzeć bez problemu. Kobuzowi zaś dodaje uroku jego rzadkość.

Fot. Kino Świat



eprasa.pl 4ca092825d

OGNIEM NA WPROST

# Letnia ofensywa?

*Andrzej Rafał Potocki*

Po okresie ożywienia w przemyśle gospodarka Kacapii zaczęła hamować i obecnie nastąpiła stagnacja. I nie jest to bynajmniej bezpośredni skutek sankcji, tylko żelaznych praw ekonomii. Gospodarka wojenna daje paliwo na rok, góra dwa lata, a potem wszystko staje, bo gospodarka wojenna to masowa produkcja złomu i niczego więcej. Ponieważ wyprodukowany towar nie wchodzi w obieg gospodarki, nie napędza jej. Jak Iwan kupuje samochód, to jeździ nim na wycieczki (kupuje paliwo), wyposaża (kupuje gadżety), zwiedza (płaci za hotele, jedzenie, pamiątki). Jak Sasza dostaje czołg, to wyjeżdża nim do akcji, spali trochę benzyny czy ropy i wraca pieszo. Jeśli wraca. Normalny towar generuje kolejne decyzje zakupowe, co stymuluje gospodarkę. Na ekonomii wojennej zarabiają tylko przedsiębiorcy pogrzebowi. Co gorsza, wbrew krakaniu ekspertów ceny ropy po krótkim piku epicko poleciały na pysk, a cena Ural (tylko ok. 64 dol. za baryłkę) przebiła nawet własne dno. Oby tak dalej.

Na odcinku sumskim wojska ukraińskie kontratakowały, odbijając Andrzejówkę. Wyhamowanie tempa natarcia Moskali, widoczne już w minionym tygodniu, dało sposobność do ukraińskiego zwrotu zaczepnego. Mimo to we wschodniej części tego odcinka Kacap powoli posuwa się do przodu, próbując znaleźć przejście. Ze względu na swoje położenie Andrzejówka umożliwia Ukraińcom kontrolę działań wroga zarówno na kierunku Kondratówki (po zachodniej stronie), jak i Oleksówki (po stronie wschodniej). Odcinek wołczański – brak zmian. Dworzyczna – brak zmian.

Pod Kupiańskiem w miniony wtorek Moskale zajęli nagle Gołąbówkę (walki zaczęły się w poniedziałek), a następnie skręcili na Radkówkę, grożąc okrążeniem ukraińskim oddziałom między Radkówką a Kindraszówką. Na południe od Kupiańska aż do Malinówki brak zmian.

Rosyjskie natarcie, które w poprzednich tygodniach rozwijało się na kierunku Rzadkodąb–Karpówka, ugrzęzło. Po zajęciu Białogorówki Moskale opanowali Werhnokamiańskie i atakują na Siewiersk. Z jednej strony mają tu komfort, bo nie stoją im na drodze żadne przeszkody terenowe, z drugiej muszą maszerować wzdłuż wzgórz, z których mogą być ostrzeliwani. Las koło Srebrzanki na północnym brzegu Dońca – Moskale nie posunęli się tu od prawie trzech lat, ale walki trwają. Odcinek Czasiw Jar–Kurdiumiwka – brak wyraźnych zmian, ale Moskale próbują tędy atakować na Konstantynówkę. Na razie bez skutku. Walki przypominają to, co działo się dwa lata temu pod Wuhłedarem. Toreć nadal nie zajęty w pełni. Na zachód od Torećka Moskale czołgają się powoli w kierunku Konstantynówki, ale topografia nie jest tu ich przyjacielem. Pokrowsk – bez zmian. Udaczne–Konstatynopol – niewielkie zmiany koło Konstantynopola, czyli zajęcie Andrzejówki. Ogólnie poza kilkoma odcinkami jest stagnacja. Obie strony gromadzą siły do letniej ofensywy. Tygrysy czają się do skoku.

Płk Andrzej Derlatka, były szef Agencji Wywiadu, ostrzega, że Moskale szykują się do poważnej letniej ofensywy. „Ziemia jest sucha, czołgi mogą się przemieszczać, większe zgrupowania bojowe również. W związku z tym możemy się spodziewać nasilenia ataków. Do tego Kreml otrzyma najprawdopodobniej po połowie lipca dodatkowy kontyngent wojsk koreańskich, ponad 10 tys. Zobaczymy, czy to wystarczy, żeby osiągnąć jakieś większe, spektakularne sukcesy, ale fakt jest faktem – Moskwa jest silna na froncie" – stwierdził płk Derlatka. Ale i Kijów nie w ciemię bity. Pażywiom, uwidim.

Już po zakończeniu wojny z Iranem na pokładzie Air Force One dziennikarze spytali Donalda Trumpa o ostatnią rozmowę telefoniczną z Władimirem Putinem. „Czy mogę ci jakoś pomóc z Iranem – spytał kierownik Kremla. – Nie potrzebuję pomocy z Iranem. Potrzebuję, żeby ktoś mi pomógł z tobą" – miał odpowiedzieć prezydent Stanów Zjednoczonych.

*Współpraca: „Skipper"*

Fot. Andrzej Wiktor



eprasa.pl 4ca092825d

***Michał Korsun prezentuje:***
***Czy Bodnar jest neo-senatorem?***

***Wycinki z przeszłości***

Ten znaczek Poczty Polskiej z 1973 r. dokumentuje – jak stwierdza Klub Miłośników Komunikacji w Warszawie – rozpoczęcie produkcji „przełomowego autobusu w dziejach warszawskiej komunikacji". Czytamy: „Jelcz Berliet PR100 po raz pierwszy wyjeżdżał na ulice Warszawy w 1973 roku, był jednym z najnowocześniejszych autobusów w Europie. Budowany na francuskiej licencji, w pełni realizował mit wszechstronnego postępu epoki Gierka. Stał się wręcz jednym z symboli pozornego dobrobytu lat 70. Ogromne dostawy tych pojazdów pozwoliły w warszawskim MZK wycofać z ruchu duże ilości przestarzałych »ogórków« i chaussonów".

Doświadczenia z warszawskich ulic wykazały istotne słabości konstrukcji. W efekcie autobus wydłużono i dodano trzecią parę drzwi. W takiej wersji, już jako Jelcz Berliet PR110, wszedł do masowej produkcji w 1975 r. W niektórych miastach pojazdy te jeździły jeszcze w latach 90. i później. Niemal każdy dorosły Polak ma więc jakieś wspomnienia związane z tym autobusem.

***(mk)***

**Z WOLEJA**

# Polska specjalność: Himalaje zimą

***Ryszard Czarnecki***

W dniu, w którym ukaże się ten numer „Sieci", minie 12. rocznica śmierci polskiego himalaisty Artura Hajzera. Zginął w paśmie Karakorum podczas wyprawy na ośmiotysięcznik Gaszerbrum I.

Himalaizm to dla niektórych rodzaj sportu ekstremalnego. Jeśli uznamy go za sport – choć przecież nie figuruje w programie igrzysk olimpijskich i nie są rozgrywane mistrzostwa świata w tej „dyscyplinie" – jest to konkurencja z największą liczbą ofiar wśród „zawodników". Wanda Rutkiewicz, Jan Kukuczka oraz wielu innych bardziej i mniej znanych polskich himalaistów – i alpinistów – zapłaciło śmiercią za miłość do zdobywania szczytów.

Na Ziemi jest 14 ośmiotysięczników. Gaszerbrum I to jeden z 4 w paśmie Karakorum, pozostałe 10 jest w Himalajach.

My zachwycamy się ośmiotysięcznikami, ale Amerykanie czy Brytyjczycy mają w nosie system metryczny miar i liczą w stopach. Cóż, ich 25-tysięczniki (właśnie w stopach) na pozór wyglądają bardziej imponująco, są to jednak te same szczyty.

Owa elitarna czternastka ośmiotysięczników często jest nazywana koroną Himalajów. Nie do końca prawidłowo, bo przecież cztery szczyty są w Karakorum. Najwyższe góry świata długo broniły się przed ludźmi. Wysokość 8 tys. m przekraczały 100 lat temu brytyjskie ekspedycje, próbujące bez skutku zdobyć Czomolungmę, czyli najwyższy szczyt ziemi Mount Everest, ale pierwszy ośmiotysięcznik – Annapurnę – zdobyto dopiero w 1950 r.

Polską specjalnością było i jest zdobywanie najwyższych wierzchołków świata zimą. To znacznie trudniejsze niż latem. Ale my, Polacy, kochamy wyzwania. Pierwsze zimowe wejście na Everest było oczywiście dziełem naszych rodaków: w 1980 r. dokonali tego Leszek Cichy i Krzysztof Wielicki. Sześć lat później trzeci najwyższy szczyt świata – Kanczendzongę – zimą zdobył znów Wielicki wraz z legendą polskiego himalaizmu Jerzym Kukuczką. Po dwóch latach mistrz Krzysztof Wielicki wszedł jako pierwszy zimą, i to samodzielnie (!), na czwartą górę świata – Lhotse. Szósty wierzchołek świata Czo Oju i pierwsze zimowe wejście to znów Polacy: Maciej Berbeka i Maciej Pawlikowski. Siódmy szczyt, Dhaulagiri, pierwsi zdobyli zimą Andrzej Czok i Jerzy Kukuczka, a ósmy, Manaslu, Maciej Berbeka i Ryszard Gajewski. Polacy byli też pierwsi zimą na 10. wierzchołku świata (Annapurna I: Artur Hajzer i Jerzy Kukuczka), 11. (Gaszebrum I: Adam Bielecki i Janusz Gołąb), 12. (Broad Peak: Berbeka, Bielecki, Tomasz Kowalski i Artur Małek) oraz 14. (Sziszapangma – Piotr Morawski).

Nie do końca potrafię zrozumieć himalaistów, ale niezmiennie ich podziwiam. Większość z wymienionych zginęła w górach...



eprasa.pl 4ca092825d

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

# Bzdura stulecia: AI to tylko narzędzie

„To tylko narzędzie" – ileż razy słyszeliśmy to określenie? Ta pozornie niewinna fraza może się okazać jednym z najbardziej kosztownych nieporozumień w historii ludzkości. Nie tylko wprowadza w błąd, lecz także może mieć katastrofalne efekty, których skalę – wbrew technoentuzjastom – potrafimy sobie aż za dobrze wyobrazić.

## UCZY SIĘ I ZMIENIA

Sztuczna inteligencja to pierwsza technologia w historii ludzkości, która potrafi się uczyć, adaptować i ewoluować w czasie rzeczywistym. Traktowanie jej jak zwykłego narzędzia to jak dawanie dziecku do zabawy niewybuchu, tłumacząc, że „to tylko kawałek metalu". Konsekwencje takiej naiwności mogą być tragiczne.

Weźmy systemy AI w sektorze finansowym. Traktowanie ich jak „zwykłych narzędzi" doprowadziło do kilku poważnych załamań na rynkach, gdy algorytmy handlowe, działając autonomicznie, wywołały efekt domina w transakcjach. Straty? Miliardy dolarów w ciągu niewielu minut – przypomnimy Flash Crash z 2010 r. A to dopiero początek.

## PUŁAPKA ŚLEPEGO ZAUFANIA

W medycynie traktowanie AI jako zwykłego narzędzia diagnostycznego może prowadzić do niedostrzegania jego ograniczeń i potencjalnych uprzedzeń. Badania wykazały, że niektóre systemy sztucznej inteligencji mogą działać z różną skutecznością dla różnych grup pacjentów, co podkreśla wagę zachowania czujności i ludzkiego nadzoru nad ich działaniem.

Szczególnie niebezpieczne jest lekceważenie kreatywnego potencjału AI. Obecne modele już teraz potrafią tworzyć przekonujące dezinformacje, manipulować opinią publiczną i wpływać na procesy demokratyczne. Traktowanie ich jak „zwykłych narzędzi marketingowych" to prosta droga do społeczeństwa, w którym nie tylko prawda stanie się towarem deficytowym. Kontakt z analogową rzeczywistością może się okazać rarytasem.

*Musimy zacząć traktować AI jak potężną, autonomiczną siłę, która wymaga nowych ram prawnych, etycznych i społecznych*

## GDY NADLECI AUTONOMICZNY DRON

W sektorze obronnym upraszczające, „narzędziowe" podejście do AI może doprowadzić do scenariusza rodem z filmów science fiction, ale tym razem całkiem realnego. Autonomiczne systemy bojowe, traktowane jak „zwykła broń", mogą w ułamku sekundy podjąć decyzje o ataku, bazując na błędnej interpretacji danych. Konsekwencje? O niektórych pisaliśmy w naszej książce „AI Eksploracja" (wydawnictwa Zona Zero).

W edukacji traktowanie AI jak zwykłego kalkulatora prowadzi do błyskawicznego spadku umiejętności krytycznego myślenia wśród uczniów. Po co się wysilać, skoro „narzędzie" zrobi wszystko za nas? To przyspieszenie obłędnej drogi do społeczeństwa uzależnionego od technologii, niezdolnego do samodzielnego rozumowania.

## ODMOWA WIEDZY

Paradoksalnie im bardziej zaawansowana staje się sztuczna inteligencja, tym częściej słyszymy uspokajające: „To tylko narzędzie". To zupełnie jak patrzenie na nadciągające tsunami i mówienie: „To tylko fala". Jest to nie tylko naiwne, lecz także skrajnie nieodpowiedzialne.

Przyszłość relacji człowiek–AI wymaga głębokiego przewartościowania naszego myślenia. Każdy dzień zwłoki w zrozumieniu prawdziwej natury sztucznej inteligencji to stracony czas w przygotowaniach na nadchodzące wyzwania. A tych będzie coraz więcej.

Zamiast więc powtarzać mantrę o „zwykłym narzędziu", musimy zacząć traktować AI jak potężną, autonomiczną siłę, która wymaga nowych ram prawnych, etycznych i społecznych. Potrzebujemy globalnej debaty o granicach jej zastosowań, mechanizmach kontroli i zasadach współistnienia. Z kim? Z naszymi „narzędziami"...

Bo jeśli nadal będziemy udawać, że mamy do czynienia ze zwykłym młotkiem, możemy się obudzić w świecie, gdzie to AI trzyma młotek, a my staliśmy się gwoździami. Wtedy będzie za późno na refleksję, że może jednak nie było to „tylko narzędzie".

## NA JAKIM ETAPIE JESTEŚ?

Niedawno przeczytaliśmy, że na rozwój AI warto spojrzeć pod kątem następującego ciągu etapów: (1) narzędzie, (2) współpracownik, (3) konkurent, (4) przeciwnik, (5) wróg.

Zwracamy się nie tylko do osób, które na co dzień korzystają z AI: jak sądzicie, na jakim etapie relacji ze sztuczną inteligencją jesteście?

***Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie***

Autopromocja x2



eprasa.pl 4ca092825d

Subskrypcja wPolityce.pl Premium + i SIECI

# CAŁE LATO czytasz

## za 9,90 zł / 3 miesiące

**Cena 9,90 zł za pierwsze 3 miesiące, następnie 44,90 zł co 3 miesiące i możesz zrezygnować, kiedy chcesz**

**Oferta ograniczona czasowo**

**Przez całe wakacje czytaj:**

- mocne komentarze publicystów, aktualne informacje z Polski i ze świata, wywiady z najważniejszymi ludźmi polityki
- **wszystkie zamknięte artykuły na** wPolityce.pl Premium +
- pełne **e-wydanie tygodnika** SIECI wcześniej niż inni, bo już w niedzielę o 18:00
- **w prezencie świetne ebooki Sieci Extra** udostępniane TYLKO subskrybentom

Zamów dziś na **www.siec.wpolityce.pl/oferta**

ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

eprasa.pl 4ca092825d

***„Zbudujmy razem studio z widokiem na Polskę. Bo niezależne media to nasza wspólna sprawa".***

## ZBIERAMY NA NOWE STUDIO TELEWIZYJNE

numer konta:
**69 1020 4900 0000 8202 3036 2577**
tytuł wpłaty: **DAROWIZNA**

**CEL: 1 000 000 zł** **WESPRZYJ patriotyczne media**

Twoje dane osobowe będą przetwarzane zgodnie z polityką RODO

## GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

| telewizja naziemna | CANAL+ | netia | orange | vectra | polsat box | PLAY (dawniej upc) | inea | TOYA | evio |
|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|
| 52 | 62 | 192 | 32 | 825 | 196 | 65 | 459 | 631 | 43 |

eprasa.pl 4ca092825d